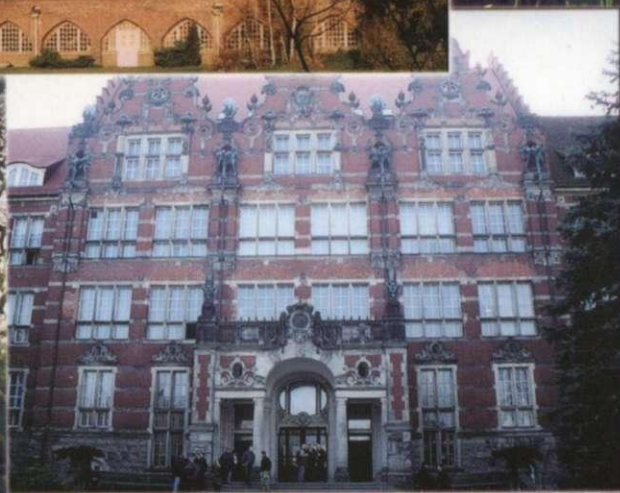


Marian Majkowski

Z pustek w świat





Powiat Lęborski



Gmina Cewice

Cewice
Gmina
Przyjazna Aktywnym

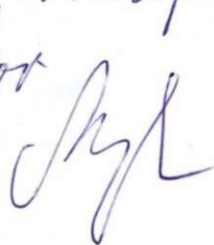


Z pustek w świat

Koleżance

Danucie Groba
na pamiątkę wspomnianego
spotkania na
Akademii Pomorskiej
autor

1 - Stupsk 14.03.2007




Żonie Eleonorze poświęcam

Marian Majkowski

Z pustek w świat

WSPÒMINCZI
dzél II

**Wydanie niepełne -
- skrócone przez
wydawcę bez zgody
autora.**

 (autor)

Banino - Ustka 2002

Redakcja:

Elżbieta i Eugeniusz Pryczkowsy

Korekty:

Aleksandra Przelicka

Mirosława Sawicka

Eugeniusz Pryczkowski

Fotografie pochodzą z archiwum Autora oraz Liceum Ogólnokształcącego nr 1 w Lęborku i Zachariasza Frącka.

Okładka i zdjęcia współczesne: Eugeniusz Pryczkowski

©by Marian Majkowski

ISBN 83-915946-1-0

Wydawca:

Rost, ul. Makowa 5, 80-297 Banino

tel. (0-58)684-85-48, fax 684-85-47

e-mail: pryczkowski@iq.pl

Współpraca wydawnicza:

Lęborskie Stowarzyszenie Św. Jakuba Apostoła

Druk:

Drukarnia Wydawnictwa Diecezji Pelplińskiej

„Bernardinum”

ul. Bpa Dominika 1 1,83-130 Pelplin

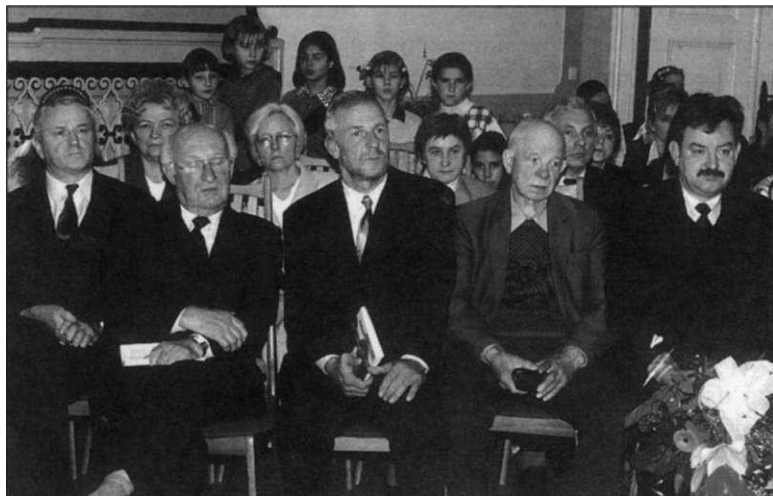
Wydanie książki finansowo wsparty następujące instytucje, firmy i osoby prywatne: Zarząd Powiatu Lęborskiego, Zarząd Miasta Lęborka, Zarząd Miasta Łeby, Rada Gminy Cewice, Bank Spółdzielczy w Ustce, GS „Samopomoc Chłopska” w Ustce, Gospodarstwo Rolne Agnieszki i Jana Goszów z Sierakowic, Apteka „Panaceum” Krystyny Burant z Ustki, Edmund Karczewski z Grudziądza, Henryka i Zygmunt Grzybowscy z Ustki, Sebastian Laskowski z Ustki, Maciej Kobyliński ze Słupska, Włodzimierz Przychoda z Ustki, firma „Gąpłyt” Barbary i Stanisława Okrojów z Mostów oraz Brygida i Adam Laskowiczowie z Łeby. Autor i wydawca składają gorące podziękowania.

Wstęp

Pod koniec 2000 roku ukazał się pierwszy tom wspomnień Mariana Majkowskiego „Na kaszubskich pustkach”. Opisywał okres od 1892 roku, kiedy to *starkowie* Autora Augustyna i Augustyn Majkowsky kupili w Skrzeszewie główną część jednego z trzech niemieckich majątków Schröderów, aż do końca II wojny światowej. W książce przedstawione było trudne, choć bardzo interesujące i przykładowe, życie kaszubskich chłopów w małej wsi - a właściwie pustkowiu - Skrzeszewo. Wieś położona jest na krańcu prężnej gminy Sierakowice tuż przy granicy z gminą Cewice należącą już do powiatu lęborskiego. Tam urodził się autor wspomnień. Tam też skończył szkołę powszechną uzupełnioną dwiema klasami w Sierakowicach. Zdał egzaminy do gimnazjum w Kościerzynie, lecz nauki nie rozpoczął. Wybuchła wojna. Co ciekawego działo się w życiu Autora po ustaniu działań wojennych aż do zakończenia studiów na Politechnice Gdańskiej jest już treścią niniejszego tomu wspomnień.

Tom „Na kaszubskich pustkach” spotkał się z dużym zainteresowaniem społecznym. Odbyło się około dwudziestu spotkań promocyjnych. Pierwszą, bardzo podniosłą promocję, zorganizowano w Starostwie Powiatowym w Lęborku z udziałem starosty Witolda Piórkowskiego, przewodniczącego Rady Powiatowej Wacława Kuppera, senatora Kazimierza Kleiny - siostrzeńca Autora, pisarza kaszubskiego Stefana Fikusa, wójta gminy Cewice Włodzimierza Klaty i wielu zacnych gości. Potem nastąpiła cała seria spotkań w różnych wsiach i miastach zachodnich Kaszub, na przykład w Łebie, Cewicach, Załakowie, Słupsku, Ustce, Wicku, Rokitach, Bukowinie. Wielokrotnie uczestnicy tych promocji po raz pierwszy spotykali się z mówioną kaszubszczyzną literacką. Jako Kaszubi czuli się dowartościowani. Często otwierali się przed inicjatorami spotkań ze swoją, dawniej nieco ukrywaną, kaszubskością. Dla przykładu w gminnym Wicku, niesłusznie uważanym jako niekaszubskie, co najmniej połowa dzieci zadeklarowała, że w domu lub wśród bliskich krewnych miała kontakt z językiem kaszubskim. Natomiast nauczyciele z tej szkoły

postanowili nawiązać bliską współpracę z zespołem „Lewino” z Lęborka, aktywnie uczestniczącym w spotkaniu z młodzieżą, w celu powołania własnej grupy folklorystycznej. Takie przykłady można by mnożyć. Wszystkie złożyły się na dalsze regionalne uaktywnienie tego obszaru, które zastało zapoczątkowane niezapomnianymi



Na promocji w lęborskim starostwie. Od prawej siedzą starosta lęborski Witold Piórkowski, przewodniczący Rady Powiatu Lęborskiego Wacław Kupper, wiceprezes ZKP Ludwik Bach, nestor pisarzy kaszubskich Stefan Fikus z Lęborka i senator Kazimierz Kleina z Łeby, siostrzeniec Autora.

spotkaniami związanymi z ukazaniem się książki Stefana Fikusa „Jak to przodę biwało”.

W tym miejscu wypada podziękować wielu osobom, które organizowały lub inicjowały te spotkania. Wkładały ogrom wysiłku i czasu, czyniąc to z oddaniem dla swojej Tatchezny. Szczególne podziękowania należą się Reginie Szczupaczyńskiej, Zofii Biskupskiej, Danucie Milewskiej i Ryszardowi Wencie z Lęborka, Hannie Lewandowskiej z Siemirowic, Leszkowi Smentochowi z Rokit, Sabinie Drywie - nauczycielce z Załakowa i wielu innym.

Otwarte wrota

Pierwsi Rosjanie przeszli jak burza. Trwało to zaledwie kilka, może kilkanaście minut. Z domu wybiegła mama. Zobaczyła ostatnich opuszczających zagrodę jeźdźców, ojca, brata i mnie stojących jak skamieniałych na progu domu. Była przerażona.

- Co z wagna chłopije lóz? Dze są waje skórznie, czôpczi i kôžéchë? - krzyknęła.

- To wszëtkô pospołu z mójim slëbnym piestrzeniëm, zégarkem i kôniama je ju u najich wëbôwców - powiedział ojciec wskazując ręką w kierunku szosy. - To miemiecczé dzëwczca flichtlingów z Prus wschôdnëch w gromiczniku gôdało nama prôwda ö Ruskach, le më nie wierzëlë. Më bëlë ny dbë, że to przinąd nasi drëszë, a nié jesz wiakszô banda - dodał ze smutkiem.

Chwilę staliśmy, patrząc na siebie w milczeniu. Ciszę przerwał ojciec, mówiąc ni to do nas, ni to do siebie.

- Dobrze, że te nasze nôstarszé dzewusë sedzą w bunkrze w lese, bö chto wié, co tu sajesz möße zdarzëc.

Rozeszliśmy się do codziennych zajęć. Usiłowałem coś robić, by stłumić narastający niepokój. Nasłuchiwałem dochodzących z dala odgłosów. Koło południa od zachodu zaczął zbliżać się szum, potem jakby pomruk, w końcu coraz głośniejszy łoskot i warkot silników. Z głównej drogi zaczęły na nasze duże podwórze wjeżdżać czołgi, za nimi samochody pełne rosyjskich żołnierzy i wozy konne. Małym jeepem wjechało kilku oficerów. Najstarszy z nich, siwy, krępy, lekko zgarbiony mężczyzna, wydał wreszcie jakieś rozkazy. Starsi stopniem rozbiegli się, zebrali żołnierzy i przystąpili do działania. Czołgi i samochody zostały ukryte pod drzewami. Część żołnierzy przeszukiwała dom, inni oborę i pomieszczenia gospodarcze.

Pod gałęziami dużych świerków ustawiono namioty i kuchnię polową. Starsi oficerowie nakazali nam zwolnić dla siebie cztery pokoje. Musieliśmy przenieść się do kuchni i małego pokoju od północy. Przed wieczorem żołnierze rozlokowali się w namiotach, budynkach gospodarczych i piwnicy pod stodołą. Dwaj oficerowie, z których jeden mówił obco brzmiącą polszczyzną pilnowali nas - mężczyzn. Rozmowa miała charakter przesłuchania. Wypytywano nas o sąsiadów, głównie tych, którzy podpisali niemiecką listę. Interesowało ich, co robili w czasie wojny, jak się zachowywali, czy współpracowali z Niemcami. Te pytania obudziły naszą czujność. Gdy byliśmy razem, odpowiadał ojciec, stosując znaną od początku wojny zasadę, by tak często, jak to możliwe, odpowiadać: „nie wiem”. Gdy musiał coś powiedzieć stosował starą kaszubską maksymę: „Swoj drëk pierz doma. Co tu u nas dzejało są ob czas wöjnë, to je nasza zacha, a niżódnëch Miemców czë Rusków”. O wszystkich mówił dobrze, by nikomu nie szkodzić.

Po przesłuchaniu pozwolono nam swobodnie się poruszać po wydzielonej przez nich części domu i zagrody. Przed wieczorem kucharze zaczęli szykować kolację. W czasie gdy z nami rozmawiano, zabito naszą krowę i dwie świny, które przed włożeniem do kotłów ćwiartowano. Przechodząc obok stodoły, zszedłem po schodach na dół, by zobaczyć, co się dzieje w piwnicy. W tym pomieszczeniu, wysokim tylko na dwa metry i przykrytym drewnianym stropem pokrytym słomą paliło się wielkie ognisko. Zamarłem z przerażenia. Płomienie sięgały ponad metr w górę. W ich blasku zobaczyłem zawieszoną na stropie ociekającą krwią skórę krowy, a pod nią na poziomym drążku podwieszonym tuż nad ogniem, obdartą ze skóry owcę. Wokół ogniska głośno rozmawiali, śmiali się i popijali sowieccy żołnierze. Na mój widok jeden z nich zawołał:

- Towariszcz, chadi sjuda!

Wlał coś do kubka i z przyjaznym uśmiechem podał mi, mówiąc:

- Napij sa.

Siedzący wokół unieśli swoje naczynia jakby wznosząc toast i czekali, co zrobię. Nie chcąc ich obrazić, wypilem łyk napoju. Myślałem, że oczy wyjdą mi na wierzch. Krztusząc się potwornie, uciekłem na podwórze. Gonił mnie głośny rechot wojaków. Po kilku głębszych oddechach odzyskałem równowagę. Chciałem biec do ojca, by mu powiedzieć, co dzieje się w piwnicy pod stodołą kiedy zaskoczył mnie nowy szokujący widok. Przez podwórze szła bardzo wolno ramię w ramię grupa żołnierzy. W rękach każdy z nich trzymał długi prosty zaostrzony pręt stalowy. Tymi prętami, kawałek przy kawałku, kłuli w ziemię. Na wołanie jednego z nich przybiegli dwaj inni ze szpadlami. Kopali we wskazanym miejscu i wyciągnęli jedną z ukrytych przez nas w ziemi skrzyń. Następnego dnia przeszukali w ten sposób całe otoczenie zagrody oraz pomieszczenia i znaleźli prawie wszystko to, co próbowaliśmy uratować.

Ci żołnierze stacjonowali u nas cztery dni. Odjechali w kierunku szosy wiodącej do Gdańska. Z niepokojem weszliśmy do pomieszczeń, w których mieszkali oficerowie. Stanęliśmy jak wryci. Panował tam niepojęty bałagan. Okropny smród zmusił do pootwierania wszystkich okien. Drzwiczki szafbyły szeroko pootwierane lub powyrywane. Książki, papiery i gazety powyrzucano na podłogę, a wartościowsze przedmioty zginęły. Pierzyny, poduszki, prześcieradła i rozprute sienniki leżały na podłodze. W kącie pokoju sowieci urządzili sobie latrynę, z której unosił się straszny fetor.

Z przerażeniem patrzyliśmy na ten widok. Mama i jej siostra, zakonnica, która pod koniec wojny przebywała u nas, zaczęły płakać.

- Nie płaczta białczy. Me muszime sa przënacëc do taczich, a może jesz gorszych widoków - rzekł ojciec.

Kobiety zabrały się do porządkowania pokojów, a ja z ojcem poszedłem do stajni. Po kolei zaglądaliśmy do pomieszczeń dla krów, koni i świń. Wszystko było puste. W naszej wsi nie było żadnych walk, nie padł ani jeden strzał, niczego nie spalono. Dopiero kilka dni pobytu sowieckiej armii w zagrodzie doprowadziło naszą rodzinę do ruiny. Niemiec wróg, przez pięć lat wojny nie zrobił nam tyle krzywdy, co „sojusznik”.

Niestety, najgorsze było dopiero przed nami. Rosjanie, idąc na Gdańsk, pozostawili w miastach i większych wsiach swoje garnizony. Nasze luźno rozrzucone zagrody, oddalone od większych skupisk ludzkich, były dla nich dogodnym miejscem do rabunków i gwałtów. Przez blisko trzy tygodnie wieczorami lub nocą przyjeżdżały wozami grupy pijanych żołdaków, szukając Niemców, wódki i „diewaczek”. Przeszukiwali pomieszczenia, łamiąc i rozbijając wszystko, cojeszcze się dało. Jeden z takich wieczorów szczególnie utkwił mi w pamięci.

Było już szaro, około godziny dwudziestej, gdy do domu wtargnęło pięciu pijanych Rosjan. Grożąc nam pepeszami, wrzeszczeli, by dać im słoniny oraz wódki i wskazać, gdzie są ukryte młode kobiety. Wszyscy zamarliśmy ze strachu i skuliliśmy się w rogu pokoju. Najmłodsze siostry, dziesięcioletnie bliźniaczki, obiema rękami kurczowo trzymały się mamy. Pozostali z przerażeniem patrzyli na szalejących żołdaków. Ci na przemian oddalali się i przybliżali, grożąc i po rosyjsku przeklinając. Siostry zaczęły wyć z przerażenia. Nagle wśród tego nieludzkiego krzyku i pijackich wrzasków rozległa się najpierw cicho, a potem coraz głośniejsza modlitwa „Ojciec nasz, któryś jest w niebie...” i „Zdrowaś Mario... módl się za nami.” Zaskoczeni tym Rosjanie uspokoili się nieco, patrząc na nas ze zdziwieniem. Trwało to jednak tylko chwilę. Stojący naprzeciw mnie niski, krępy mongoł podniósł pepeszę i nad naszymi głowami oddał serię w sufit. W rogu pokoju rozległ

się głośny płacz, a po nim krzykliwie już odmawiana modlitwa „Pod Twoją obronę...”. - To koniec - pomyślałem, spojrzałem na klęczących i zawołałem z rozpaczą kierując wzrok w górę: „Mój Bôże, më dziniemë - retuj nas!!!”.

W tym momencie przez otwarte drzwi wbiegł młody oficer z pistoletem w rękę, a za nim kilku żołnierzy z wycelowanymi pepeszami. Oficer wydał głośno jakiś rozkaz. Zrozumiałem, że żąda od pijanych napastników oddania broni. Ci nagle wytrzeźwieli. Ociągając się nieco, wykonali polecenie i w asyście kilku żołnierzy zostali wyprowadzeni. Oficer po rosyjsku przeprosił nas i obiecał, że bandyci zostaną ukarani. Wstaliśmy z klęczek, patrząc na siebie nawzajem. Żyliśmy, byliśmy zdrowi. Mama padła na kolana i zawołała:

- Na kōlana wszëtcë, to że jesmë żëwi, to je cud. Terô zmówimë litania do Matczy Bósczi za to, że wstawia sa za nama.

Po chwili klęczeliśmy znowu pod ścianą która jeszcze przed chwilą mogła być ścianą śmierci. Na wezwanie „Matko Chrystusowa”, „Matko łaski Bożej”, odpowiadaliśmy już spokojnie „módl się za nami”. Podczas modlitwy „Pod Twoją obronę uciekamy się...”, słychać było łkanie.

Najazdy Rosjan, choć już nie takie straszne, trwały jeszcze prawie dwa tygodnie. W tym czasie pozbieraliśmy broń oraz naboje i nauczyliśmy się strzelać. Uzbrojeni, z biało-czerwonymi opaskami na ramionach, pilnowaliśmy wsi wieczorami i nocami. Rosyjscy rabusie byli teraz odstraszeni padającymi w lasach i przy drogach strzałami.

Pewnej nocy pięciu strażników, wśród których był również mój brat Jan, złapało trzech Rosjan, którzy w sąsiedztwie gwałcili dziewczyny i rabowali. Zostali rozbrojeni i zawiezieni na komendanturę w Sierakowicach. Ten czyn mógł zakończyć się aresztowaniem, a nawet rozstrzelaniem. Chłopczy jednak mieli szczęście. Trafili na wyrozumiałego komendanta, który nawet pochwalił ich za przywiezienie bandytów.

Za granicą, w powiecie lęborskim, wielu Niemców ogłupionych faszystowską propagandą i strachem opuściło swoje gospodarstwa. Droga na zachód była już zamknięta przez Rosjan, więc większość uciekinierów po kilku czy kilkunastu dniach wracała. Najczęściej jednak dawni podwładni Polacy przejęli już te gospodarstwa. Sygnałem było wywieszenie polskiej chorągwi. Wiele zamkniętych niemieckich domostw pozostawiono bez opieki. Niestety, okazja łatwego rabunku wyzwalała w ludziach najgorsze zachowania.

Chłopy z sąsiedztwa wspólnie z kolegami od Warblów z Załakowskich Pustek zdobyli wóz z platformą i dwa konie. Uzbrojeni w ponemieckie karabiny jeździli od zagrody do zagrody, rozbijali zamki i rabowali co popadło. W wielu leżących na uboczu gospodarstwach, do których nie dotarli Rosjanie, było jeszcze co kraść. Nam ojciec zabronił zabierania czegokolwiek z niemieckich domów. Jako że i u nas wszystkiego brakowało, pozostawało nam tylko zbierać przedmioty porzucone przez uciekających Niemców przy drodze.

Pewnego dnia, chodząc za rzeką graniczną, widzieliśmy, jak wiejscy rabusie wynosili różne przedmioty z jeszcze zamieszkałego domu. Ukryci w lesie patrzyliśmy, jak niemiecka kobieta, płacząc, starała się bronić swojego dobytku. Uzbrojona banda młodzików zachowywała się tak samo jak niedawno Rosjanie. Zdenerwowany wyszedłem z ukrycia, krzycząc:

- Bölesu, co wa robita! Dôjta pôku ti biedny białce, co ona warna lëchégö zrobia?

W odpowiedzi usłyszałem świst wystrzelonej w naszym kierunku kuli. Cóż mogliśmy zrobić. Uciekliśmy. Nie byliśmy w stanie ich powstrzymać. Gdy powiedzieliśmy o tym ojcu, pokiwał smutno posiwiałą głową i powiedział:

- Widzyta knôpi, w czażczich czasach dô sa poznać, co je chto wórt. Ti Miemcë tam za rzéką ob całą wójna žëlë tu krótko kol nas i niżóden nama nic lëchégö nie zrobił. Niejeden jesz nama pômógł przeżëc wojna.

- Wë môce rëcht, tata - powiedział Jaś. - Tëc jak gestapo prowadzëło pojmańczików ze Sztutthofu i òni nocowelë na folwarku w Bukowinie za wiedzą pana jegò pòlszczi i tész miemiecczi robotnice nosëlë w nocë jëstku.

Dla ludzi z naszych pustek otwarła się droga na zachód i północ: na Lębork, Łebę, Słupsk. Robotnicy rolni zajęli posiadłości, na których uprzednio pracowali. Po zorganizowaniu polskiej administracji zgłaszali się natychmiast do urzędów celem uzyskania dokumentu na przejęcie zagrody. Gospodarstwa, warsztaty rzemieślnicze czy usługowe przydzielano tylko małżeństwom. Między innymi dlatego wówczas zawierano bardzo dużo małżeństw.

Jeden sąsiad zajął w Bukowinie gospodarstwo naszych znajomych, a swoich wojennych niemieckich przyjaciół. W tym wielkim gospodarstwie ukrytym w lesie i dużo mniej splądrowanym, mieszkała jeszcze samotnie dotychczasowa właścicielka. Jej synowie i mąż byli w wojsku. Był koniec maja. Pewnego dnia wieczorem usłyszeliśmy ciche, nieśmiałe pukanie. Gdy otworzyłem drzwi, ujrzeliśmy bladą wynędzniałą kobietę. Mama poznała znajorną Niemkę, podbiegła do niej i zapytała po niemiecku:

- Co się stało? Jest pani chora? W czym możemy pomóc?

Niemka nie odpowiedziała, tylko zaczęła płakać. Wystraszona mama zawołała do mnie:

- Biôj chutkô zawôłôj tata, a jô zrobią harbatë z miodem i dóm co do zjedzeniô.

Gdy wróciłem z ojcem, sąsiadka siedziała za stołem. Popijała herbatę i łapczywiejadła chleb z marmoladą. Zapytana ponownie przerwała jedzenie i rozpłakała się na dobre. Mama podeszła do niej, pogłaskała po przyprószonych siwizną włosach i powiedziała w jej języku:

- Nie płacz, jesteście też zrujnowani, ale kąt i łyżkę stawy zawsze u nas znajdziesz.

Po zaspokojeniu głodu znajoma uspokoiła się trochę i zaczęła mówić. Zrozumiałem tylko podstawowe fakty. Nowy właściciel jej gospodarstwa wraz z żoną ze swej niedawnej niemieckiej przyjaciółki zrobili służącą, lekceważone popychadło. Paroletnia wojenna przyjaźń zniknęła jak śnieg na wiosnę.

- Obecna gospodyni - mówiła - która jeszcze niedawno w przyjaźni spacerowała ze mną, wyzywa mnie teraz od szwabów i germańców, gna do najcięższej pracy i do tego jeszcze głodzi. Nie mogę tego zrozumieć. Przejęli przecież duże, mało zniszczone gospodarstwo z zapasami i częścią inwentarza. Jedzenia powinno wystarczyć dla wszystkich.

To powiedziawszy zaczęła znowu płakać. Siedzieliśmy cicho czekając na dalsze zwierzenia. Po dłuższym milczeniu wstała i wykrzyczała:

- Ja do nich nie wrócę, wolę umrzeć, utopić się. Nie zniosę dłużej takiej pogardy i głodu.

- Nie bój się. Zostaniesz u nas - uspokoił ją ojciec.

Nowy właściciel zagrody następnego dnia przyszedł po swoją „niewolnicę”. Gdy zaczął się awanturować, ojciec w mojej i brata obecności przypomniał mu parę faktów z czasów wojny. Dodał też, jak bardzo tym, co robił w tym okresie, interesują się Rosjanie. Na koniec powiedział:

- Chłopie, tē mōsz wiele dzecy, chcesz óstawić je sērotama? Nōlepi dlō ce badze sedzec ceszi kota.

Po tych słowach zbladł, odwrócił się i odszedł. Kobieta mieszkała z nami do czasu swojego wyjazdu na zachód.

W domu trwał spór, czy zostać tutaj na piaskach, czy przenieść się na lepsze gospodarstwo pod Lęborkiem. Mama nie chciała opuszczać swojego domostwa.

- Je to nama, Jónku, na stare lata nót jic na cēžžzna? Młodi czej chcą niechjida. Nama to ju nie je wōrto - mówiła.

Mimo to ojciec ze mną lub bratem szukał czegoś

odpowiedniejszego. Pamiętam, że chodziliśmy do Cewic i Nowej Wsi Lęborskiej. Nasza wyprawa okazała się spóźniona. Na zagrodach, które się nam podobały, wisiały już biało-czerwone chorągiewki. Po kolejnej naradzie zdecydowaliśmy, że zostajemy na swoim.

Nadeszła wiosna. Ziemia czekała na orkę i siew. Nie wiem, w jaki sposób ojciec to załatwił, ale na czas pracy mieliśmy ogromnego, choć ślepego konia. Jego ślepotą była w tamtych czasach zaleta. Nie był bowiem zbyt łakomym kąskiem dla rabusi. Niedługo bowiem po odejściu radzieckiego wojska pojawili się złodzieje. Zorganizowane, uzbrojone bandy, często ubrane w rosyjskie mundury, kradły konie, krowy, wozy i inne rzeczy.

Pewnej nocy obudziło nas głośne ujadanie psa, które po paru wystrzałach zmieniło się w skowyt. Spaliśmy jak zwykle w ubraniach. Półprzytomny, podbiegłem do okna, przy którym stali już ojciec z mamą. Spojrzałem w kierunku obory. Z początku nic nie widziałem. Słyszałem tylko rozmowy, szuranie butami po piasku i odgłos, jakby coś ciągnięto po ziemi. Gdy oczy przyzwyczały się do ciemności, zauważyłem grupę mężczyzn wkładających coś dużego na stojący pod lasem wóz. Patrzyliśmy tylko. Nikt nie miał odwagi wyjść na zewnątrz, by odstraszyć uzbrojonych bandytów. Po ich odjeździe ojciec zapalił latarnię i poszedł zobaczyć, co się stało. Prawie cała rodzina podążyła za nim. Weszliśmy do obory. Kojec, w którym mieliśmy jedną jedyną, niedawno nabytą świnię, prośną maciorę, był otwarty i pusty. Zalany krwią korytarz świadczył o tym, że zwierzę zabito wewnątrz budynku. Na zewnątrz, w skąpym świetle latarni, zobaczyliśmy przerażający widok. Jelita świni wisiały na stojącej obok obory śliwce, a małe, niedorośnięte prosiaczki leżały rozrzucone pod drzewem. Usłyszałem cichutki skowyt. Przerażony Tusi na widok swoich wyszedł z ukrycia. Skomlać, lizał ręce ojca, jakby przepraszał,

że nie dopilnował i nie odstraszył bandytów. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy pogłaskałem go po głowie i powiedziałem do niego kilka słów. W domu zapanowała rozpacz, jak po stracie bliskiego członka rodziny.

Pod koniec maja wrócił Władek Jeliński, narzeczonej mojej siostry Moniki. Ostatnie półtora roku wojny przeżył w obozie koncentracyjnym Oranienburg. Młodzi już przed wojną planowali wspólne życie. W połowie lipca 1945 roku odbył się skromny ślub. Niebawem siostra przeniosła się na ponemieckie gospodarstwo położone na Grunhofie, przysiółku graniczącej ze Skrzyszewem wsi Siemirowice. Była pierwszą z mojego rodzeństwa, która opuściła rodzinny dom.

W Lęborku

Po dłuższym namyśle zdecydowałem się na odejście z domu. Nie zamierzałem jednak jak inni zabierać z sobą młodej żonki, by zająć ponemieckie gospodarstwo. Chciałem się uczyć.

W Sierakowicach kierownikiem szkoły został pan Mosz, przedwojenny nauczyciel czteroklasowej szkoły, ten sam, którego kiedyś woziłem łódką po kanale. Teraz wrócił ze swoją żoną do Sierakowic. Przez cały maj 1945 roku, korzystając z jego życzliwości i wiedzy, przygotowywałem się do egzaminu do szkoły średniej. W czerwcu, trzy miesiące po wejściu Rosjan, w niemieckim do niedawna mieście, zdawałem egzamin do pierwszej klasy polskiego Gimnazjum i Liceum w Lęborku.

Nadszedł wrzesień. Zamieszkałem w Lęborku u znajomego ojca, listonosza z Sierakowic. Był wdowcem. Mieszkał w dużym, trzypokojowym mieszkaniu służbowym razem z dwudziestoparoletnim synem i niewiele młodszą córką. Obaj mężczyźni pracowali na poczcie, dziewczyna natomiast pełniła obowiązki pani domu. Młoda, nudząca się w domu panienka, przeszkadzała mi w odrabianiu zadań domowych. Była ode mnie starsza. Po kilkunastu dniach zdałem sobie sprawę, że w takich warunkach nie zdam nawet małej matury. Swoje wnioski przekazałem ojcu, który przyrzekł załatwić mi inną stancję.

Nowe lokum znalazł mi u naszego byłego sąsiada Damrosa. W następnny poniedziałek przyjechał, by mnie do niego zaprowadzić. Spakowałem swoje książki i zeszyty, pożegnałem się z rodziną listonosza i ruszyliśmy w drogę. Po kilkunastu minutach marszu byliśmy na miejscu. Za tablicą z szyldem Lęborka, przy ulicy prowadzącej do Nowej Wsi, stał duży dwupiętrowy dom mieszkalny, a za nim ogromne budynki gospodarcze. Patrzyłem zdumiony na ojca. On spojrzał na mnie i powiedział:

- Jo, Mariónku, to je nowé dodóm naszego sasóda. To tu wëdzrzy na szlachecczi mól.

Gospodarz wyszedł z domu. Nie mogłem uwierzyć, jak się zmienił. Był wysoki, dobrze ubrany, miał długie buty. Na lewej ręce miał biało-czerwona opaskę, a na ramieniu karabin. Na nasz widok odstawił broń, przywitał się serdecznie i zaprosił do wnętrza. Weszliśmy do ogromnej izby. Na wielkim dywanie stał duży stół, a wokół niego obite skórą krzesła. Pod ścianami ustawione były ciemne, rzeźbione meble. Stanałem jak wryty, gdyż tak pięknie urządzonego wnętrza nigdy przedtem nie widziałem. Gospodarz z uśmiechem zaprosił nas do stołu szerokim gestem ręki, wołając w głąb domu:

- Kadijka pój le sa, më mómë göscy. Jónkz Mariónkem są jutu.

Za chwilę wbiegła mała, ruchliwa gospodyni, witając nas radosnym okrzykiem.

- Witôjtaż. Më sa wiedno baro ceszimë, czë chto z naszych pustktuzazdzi.

Potem zawołała, spojrzawszy na mnie:

- Jezësu, jak jô sa cesza, że të chôdzysz do gimnazjum. Nasz Alojzy téż pudze ód witra ztobądo szkôłë. Të Mariónku, doch miôł wiedno miatkągłowa, tej të badzesz mógł naszemu Alisowi pomóc, czejbë ôn czego nie rozmiôł - dodała.

- To sa wić, że wiedno pômôga. Jô sa cesza, że bada mieszkôł z lëdzama z naszych stron - odpowiedziałem z radosnym uśmiechem.

Ta odpowiedź podobała się staremu Damrosowi. Podkreślił jasne wąsy, wyciągnął rożek z tabaką i podał ojcu.

- Wezta le so po prize - powiedział. - Jónku, twój syn badze u nas achtniati, jak nasze dzezë.

Po spożyciu skromnego poczęstunku ojciec pożegnał się ze wszystkimi i pojechał na rowerze do Skrzeszewa.

Od wtorku, z dwutygodniowym opóźnieniem, syn

gospodarzy zaczął chodzić do tej samej klasy, co ja. Grupa składała się z młodzieży w wieku około dwudziestu i więcej lat. Naszym zadaniem było zaliczenie pierwszej i drugiej klasy gimnazjum w jednym roku. Nie było to łatwe zadanie. Nasza klasa liczyła blisko czterdziestu osób, w tym siedemnastu było z Kaszub. Uczniowie byli w różnym wieku i mieli za sobą przeróżne doświadczenia. Jedni przyszli ze wschodu z wojskiem, inni z partyzantki, niektórzy mieli wytatuowane na rękach numery z obozów koncentracyjnych.



Pierwsze powojenne gimnazjum mieściło się w budynku mieszkalnym położonym naprzeciw starostwa. Stan obecny.

W właściwym obiekcie szkolnym zorganizowano szpital dla wojsk radzieckich. Dlatego gimnazjum mieściło się w budynku mieszkalnym położonym naprzeciw starostwa. Klasy były bardzo ciasne. W niektórych do tylnych ławek dochodziło się po pulpitach. Brakowało polskich podręczników i podstawowych pomocy naukowych. Nie brakowało tylko zapału i chęci zdobywania wiedzy. W tamtych latach uczniom, zwłaszcza pochodzącym ze wsi, nie trzeba było tłumaczyć, że

naukajest ich wielką szansą na zmianę dotychczasowego życia. Ta świadomość była ich siłą, dającą szansę na zrobienie z nich wartościowych ludzi.

Z synem gospodarzy zajmowałem wspólny pokój. Musiałem go wspierać w nauce. Przed wojną skończył tylko czteroklasową szkołę w Skrzeszewie. Po wojennej przerwie, bez przygotowania, został umieszczony w gimnazjum dzięki znajomościom i ambicjom swojego ojca. Mimo wielkich starań z mojej i jego strony miał duże trudności z nadrobieniem wiedzy.

Rodzina Damrosów była liczna. Dwudziestoparoletni Stanisław, chodzący ze mną do szkoły, był najstarszym synem. Potem był Alojzy i czwórka młodszych. Dwoje pozostałych, dwudziestotrzyletni Alfons i siedemnastoletnia Urszula, pozostali na starych ziemiach w Skrzeszewie. Nowe gospodarstwo miało ponad trzydzieści hektarów ziemi dobrej klasy, w większości łąk i pastwisk. Na ogrodzonym terenie położonym tuż za budynkami gospodarczymi pasło się pięć dojnych krów i dwa silne konie.

Pewnego dnia, gdy po powrocie ze szkoły jadłem obiad, do właścicieli przyszedł gość. Z rozmowy zorientowałem się, że nieznajomy jest ocalałym Żydem mieszkającym w Lęborku, a jedna z pasących się krów należy do niego. Z dalszej rozmowy wynikało, że chce zabrać swoją krowę, korzystnie ją sprzedać i wyprowadzić się do Warszawy. Gospodarz zaproponował Żydowi kupno, na co ten wyraził zgodę i zażądał pięciuset złotych. Żona właściciela załamała ręce:

- Panie Goldszmit, skąd my biedacy mamy wziąć tyle pieniędzy. Zlituj się pan nad tym drobiazgiem, nie pozbawiaj ich tej kropli mleka!

Obecne w pokoju dzieci, widząc płaczącą matkę, zaczęły się w niebogłoso drzeć. Kobieta rzuciła się na kolana, przytuliła swoją płaczącą gromadkę i patrząc błagalnie na Żyda lamentowała dalej:

- Panie zlituj się. Pan wie co to nędza, przeżył pan wojnę, nie wyrządzaj takiej krzywdy moim dzieciom!

W tym płaczu i krzyku z trudem dało się słyszeć głosy gościa i gospodarza targujących się o cenę krowy. Żyd po każdym głośniejszym i bardziej rozpaczliwym wybuchu płaczu dzieci i kobiety obniżał o kilka lub kilkanaście złotych cenę. Nareszcie dobito targu. Gospodarze za dwieście czterdzieści złotych stali się właścicielami piątej krowy. Uspokojona gospodyni postawiła na stole butelkę bimbru, którym zapito transakcję. Po chwili, po Żydzie został tylko leżący w kącie pokoju sznur, z którym przyszedł po swoją krowę. Stary Damros z zadowoleniem zatarł ręce i patrząc z uśmiechem na żonę rzekł:

- Jo, Kadijka, tē mia bēlno pomogła w nym szachrowaniu. Dzaka Bogu i tobie mómē ta fejn krowa za połowa wōrtoscē nabētē. Terō, czej Rusce wnet wszētzcē krowē na wschōd wēnēkelē taczē bidla kupie nieje letko - dodał podkreślając jasne wąsy.

W czasie obiadu siedziałem cicho przy stole patrząc, słuchając i ucząc się zasad handlu. Z opowiadań ojca wyniosłem przekonanie, że w interesach najlepsi są Żydzi. Teraz przekonałem się, że i wśród nas bywają tacy, którzy nawet z nimi potrafią dać sobie radę. Wstałem od stołu, podszedłem do gospodyni i powiedziałem z podziwem:

- Wiēce, Damroskō, wē bē möglē w teatrach grac. Czej jo słēchōł, jak wējamrējece, że czej nen Žid warna ta krowa weznie óstónieta bez mleka, mia sa robiło markotno i zacząłjem ôczē wēcerac,

Kobieta uśmiechnęła się i rzekła:

- Widzysz, Mariónku, Kaszēbi tēż rozmięją szachrować. Niejeden Žid mōgłbē sajesz wiele ód nas nauczcē.

Dzięki sumiennej pracy szybko zdobyłem pozycję jednego z najlepszych uczniów w klasie. Gdy inni się zorientowali, że skutecznie pomagam Alojzemu, też zaczęli się pojawiać ze

swoimi problemami. Najbardziej dumny był z tego stary Damros. Często bywali u mnie pracowity chłopak spod Podjaz Wojtek Furman i Bolek. Mieszkał on w mieście z ojcem wdowcem, repatriantem z terenów Polski wschodniej i młodszą siostrą. Jego ojciec pracował w fabryce, gdzie miał dostęp do alkoholu. Bolek w płaskiej butelce, zwanej przez nas pieśczośliwie małpką, często przynosił na spotkania bimber, a czasem i czysty spirytus. Wszyscy mieliśmy po dwadzieścia i więcej lat. Nasz gospodarz również nie widział w tym nic złego. Gdy zasłyszał, że butelka krąży po pokoju, wchodził ze słowami: „Boże warna chłopi pomagôj w uczbie”, a potem pytał, zacierając ręce: „Mota wa kask kórnuśa, bó to je pěrźna zëmno dzysô?”

Bolek wyciągał wtedy swoją butelczynę i nalewał do szklanki lub blaszanego kubka.

Bywali też u mnie koledzy z Sierakowic: Lehman i Wejer. Zjawiali się wtedy, gdy mieli problemy z jakimś zadaniem. Nie mieli zbyt dużo czasu na naukę, byli bowiem zajęci handlem z Rosjanami. Właśnie dzięki nim wielu z naszych profesorów posiadało meble w mieszkaniach. Do tej grupy należał też najwyższy wzrostem Stasiu Starkowski. Był dobrym uczniem i starostą klasy. Wspólnie wyjaśnialiśmy szkolne wątpliwości. Mieszkał w mieście z ojcem księgowym, matką, ciotką i dwoma młodszymi braćmi. Mimo że pochodził z okolic Sierakowic, nie znał dobrze języka kaszubskiego. Jego ojciec bowiem przybył z centralnej Polski.

Minęła zima. Wiosną 1946 roku władze powiatowe w Lęborku usunęły moich gospodarzy z zajmowanego budynku. W zamian za opuszczony dom otrzymali gospodarstwo położone o ponad kilometr od miasta, na początku zwartej zabudowy Nowej Wsi Lęborskiej. Z tej zmiany nikt nie był zadowolony. Mimo tego nikt nie odważył się protestować. Przejęty dom przeznaczony został na potrzeby służby bezpieczeństwa.

Droga do szkoły wydłużyła się o ponad kilometr. Do grupy najbliższych kolegów dołączył teraz mieszkający prawie naprzeciwko nowego domu za ulicą i rzeką Józef Tokarczuk. Gospodarstwo, w którym mieszkał z rodzicami, było prowadzone przez jego siostrę i szwagra, repatriantów z Ukrainy. Józef był starszy ode mnie o rok. Był żołnierzem pierwszej armii wojska polskiego w stopniu chorążego. Pokonał szlak od Lenino do Berlina. W czasie uroczystości państwowych występował w mundurze wojskowym. Jego żołnierska bluza była obwieszona świecącymi medalami, jak choinka.

Bratem Józefa Tokarczuka był ksiądz Ignacy, późniejszy arcybiskup. Jako doktorant Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, prowadził parafię w Łebuni niedaleko mojego rodzinnego Skrzeszewa.

W pierwszym okresie po wojnie korzystaliśmy z sali gimnastycznej stojącej na Placu Zwycięstwa. Cały ten teren był wówczas wykorzystywany jako stadion sportowy oraz miejsce zebrań. W pamięci zachowała mi się jedna z pierwszych takich uroczystości. Przy sali gimnastycznej ustawiona była trybuna, na której zasiedli honorowi goście z sekretarzem PPR-u i starostą na czele. Trybunę i plac przystrojono biało-czerwonymi i czerwonymi chorągwiami. Delegacje szkół i zakładów pracy, wyposażone w szturmówki i transparenty, ustawiono w wyznaczonych dla nich miejscach naprzeciw trybuny. Po odegraniu hymnu państwowego i międzynarodówki rozpoczęły się przemówienia. Jako pierwszy kilka słów powiedział sekretarz i oddał głos staroście. Ten podszedł do mównicy i swój referat rozpoczął słowami, które mi na zawsze utkwily w pamięci: „Obywatele, obywatelki i ty ludu z za Buga, witam was”

Rzęsiste brawa nagrodziły już to pierwsze zdanie przemówienia. Niespieszony mówił dalej o zasługach armii radzieckiej, o sprawiedliwości dziejowej, o powrocie na dawne

ziemie piastowskie. Przemawiał głośno przez prawie pół godziny. Zauważyłem, że większość zajęta była rozmowami z sąsiadami. Gdy zakończył mowę słowami „Niech żyje i rozkwita Polska Ludowa”, zebrani krzyknęli trzykrotnie „Niech żyje” i zaczęli bić brawa z pewnością ciesząc się, że nareszcie skończył. Po części oficjalnej miały się odbyć zawody sportowe. Zdenerwowany, z ogromnym napięciem, czekałem na pierwszą konkurencję, w której miałem wziąć udział. Był to bieg na sto metrów. Zależało mi bardzo na dobrym wyniku, gdyż między widzami była moja mama. Po strzale ruszyliśmy. Zaciskając zęby, gnałem najprędzej jak mogłem. Mimo to plecy dwóch kolegów oddalały się. Tuż przed metą wyprzedził mnie jeszcze jeden. Wpadłem czwarty. Za mną pozostało jeszcze czterech. Po dłuższym wypoczynku nastąpił bieg terenowy na dystansie trzech kilometrów. Startowało nas ponad czterdziestu. Znałem doskonale okolice i przebieg trasy. Wiedziałem, że w grupie jest wielu lepszych ode mnie i że mam małe szanse na dobre miejsce. Ruszyliśmy. Najpierw runda wokół stadionu, a potem na drogę w kierunku Nowej Wsi. Trzymałem się końca kolumny biegaczy. Na obrośniętym krzakami zakręcie wskoczyłem w gąszcz i przeczekałem, aż przebiegnie ostatni z zawodników. Potem skrótami, miejscami nawet na czworakach, dotarłem do znajdującego się niezbyt daleko od boiska odcinka trasy powrotnej. Czekałem długo. Wreszcie ukazała się czołówka biegaczy. Przepuściłem kilkunastu pierwszych zawodników i wyskoczyłem za ostatnim z nich w momencie, gdy ci z tyłu na zakręcie nie mogli mnie zauważyć. Koledzy, którzy mieli za sobą ponad dwa kilometry, nie biegli już tak szybko jak na początku. Zacząłem ich doganiać i stopniowo wyprzedzać. Biegłem na czwartej pozycji. Wiedziałem, że nasz gimnastyk nie uwierzy, gdy któregoś z czołowej trójki wyprzedzę. Na stadion wbiegłem równo z trzecim zawodnikiem, zdobywając ex equo trzecie miejsce. Uradowana mama podeszła do mnie i powiedziała z dumą:

- Wejle, Mariónku, tã rozmiejesz tãz fest biegać.

A po chwili dodała z uśmiechem:

- Musza to rzec tace, ón sa badze zycher tãz cesził.

Wieczorem w sali i na stadionie odbyła się zabawa ludowa.

Wreszcie doczekaliśmy się chwili, gdy wojsko radzieckie oddało szkolnym władzom polskim gmach dawnego niemieckiego liceum. Budynek znajdował się przy głównej wlotowej ulicy miasta od strony Kartuz i Bytowa. Był to ogromny kilkupiętrowy obiekt, obłożony klinkierem i kryty ciemnoszarą wypalaną dachówką. Stał dumnie oddalony od



Gmach liceum imponuje wielkością i piękną architekturą. Stan sprzed II wojny światowej od strony frontu.

ruchliwej ulicy w głębi ogrodu, do wnętrza którego wchodziło się z drugiej strony budynku przez masywne wysokie dwuskrzydłowe drzwi. Na parterze znajdowała się sala gimnastyczna i szatnie, a szerokie schody prowadziły do auli, korytarzy, sal klasowych i innych pomieszczeń położonych na wyższej kondygnacji. W nowym gmachu pokoje lekcyjne były

duże, wysokie, oświetlone wielkimi oknami, podzielonymi na niewielkie szyby. Te wnętrza w niczym nie przypominały klitek, w których przed rokiem rozpoczynaliśmy naukę.

W poprzednim roku szkolnym, w drodze do gimnazjum, omijaliśmy najbardziej zniszczone centrum miasta. Teraz droga wiodła właśnie tędy. Nieraz zatrzymywałem się tam, by zobaczyć ogrom zniszczeń. Szczególnie budynki przy rynku i sąsiednich ulicach miasta wyglądały jak szkielety z wypalonymi wnętrzami, spalonymi dachami, strasząc oczodołami pustych okien. Był to przygnębiający widok. Znałem Lębork, a zwłaszcza jego zabytkowe śródmieście, z czasu wojny. Nieraz z zadartą głową podziwiałem urok stojących przy rynku stylowych, pięknych kamieniczek, których w nienaruszonym stanie pozostało po wojnie tylko kilka. W czasie wojny na ulicy, w sklepach, czy na targowisku mówiono po niemiecku. Chroniłem się wówczas do stojącego w pobliżu katolickiego kościoła św. Jakuba. W tym dostojnym wnętrzu można było spokojnie posiedzieć, odpocząć, pomodlić się, a nawet przystąpić do spowiedzi słuchanej w języku polskim.

Straszny los spotkał niewinne, uroczę kamieniczki. Zostały zniszczone przez wschodnich barbarzyńców. Cudem ocalał kościół. Z opowiadań starszych mieszkańców wiedziałem, że Lębork został opanowany bez walk. Wypowiedzi wszystkich pozostałych jeszcze Niemców i pierwszych polskich osadników były zgodne. Jedną z przyczyn zniszczenia miasta był fakt, że transformator zaopatrujący centrum w prąd został zniszczony i przez dłuższy czas panowały tam ciemności. W pięknych kamieniczkach przy rynku mieszkali najbogatsi lęborzanie, którzy masowo opuszczali swoje mieszkania. W pobliżu centrum znajdowały się zakłady spirytusowe należące do rodziny Kasper. Ich właściciel do końca nie wierzył w klęskę Niemiec i nie zlikwidował ogromnych ilości spirytusu. Łasi na wódkę rosyjscy „oswobodziciele” szybko zabrali się do likwidowania

tych zapasów. Heimami czerpali ulubiony trunek, przelewając go potem do spragnionych gardeł. Rozochoceni ruszali w wyludnioną centralną część miasta. Pod pozorem szukania ukrytych Niemców rabowali i bezmyślnie niszczyli wszystko, co napotkali na drodze. Nocą musieli w jakiś sposób oświetlić wnętrza domów. Robiono wówczas pochodnie z papieru, książek czy połamanych drzwi. W pokojach, często wyłożonych dywanami, rozpalano ogniska. Nic dziwnego, że przez drewniane stropy ogień z jednej kamieniczki łatwo przenosił się na sąsiednie obiekty, trawiąc tym samym całe domy. Ponadto



Róg ulic Mikołaja Reya i Staromiejskiej. W głębi widać wieżę ocalałego kościoła św. Jakuba, rok 1946.

od jednego Niemca dowiedziałem się, że niemieccy komuniści współpracowali z komunistami radzieckimi, którym wręcz przekazali wykazy pałacyków i domów należących do niemieckich bogaczy, celem ich zniszczenia. Według jego relacji po kilku tygodniach od zajęcia miasta, wracający Niemcy z daleka widzieli łuny ognia nad swoim miastem. W tamtych czasach nikt nie odważył się pytać, dlaczego palono miasto

mające należeć do Polski. Po ukształtowaniu się polskiej administracji zapanował względny spokój.

W szybkim tempie uruchomiono milicję obywatelską, administrację, służby komunalne, szkolnictwo, handel i rzemiosło. Miasto zaczęło żyć. Z podziwem patrzyłem, jak w krótkim czasie w miejscu dawnego gruzowiska powstawały sklepy i zakłady usługowe. Ludzi cechował ogromny zapał i chęć do pracy. W sobotnie popołudnia jeździłem rowerem do domu. Przejeżdżałem przez poniemieckie Osowo, Łebunię i Bukowinę, w których do końca wojny były majątki ziemskie. Teraz ziemia również nie leżała odłogiem.

Pewnego razu w Osowie ujrzałem niezwykły widok. Po zaoranym i zabronowanym polu szło w rzędzie kilkunastu żołnierzy z wypełnionymi ziarnem płachtami przewieszonymi przez ramię. Lewą ręką trzymali róg płachty, a prawą siali zboże. Zachwycony tym widokiem stałem dłuższą chwilę. Raptem z lasku wyskoczyło trzech żołnierzy i próbowali wyrwać mi rower. Zdrętwiałem z przerażenia. Nagle z tyłu rozległ się strzał, a po nim rozkaz:

- Puśćcie go, bo zastrzelę was na miejscu, jak psy!

Żołnierze po drugim wystrzale puścili mnie i uciekli w popłochu. Zdumiony odwróciłem się. Za mną stał wysoki, może czterdziestoletni mężczyzna w cywilu. Jedną ręką trzymał swój rower, a w drugiej miał pistolet. Podeszedł do mnie i przedstawił się. Powiedział, że jest wicestarostą łęborskim. Dopiero gdy ochłonałem, zdałem sobie sprawę, że napastnicy byli w polskich mundurach. Gdy podzieliłem się tym spostrzeżeniem z moim wybawcą, odpowiedział:

- Tak, majątek w Osowie jest administrowany przez wojsko polskie, ale dziś na ziemiach odzyskanych Rosjanie i nasi postępują podobnie. Trzeba być bardzo ostrożnym.

Jechał obok mnie aż do Łebuni trzymając w rękę rewolwer i uważnie rozglądając się na boki. Dalej jechałem sam. Droga

minęła szybko. Przed progiem powitała mnie matka. Z kuchni dochodził przyjemny zapach smażonej wędzonki. Usiedliśmy z ojcem przy dużym drewnianym stole stojącym niedaleko domu. Za chwilę za naszymi plecami odezwał się tubalny głos:

- Niech badze pöchwôlony Jezës Christus. Widza Jónku, że dzys môsz so zrobione frej dzień. Dzys doch nieje niedzela.

- Na wieczy wieków. Amen - odpowiedział ojciec. - Wez le so Aleksy sadnij tu kol nas i zażij z nama priza tabaczi - dodał, podając sąsiadowi rożek.

Sąsiad, zwany ze względu na swój wzrost Dłudzi Kléna, zaczął mówić:

- Dzys reno tak kôl dzesąti przëjachelë do mie na óbóra wözem zaprzëgłim w dwa kônie dwaji sënowie ti amsterczy, co przed wójną zamanówszë do Gduńskajadiwała.

- Të wiera gôdôsz ó gdowie Nowcziczce, co przódë tu kol Sadeków w Skrzeszewie bëła, a terô je w Nowi Wsë kôl Labórga.

- Jo. Ti dwaji ôstawielë konie z wozem na oborze pod ókem möjégô nôstarszégô Józka i wlezie do nas w jizba. Gôdelë ó rozmajitëch fizmatentach, a tak ód czasu do czasu wëpëtiwelë sa, czë jô wiem abö móm czëté, chto bë tu w naszi öbëndze miôł kônie czë chöc zgrzébiata do przedaniô. Z tijejich gôdczi jô zmerkôł, że terô ti dwaji zycher szachrëjåkôniama.

- Wiész Aleksy, na mój pózdrzatk ti dwaji mögą bëc z ti bańde, co w slëdnëch niedzielach tu w naszych stronach konie, wözë i sle kradła - zauważył ojciec.

- Kó tojô prawie chcą rzec, bo w czasujakjô z nima gôdôł mój knöp öbzérôł jejjich konie i sle. Na jednym bëła nasza, dwie niedzele temu ukradło, sla.

- Na mój pózdrzatk nôlepi nick nikomu nie gódac, le sadnac na kôto i nëkac do Labórga, a rzec to milicji - powiedziałem.

Już następnego dnia potwierdziły się przypuszczenia sąsiada. Za Nową Wsią zobaczyliśmy jak uzbrojeni milicjanci

prowadzą czterech młodych mężczyzn. Potem aresztowano jeszcze kilkunastu innych. Budzący przerażenie gang koniokradów został zlikwidowany. Dochodzenie ujawniło, że ta grupa przerzuciła kilkadziesiąt koni z wozami i uprzężą aż pod Szczecin.

Latem moim głównym zajęciem był wyrób cementowych dachówek. Wielu ludzi z naszych stron miało teraz rodziny na terenie dawnych ziem niemieckich. Odwiedzając ich, widzieli domy kryte dachówką. Słomiane dachy, które u nas stanowiły większość, stały się niemodne. Zapanowała moda na upodobnienie naszych wsi do tamtych.

W stodole stała maszyna do wyrobu dachówek. Było to urządzenie kupione kilka lat przed wojną. Dachówczarką robiło się równocześnie dwie dachówki. Stojąc godzinami przed maszyną wkładałem do środka posmarowane olejem formy, na które układałem beton. Ciężkim, podnoszonym i przesuwanym ręcznie heblem stalowym ubijałem go i gładziłem aż do uzyskania odpowiedniego kształtu. Gotowe dachówki razem z formami odstawiało się na regały, gdzie stały przez jedną dobę. Następnego dnia rano, stukając drewnianym młotkiem w blachy, oddzielało się formy od lekko już stwardniałych dachówek, które ustawiało się do dojrzewania. Dzień roboczy trwał dziesięć godzin. W tym czasie wykonywaliśmy pięćset dachówek, tyle bowiem mieliśmy form. Pracowałem z synem sąsiadów, Władkiem. Po obiedzie była chwila odpoczynku. Wykorzystywaliśmy go różnie. Czasem na drzemkę w cieniu świerków, czasem na rozmowy.

Pod koniec 1946 roku mama, która z czasów wojny znała w Lęborku wiele rodzin niemieckich, załatwiła mi mieszkanie w mieście. Od Damrosów przeniósłem swój skromny dobytek na ulicę Kwiatową nr 10. Nowe miejsce zamieszkania znajdowało się w starym budynku. Wchodziło się do niewielkiej kuchni. Stąd przechodziło się do dużego pokoju, a z niego do

mniejszego. Mieszkanie, jak zresztą większość w tym czasie, ogrzewane było piecami kaflowymi. Komórka na drewno i węgiel oraz ubikacja znajdowały się na podwórzu. Gospodyni domu, około czterdziestoletnia Niemka, mieszkała tutaj ze swoim dwunastoletnim synem. Jej mąż był żołnierzem, od którego nie miała znaku życia. Ustalono, że mniejszy pokój będzie mój, a duży jej i syna. Z kuchni mieliśmy korzystać wspólnie. Moje osiedlenie się tam było korzystne dla obu stron. Dla mnie, gdyż mieszkałem teraz w centrum miasta i miałem blisko do szkoły, a dla nich dlatego, że osiedlił się u nich Polak ze znanej im kaszubskiej rodziny.



W tej kamienicy zamieszkałem wraz z przyjazną Niemką i jej synem... Stan obecny.

Natychmiast też zawiesiłem na drzwiach tabliczkę z moim nazwiskiem i napisem: Zajęte przez Polaka. Chroniło to nieco mieszkańców przed brutalnym wtargnięciem rabusi Polaków lub Rosjan i plądrowaniem mieszkania. W tej kamienicy mieszkało szesnaście robotniczych, biednych rodzin

niemieckich. Mieszkania były nieatrakcyjne i zapewne dlatego jeszcze niezasiedlone przez Polaków. Nowi osadnicy w pierwszej kolejności zajmowali wille, luksusowe mieszkania, warsztaty rzemieślnicze, sklepy.

Ucząc się w klasach dziennych nie miałem też możliwości podjęcia pracy zarobkowej. To powodowało, że mój status materialny był niski. Poziomem życia nie odbiegałem od żyjących razem ze mną Niemców. W hierarchii polskich przybyszów zajmowałem niską pozycję. Kaszubskie wychowanie nie zezwalało mi na dokonywanie rabunków, kradzieży i szabru, takjak to czyniło wielu z nich. Znaleźli się tu nie po to, by się na stałe osiedlić. Na byłych terenach ponemieckich zwęszyli możliwość łatwego i bogatego łupu. Na szczęście byli też inni, którzy dobrze rozumieli tragedię przeżywaną przez pokonanych.

Znając trochę niemiecki, mogłem się porozumieć z moimi współlokatorami i pozostałymi mieszkańcami domu. Często bywałem też u mieszkającej piętro niżej rodziny. Wraz z matką mieszkała tam osiemnastoletnia córka, jej dwaj młodszy bracia i ponadsześćdziesięcioletni dziadek. Na początku nasze stosunki były trochę nieufne. Po bliższym poznaniu się starszy pan zaczął niemal szeptem opowiadać zdarzenia, o których nie miałem pojęcia.

- Wiesz co działo się przedwczoraj na trasie pociągu z Łeby do Lęborka?

Zgodnie z prawdą zaprzeczyłem. Starszy pan spojrzał w niskie okno sutereny, potem na mnie i zaczął smutnym, drgającym ze wzruszenia głosem mówić.

- Przedwczoraj zaczęto wysiedlać naszych ludzi z Łeby i wiosek położonych wzdłuż trasy pociągu. Przyszli oni na dworzec z walizkami i tobołkami. Do ich przewozu przygotowano wagony, do których wchodzi się z dwóch końców. Gdy ludzie obciążeni walizkami wchodzili do wagonu, stojący

na podestach pracownicy Urzędu Bezpieczeństwa, Straży Ochrony Kolei czy też sami kolejarze, pod pretekstem udzielenia pomocy odbierali co większe pakunki. Ludzi wpychano pospiesznie do wnętrza, a walizki przerzucano na drugą stronę wagonu. Tam czekali już inni, by je odebrać i odnieść.

- Co pan mówi. Nie wierzę. To niemożliwe, by Polacy, odpowiedzialni za porządek urzędnicy, coś takiego robili - mówiłem z niedowierzaniem.

- Ja też nie chciałem uwierzyć. Niestety, słyszałem to od wiarygodnych ludzi, którzy widzieli to na własne oczy.

Po kilkunastu dniach zaszedłem znowu do tej rodziny. Przywitali mnie jak zwykle serdecznie. Starszy pan podszedł do mnie mówiąc:

- Rozmawiałem jeszcze raz ze swoimi znajomymi pracownikami kolei. To, co opowiadali poprzednio, potwierdzili teraz pod przysięgą.

- Wierzę panu - powiedziałem. - Słyszałem już o tylu zbrodniach i gwałtach zadanych przez Niemców i Rosjan w czasie wojny, że jest możliwe, iż teraz nasi postępują podobnie.

Przywiezione do Lęborka grupy wysiedleńców, czekające na dalszy transport na zachód, umieszczono w byłym zakładzie psychiatrycznym w rejonie jednostki wojskowej przy ulicy wylotowej na Bytów. Tam byli bezpieczni przed napadami szabrowników.

Któregoś dnia mój informator z sutereny naszego domu poprosił mnie na wieczór do siebie. Gdy siedliśmy, zaczął mówić:

- Przed paroma dniami prowadzono naszych ludzi ze zgrupowania w byłym zakładzie psychiatrycznym do dworca. Szli długą grupą, po dwie, trzy osoby w rzędzie, prowadzeni przez straż. Niektórzy z nich nieśli uratowane walizki czy paczki. Prowadzono ich przez Zatorze obecną ulicą Aliantów do stacji kolejowej. Na wąskiej drodze wiodącej przez gęsty, młody las,

grupa musiała się bardzo rozciągnąć. Idący na przdzie i z tyłu strażnicy nie widzieli, co dzieje się w środku. Tam zaczajeni w młodniku szabrownicy wyskakiwali z kijami i odbierali ludziom co lepsze pakunki bijąc ich po rękach. Wielu przyszło na dworzec płacząc, z pobitymi rękami i bez bagaży.

- Doskonale pan wie kto i dlaczego wywołał tę wojnę - odparłem wzburzony. - Za tragedię Europy, za wymordowanie milionów ludzi, za totalne zniszczenie Polski, za waszą klęskę i jej obecne konsekwencje, odpowiedzialni są niemieccy naziści z Hitlerem na czele. Myśmy na was nie napadli. To wasze wojska weszły bez wypowiedzenia wojny na tereny polskie, pałac i mordując. Waszym wymysłem były obozy koncentracyjne, miejsca masowych egzekucji. Po was zostały na naszych ziemiach masowe groby. To wy wyrzucaliście Polaków z gospodarstw, obsadzając je baltendojczarni lub przesiedlając wielu mieszkańców Pomorza do Generalnej Guberni lub do obozów.

- Masz rację - odpowiedział po dłuższej chwili. - Wiem, że masz rację, ale nasi prości ludzie też są tylko biednymi ofiarami wojny.

Po tygodniu zjawiłem się znowu u sąsiadów. Nie mogli uwierzyć, że zbliża się czas ich wyjazdu i że będę musieli opuścić swoje rodzinne strony. Przekonywali mnie, że mają pochodzenie kaszubskie, a więc i prawo do pozostania na miejscu. Zajęty rozmowami z dziadkiem specjalnie nie zwracałem uwagi na jego osiemnastoletnią wnuczkę. Ta jasnowłosa dziewczyna robiła wszystko, żebym się nią zainteresował. W sąsiednim lokalu mieszkała druga rodzina, mająca ciemnowłosą córkę, starszą o rok. Obydwie rodziny prześcigały się nawzajem w zapraszaniu mnie na wieczór. Spostrzegłem, że gdy przebywałem na gościnie u jednych, przychodziła panna z sąsiedztwa i odwrotnie. Tych zalotów wprawdzie nie traktowałem poważnie, ale zastanawiałem się, co kierowało ich

postępowaniem. Może był to strach przed nieznaną przyszłością, przed wywózką na zachód? Może chciały pozostać tutaj na miejscu, co było możliwe po zdobyciu męża Polaka? W zachowaniu się Niemców, szczególnie młodych, nastąpiła olbrzymia zmiana. Dawniej byli oni wyniośli, butni, przekonani o wyższości swojej rasy. Panny niemieckie, jeśli spojrzały na polskiego chłopaka w czasie wojny, to tylko z lekceważącą pogardą. Teraz, te same dziewczyny, które pewnie jeszcze niedawno nosiły mundury „Bund Deutsches Madei”, robiły, co w ich mocy, by zaskarbić przyjaźń polskich chłopców.

Pod koniec 1947 roku nadeszło pisemne polecenie, by wszyscy Niemcy znajdujący się jeszcze w mieście opuścili swoje mieszkania w ciągu jednego dnia i z podręcznym bagażem zgłosili się na dworzec kolejowy. Przed południem w dniu wyjazdu milicjanci chodzili od mieszkania do mieszkania, sprawdzając, czy czynione są przygotowania do opuszczenia Lęborka. W tym dniu nie poszedłem do szkoły. Obawiałem się, że jeszcze na koniec mogą się zjawić rabusie. Było mi smutno. Przez prawie rok czasu żyliśmy wspólnie w zgodzie. Nikt nie zapytał tych ludzi, czy może zechcieliby pozostać w Polsce i starać się o polskie obywatelstwo. Wielu z nich było bowiem zgermanizowanymi Kaszubami. Patrząc na zapłakaną twarz mojej współlokatorki, przypomniałem sobie matkę i nasz dom po wejściu Rosjan. Miliony niewinnych ludzi, którzy tej wojny nie wywołali, teraz cierpieli nędzę i głód. Nie wiedzieli, jaka czeka ich przyszłość. Musieli odchodzić, pozostawiając za sobą groby bliskich i wszystko, co na tej ziemi stworzyli. Mimo że miałem ochotę, nie poszedłem na dworzec z gospodynią i jej synem. Bałem się włamania do mieszkania. W chwili pożegnania Niemka rzuciła mi się na szyję. Ze łzami w oczach, przerywanym głosem, mówiła po niemiecku:

- Do prędkiego zobaczenia. Mieszkaj tu i pilnuj wszystkiego. Mam nadzieję, że niedługo wrócę do domu.

Po chwili puściła mnie, jeszcze raz spojrzała w głąb mieszkania i gorzko zapłakała:

- O Gott! Co ja, co mój syn, co myśmy takiego zrobili, że wypędza się nasjak bezdomne psy?

Stała tak dłuższą chwilę. Potem wzięła walizki, otworzyła drzwi kuchni i wyszła, przepuszczając przed sobą obciążonego tobołkami, zapłakanego syna. Na korytarzu przyłączyła się do grupki schodzących po schodach mieszkańców piętara. Nie mogłem na to patrzeć. Zamknąłem drzwi i zrezygnowany usiadłem na łóżku ostatni raz pościelonym przez prawowitą właścicielkę mieszkania.

Kilka tygodni wcześniej złożyłem do Urzędu Miasta wniosek o przydział mieszkania, w którym przebywałem. Odpowiedź nie nadchodziła. Moje rozmyślenia przerwało ciche pukanie do drzwi. Z lękiem podszedłem i nie otwierając zapytałem:

- Kto tam?

Zza drzwi usłyszałem znajomy głos.

- Mariónku, odemknij le dwiérze. To jemjô z cotką Julka Uradowany wpuściłem do środka mamę i jej siostrę, zakonnicę. Kobiety zaczęły się krzątać przy kuchni, szykując coś do jedzenia.:

- Co je lóz, że ful lëdzy z kuwerkama i z pindlamajidze do banofa? - spytała mama.

Zdziwiony spojrzałem na nie i zapytałem:

- Czë wa le terô przëjacha do Labórga, czë reno?

- Niedôwno, a czemu?

- Tej wa nie wiéta, że tu je sądny dzień. Dzys tu z naszego fértla wënëkelë Miemców. Wszëtcë saju na banofie.

- Maria, Józefie swiati! Ta twôja Miemcka téż?

- Jo, wszëtcë z naszego budinku saju wëk.

- Co sa na tim świece dzeje. Nôpierwi Miemcë nas maczëlë, pôtemu Ruscë nas i Miemców, a terô jich sa wënëkiwô jak scërzów. Jak długo jesz ledze bada dlô se jak wilce?

Ustaliliśmy, że moja siostra Agnieszka zamieszka ze mną i będzie chodziła do gimnazjum. Ledwie posprzątaaliśmy po jedzeniu, gdy rozległ się łomot. Ktoś walił w drzwi. Uchyliłem je lekko, by zobaczyć, co się dzieje. Pchnięcie z zewnątrz było tak silne, że drzwi otworzyły się na oścież, a ja zostałem odrzucony na ścianę kuchni. Do pomieszczenia wtargnął około trzydziestoletni mężczyzna. Ubrany był w jakiś ni to polski, ni to rosyjski mundur. Stał naprzeciw mnie na środku dużego pokoju i wrzasnął po polsku z wyraźnym rosyjskim akcentem:

- Co tu robicie! Czemu nie jesteście w pociągu! Won do Niemiec, germańcy! Wynosić się natychmiast! To mieszkanie zajmuję dla siebie!

Spojrzałem wściekły na intruza i zawołałem:

- Człowieku, czy zgłupiałeś? Też jesteśmy Polakami, a ja już od dawna tutaj mieszkam.

Nie zwracając na to uwagi, wyciągnął z kieszeni pistolet, kierując go w górę, jakby chciał strzelić w sufit. Dосkoczyłem jeszcze bliżej niego. Lewą ręką złapałem za nadgarstek dłoni, w której trzymał broń, a prawą za gardło, wrzeszcząc:

- Spieprzaj chamie! Przecież mówię, że my Polacy! Chcesz nas pozabijać, czy co?!

Nie usłuchał. Chwycił swoją wolną ręką moją, by zwolnić ucisk gardła. Staliśmy tak naprzeciw siebie, sapiąc, stękając z wysiłku, obrzucając się nawzajem obelgami i przekleństwami. Gdy minęło pierwsze zaskoczenie, uświadomiłem sobie, że przeciwnik ma w rękę broń. Wiedziałem, że muszę zwyciężyć, inaczej wszyscy troje zginiemy. Miałem silne ręce wyrobione przy dachówczarce. Zacisnąłem mocniej prawą dłoń na jego gardle, a lewą usiłowałem wykręcić jego rękę uzbrojoną w pistolet. Walczyliśmy twarząwtwarz. Widziałem, jak najego karku nabrzmiały żyły, jakby miały pęknąć. Przekrwione oczy prawie wychodziły z oczodołów, a z w półotwartych ust ciekła ślina i piana. Silnym szarpnięciem udało mi się wreszcie

wykręcić jego prawą rękę. Napastnik zawył z bólu, a pistolet z hukiem upadł na podłogę. Gdy próbował podnieść broń, pochylił się trochę, rozstawiając nogi. Błyskawicznie skorzystałem z tej chwili i silnym uderzeniem zadałem mu kolaniem cios w krocze. Przeciwnik zaryczał z bólu, aja kopnąłem pistolet w kierunku skulonych przy oknie wystraszonych i płaczących kobiet. Szybkim ruchem doskoczyłem do pistoletu, podniosłem go i skierowałem w kierunku napastnika z rozkazem:

- Twarzą do ściany, ręce na kark, nogi szeroko rozstawić! Natychmiast, bo zastrzelę.

Bezbronny rabuś spokojniał i jęcząc z bólu wykonał moje polecenie. Zaczął przeproszać za napad i prosić, bym nie wzywał przedstawicieli urzędu bezpieczeństwa lub milicji, obiecując równocześnie, że taki napad się więcej nie powtórzy. Po namyśle pozwoliłem mu opuścić mieszkanie, rzucając na odchodnym groźbę, której nie miałem zamiaru wykonać.

- Pistolet z nabojami rekwiruję i przekażę go władzom.

Po wyjściu bandyty usiadłem na krześle. Sapiąc ze zmęczenia, ręcznikiem wycierałem pot, ślinę i łzy z twarzy. Obie kobiety jeszcze popłakiwały i mówiły coś, co docierało do mnie jakby z oddali. W myślach jeszcze raz przeżywałem każdy szczegół pojedynku. Napastnik był żołnierzem lub byłym wojskowym. Miał broń, którą umiał się posługiwać. Zrozumiałem, że gdybym nie odebrał mu broni, mogło być tragicznie.

Z rozmyślań wyrwał mnie już prawie spokojny głos ciotki:

- Klękniemy i odmówmy razem litanie do Matki Boskiej Loretańskiej i podziękujmy Bogu za to, że żyjemy.

Po chwili słychać było ciche modły.

Mama z ciotką pozostały u mnie przez dwa dni, które upłynęły już spokojnie. Na początku nowego tygodnia zameldowałem w urzędzie, że razem ze mną będzie mieszkała moja siostra Agnieszka. Parę dni później otrzymałem oficjalny przydział mieszkania. Formalności w szkole były już wcześniej

załatwione. Utrzymanie nas w mieście przekraczało możliwości finansowe zrujnowanego przez „wyzwoliciele” gospodarstwa. Dużącęść kosztów musiałem przejąć na swoje barki. Na własną naukę miałem coraz mniej czasu. Agnieszka również potrzebowała pomocy w nauce. Resztę czasu poświęcałem na to, by coś zarobić. Robiłem najróżniejsze rzeczy. Udzielałem korepetycji, pomagałem w robotach rozbiórkowych spalonych domów, handlowałem z Rosjanami. Razem z kolegą Bolkiem Sawickim wykradałem z radzieckich koszar węgiel na zimę. Były to czasy ciężkiej walki o przetrwanie. Żyliśmy bardzo skromnie. Śniadania i kolacje jadaliśmy w domu, a obiady w najtańszej w mieście pobliskiej stołówce kolejowej.

Pewnego dnia po obiedzie wdałem się w rozmowę ze znanym mi już dłużej starszym kolejarzem. Pochodził z Wejherowa i pracował na stacji Lębork. Zapytałem go, czy pamięta ostatni transport wypędzonych ze swoich mieszkań Niemców. Upewniwszy się, że w pobliżu nie ma nikogo, ściszym głosem odpowiedział.

- Oczywiście, że pamiętam. To był tragiczny transport.

- Dlaczego tragiczny? - zapytałem.

- Biedni ludzie! Parę dni musieli koczować na peronie. Wagony, którymi mieli jechać, zostały na polecenie Rosjan skierowane na Śląsk, skąd wróciły dopiero po dwóch czy trzech dniach. Wśród ludzi przybyłych z miasta i byłego zakładu psychiatrycznego pojawił się tyfus. Parę osób zmarło jeszcze w Lęborku, inni pojechali zarażeni. Wsiadającym polecono umieścić walizki i pakunki w wagonie towarowym znajdującym się na końcu składu pociągu. Ludzie musieli wsiadać do przednich wagonów bez bagaży.

Po chwili szeptem wykrztusił:

- Gdy pociąg odjechał, wagon towarowy niepołączony ze składem, pozostał na torze.

Załamany poszedłem do domu.

Nastoletnie przypadki

Przywieziona na radzieckich czołgach władza walczyła o przejęcie pełnej kontroli nad krajem i narodem. Już 6 września 1944 roku Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego wydał „Dekret o reformie rolnej”. W jego efekcie na Pomorzu bez odszkodowania wywłaszczono te majątki ziemskie i gospodarstwa chłopskie, których obszar przekraczał sto hektarów. Ze swoich posiadłości zostali usunięci właściciel majątku Skrzyszewo, pan Gładykowski i ponad stuhektarowy gospodarz z Pałubic. Musieli przenieść się do innego powiatu.

Na ziemi pomorskiej, również w powiecie lęborskim, gospodarstwa chłopskie zostały przejęte przez ludzi przybyłych z Polski, głównie bezrolnych, oraz przesiedleńców z terenów wschodnich. Dużych majątków ziemskich nie parcelowano. Później utworzono z nich państwowe gospodarstwa rolne. Nowa władza już w 1944 roku powołała Urząd Bezpieczeństwa oraz związaną z nim Milicję Obywatelską. Funkcjonariuszami UB zostawali przeważnie byli komuniści, działacze przeszkoleni w Związku Radzieckim przez NKWD, o czym mówiło się tylko szeptem. Głównym zadaniem UB i MO była ochrona interesów nowej władzy, zniszczenie prozachodnich organizacji podziemnych oraz pilnowanie spokoju, ładu i bezpieczeństwa.

Wyniszczoną wieś nadal gnębiono. Czas pokoju nie zakończył obowiązkowych dostaw. Przymusowy skup głównych produktów rolnych, po cenach dużo niższych od rynkowych, rujnował prywatne rolnictwo. Na trzydziestohektarowym obszarze wiosną 1946 roku mieliśmy jednego ślepego konia, krowę, jałówkę, kilka warchlaków i trochę drobiu. Brak zwierząt uniemożliwiał produkcję obornika i tym samym nawożenie słabej gleby. Władze nie brały tego pod uwagę i nakładały na

gospodarstwo wysokie kontyngenty. Wymarzony pokój stał się dla wielu ludzi okresem gorszym od wojny. Władze powiatowe i gminne w asyście milicji przeprowadzały u gospodarzy zalegających z odstawami rewizje w poszukiwaniu zboża, ziemniaków i zwierząt. Nie mających co oddać, kierowano do kolegów celem ich surowego ukarania. Często pisaliśmy dla siebie i sąsiadów odwołania i prośby o obniżenie obowiązkowych dostaw.

Przed samymi żniwami przyjechała do ojca komisja z powiatu. W naszej obecności odmierzono kawałek obsianego żytem pola o powierzchni tysiąca metrów kwadratowych i kazano je skosić oraz wymłócić w obecności komisji. Po oczyszczeniu, ziarno zostało zważone. Ta komisja miała za zadanie przeanalizowanie zasadności wniesionej przez mieszkańców prośby o obniżenie dostaw. Tym razem wieś miała szczęście. Po kilku dniach nadeszło urzędowe pismo o uwzględnieniu podania i obniżeniu obowiązkowych dostaw o 10 procent. Za to po żniwach, gdy ojciec pojechał do gminnej spółdzielni po cement potrzebny do wyrobu dachówek, powiedziano mu, że dla niego cementu już nie ma.

Wiosną następnego roku zabrano nam wszystkie urządzenia służące do wyrobu dachówek. Podstawą tego czynu był zarzut, że „maszyny przemysłowe” są niewykorzystane. Mimo wielu odwołań i próśb nigdy już do nas nie wróciły.

W 1946 roku rozpisano referendum ludowe, a w roku 1947 tak zwane demokratyczne wybory. Zarówno pierwsze jak i drugie przeprowadzono przy czynnym udziale UB i MO. Ludzi, zwłaszcza podejrzewanych o sympatie prozachodnie, zastraszano. Wielu szanowanych obywateli na okres wyborów bez uzasadnienia zamykano w areszcie. Ludzie wrzucali więc do urn wręczone im przez komisję wyborczą kartki bez skreśleń. Ja głosowałem w Nowej Wsi Lęborskiej. Stojąca na dalekim końcu sali maleńka kabinka miała u góry nad zasłoną

narysowane dwa zera, a pod nimi napis: „Ten kto wchodzi za dwa zera, ten głosuje na Hitlera”. W ten sposób nie znalazł się nikt odważny, by wejść za zasłonkę. W następnych dniach gazety triumfalnie doniosły o stuprocentowym poparciu społecznym władzy komunistycznej. Oficjalna opozycja przestała istnieć.

W latach 1946-1947 w naszej szkole zaczęły powstawać organizacje młodzieżowe. Nauczyciel matematyki, pan Franciszek Szast, członek Stronnictwa Demokratycznego, namówił mnie do założenia w Liceum Związku Młodzieży



Z lewej stoi profesor matematyki, Franciszek Szast. Na zdjęciu nauczyciele Liceum napocz. lat 50-tych.

Demokratycznej. Pod jego wpływem i przy jego pomocy werbowałem członków. Na początku 1948 roku kierowana przeze mnie organizacja liczyła ponad siedemdziesiąt osób i była w lęborskim liceum najliczniejsza. W szkole istniały też inne, mniej liczne organizacje, jak Związek Walki Młodych i Związek Młodzieży Wiejskiej.

W lipcu 1948 roku odbywał się we Wrocławiu światowy zjazd młodzieży połączony z wystawą ziem odzyskanych. Miało

na nim nastąpić zjednoczenie wszystkich polskich organizacji młodzieżowych. Jako przewodniczący i założyciel ZMD znalazłem się wśród delegatów na ten zjazd. Jechaliśmy pociągiem specjalnie przeznaczonym na ten cel. Grupa łęborska składająca się z przedstawicieli szkół i zakładów pracy zajmowała dwa wagony. Dla mnie było to wielkie wydarzenie. Wyjazd z łęborskiego dworca nastąpił w późne lipcowe popołudnie. Peron był udekorowany biało-czerwonymi i czerwonymi flagami oraz transparentami z życzeniami szczęśliwej drogi i pomyślnych obrad. Żegnała nas duża grupa młodzieży z różnych szkół i zakładów pracy. Przed samym odjazdem sekretarz Polskiej Partii Robotniczej wygłosił krótkie przemówienie. Wagon nie był podzielony na przedziały, więc zaintonowana w jednym końcu piosenka porywała do śpiewu wszystkich. Było wesoło. Za oknem poza nami zostawały wioski, lasy i pola. Na stacjach w Wejherowie i Gdyni wsiadły ostatnie grupy młodzieży. Pociąg zatrzymywał się jedynie na większych stacjach i dalej gnał w nieznane. Wesoły śpiew zaczął w miarę upływu czasu słabnąć, aż razem z zapadającym późnym zmrokiem letnim, ucichł zupełnie. Jeszcze jakiś czas słychać było coraz cichsze rozmowy, ziewania, postękiwania, po których zapadła przerywana tylko stukotem kół cisza.

Obudziły mnie głośne rozmowy i śmiechy. Staliśmy na jakiejś stacji. Wyspani towarzysze podróży przez otwarte okna rozmawiali ze stojącymi na zewnątrz ludźmi. Widoczny przez okno zegar dworcowy wskazywał parę minut po godzinie szóstej. Na peronie stały grupy młodzieży zaopatrzone w chorągiewki, którymi machały do nas, przekrzykując się nawzajem. Na ścianie dworca był transparent z napisem: „Młodzież Krotoszyna wita i pozdrawia młodych Pomorzaków jadących na zjazd zjednoczeniowy do Wrocławia. Słuchając dochodzących dźwięków orkiestry, śpiewów i wrzasków kłębiącego się na peronie tłumu, zastanawiałem się, jaka siła

mogła zmusić tylu ludzi do przyjścia tutaj z przygotowanymi transparentami i chorągiewkami i udawania takiej radości. Ludzie ci bali się nowej władzy. Starsi, bardziej doświadczeni, mający możliwość słuchania Radia Wolna Europa wiedzieli, że za pięknymi hasłami o wolności, równości i braterstwie kryje się nasłana z Moskwy dyktatura.

Z rozmyślania wyrwało mnie gwałtowne szarpnięcie za ramię i szorstki głos kolegi.

- Marian, co z tobą, wszyscy rozmawiają, śpiewają, cieszą się, a ty co? Nie wyspałeś się jeszcze, czy miałeś zły sen?

Wstałem, wychyliłem się przez okno i zacząłem ścisnąć wyciągane do nas dłonie. Po długiej chwili pociąg ruszył dalej, żegnany przez orkiestrę. Na dworzec we Wrocławiu dotarliśmy około godziny jedenastej. Tutaj również witały nas transparenty z napisami „Witamy polską młodzież przybywającą na zjazd zjednoczeniowy” i wieloma innymi hasłami.

Po wyjściu z dworca przewodnik zaprowadził nas do autobusów. Wyczytywani po nazwisku kolejno zajmowaliśmy miejsca. Przez miasto jechaliśmy wolno. Przewodnik opowiadał nam o historii Wrocławia, zniszczeniach ostatniej wojny, powojennej odbudowie i osadnictwie. Jechaliśmy szerokimi alejami, niepodobnymi do znanych mi ulic. Niektóre z nich miały na środku tory, po których od czasu do czasu jeździły niebieskie tramwaje przystrojone szturmówkami. Większość ulic obsadzona była z obu stron drzewami. Miejscami wyglądały, jakby były przycięte kosą. Tylko w niektórych miejscach między drzewami zauważyć można było stare domy, między którymi wznosiły się wypalone mury lub wysokie na parę metrów zwały gruzu. Były też ulice, przy których stały nowe domy lub otoczone rusztowaniami mury. Miasto dźwigało się z ruin. Z zamyślenia wyrwała mnie nazwa Odry, nad którą akurat przejeżdżaliśmy. Spojrzałem na wodę. Wychowany nad rzeczką Bukowiną, a potem żyjący nad lęborską Łebą, tak ogromnej

rzeki jeszcze nie widziałem. Patrzyłem jak urzeczony. Po kilkuset metrach dotarliśmy do miasta namiotów. Kierownik grupy zaprowadził nas do jednego z nich. Gdy się umyliśmy i odpoczęliśmy chwilę, przewodnik poprowadził wszystkich do ogromnej stołówki.

- Tutaj będziemy jeść śniadania, obiady i kolacje - powiedział.

Takich jadalni, mogących pomieścić setki osób, było przy centralnym placu dziesiątki. Po obiedzie mieliśmy wolny czas, który wykorzystaliśmy na zwiedzenie młodzieżowego miasteczka. Było podzielone na sektory, przeznaczone dla młodzieży różnych ras i narodów, z krajów i kontynentów znanych mi jedynie z lekcji geografii lub nawet w ogóle nieznanych. Błądzeniu zapobiegały wielojęzyczne tablice. Było piękne słoneczne popołudnie. Uliczki i place wypełnione były barwnym tłumem. Młodzież spacerowała, rozmawiała lub śpiewała w swoich językach.

Gdy ochłonęliśmy z pierwszego wrażenia, zainteresowaliśmy się pięknosciami z Czarnego Łądu. Niestety, nasza słaba znajomość języków obcych nie pozwoliła na zawarcie bliższych znajomości. Dalej mieszkały azjatki. Tak spacerując, doszliśmy do osiedla czechosłowackiego.

- Mam nadzieję, że tu się dogadamy - powiedziałem do kolegów. Łamiąc język, wymachując rękami prowadziliśmy wcale niełatwą rozmowę. Po chwili zorientowałem się, że z całej grupy zrozumiałem najwięcej. Przypomniałem sobie słowa powtarzane przez starego Bulaka w Skrzyszewie: „Chto rozmieje gadać pō kaszëbsku, ten sa gwës wiedno ze słowiańszima lëdzama dogôdô”. Zacząłem mówić po kaszubsku. Wynik był nadszpodziewanie dobry. Rozumieliśmy się doskonale i to bez nadwyrężania rąk. Zyskałem uznanie u swoich i młodych z bratniej słowiańskiej republiki, a naszą mowę uznałem za światowy język.

Kolejne dni były wypełnione udziałami w naradach kongresowych, oglądaniem eksponatów na wystawach i zwiedzaniem miasta. Po tygodniu pełnym wspaniałych wrażeń wracaliśmy do domu. Wracałem jako członek nowej organizacji Związku Młodzieży Polskiej.

Mimo późnej pory w naszym wagonie nikt nie spał. Śpiewano, dzielono się wrażeniami i wspomnieniami. Udział w międzynarodowym zlocie młodzieży w wielkim mieście był niezwykłym przeżyciem. Ten nastrój wykorzystali jadący z nami młodzi aktywiści Polskiej Partii Robotniczej. Jeden z powiatowych polityków przysiadł się do mnie. Mówił o zaletach nowego budowanego w Polsce ustroju, przekonywał o wadach Polski przedwojennej i o zdradzieckim działaniu rządu w Londynie. Nie mogłem zaprzeczać czy polemizować, po prostu się bałem. Zirytowany rozmówca robił wszystko, by wciągnąć mnie do rozmowy. Nawijając do zjazdu, z którego wracaliśmy, zaczął ostro i w niewybredny sposób krytykować przedwojenne katolickie organizacje młodzieżowe. Słuchałem z rosnącym zdenerwowaniem. Sam do żadnej nigdy nie należałem, ale znałem kilku starszych ode mnie ludzi, którzy byli członkami tych związków. Przed wojną i w jej trakcie wykazali się godną Polaka i patrioty postawą. Powiedziałem to mojemu rozmówcy. Spojrzał na mnie wymownie i bez słowa przeszedł do drugiego wagonu. Zaniepokojony zacząłem rozmawiać z siedzącym obok kolegą również Kaszuba

- Të Wiktor doch téż zycher czuł ó czym më z nym akti wista z PPR gödelë. Jak të mëslisz, może mia ten purtkjaczégö smrodu narobiec.

- Tak na mój pózdrzatk musisz sa rechöwac i bëc fertich na to, że badächcelë z tobapôkôrbiec w powiatowym komitece partii.

Dłuższą chwilę siedzieliśmy bez słowa, aż usłyszałem chrapanie. Kolega spał. Niedługo i mnie zmorzył sen. Gdy się

obudziłem świeciło słońce. Byliśmy już w Gdyni. Po powrocie do Lęborka, zabrałem rower i pojechałem do Skrzyszewa. Zajechałem tam przed wieczorem, kiedy znużeni pracą i upałem domownicy wracali od żniw. Po kolacji opowiadałem o podróży, zjeździe młodzieży, o Wrocławiu i o zaczepnej rozmowie aktywisty partyjnego z pociągu.

- Wiész Mariónku, më tu doma mómë ful kłopotu i nas czasto wëżewają ód kułaków. Të, czej chcesz sa dali uczęc, te musisz z nima w jeden miech bzdęc. Wiész doch, co gôdô to nasze stare porzekadło - powiedział ojciec.

- Ô czym wë mëslice, tata - zapytałem.

- Pamiatôsz te szkolnego Pléchta? Ôn czasto gôdiwôł: „Czym wózkijedziesz temu piosnkę śpiewaj”, a drëdżëjesz barzi domôcé gôdô tak: „Chto chce z wilkiem žęc, ten musi z nim węc”. Rozmiejesztë?

- Ale zycher tata - odpowiedziałem, dodając po chwili - terô człowiek badze muszôł brac acht na to, co do kógó rzecze.

Kilka dni później na adres skrzyszewski nadszedł list wzywający mnie do stawienia się w określonym dniu w Powiatowym Biurze Związku Młodzieży Polskiej w Lęborku. Nie byłem specjalnie zaskoczony, kiedy za biurkiem zauważyłem tego samego aktywistę, który rozmawiał ze mną w pociągu. Siedział rozparty w obitym czarną skórą fotelu i patrzył na mnie przenikliwie.

- Siadajcie, towarzyszu - wskazał na stojące przed biurkiem krzesło.

Usiadłem na jego brzeżku i z niepokojem czekałem na rozmowę.

- Czy wiecie towarzyszu, czemu was tutaj wezwałem?

- Nie wiem - odpowiedziałem, patrząc ze zdziwieniem i niepokojem na niewiele starszego ode mnie człowieka.

- Pamiętacie, co powiedzieliście w pociągu w drodze powrotnej z Wrocławia?

- Nie pamiętam wszystkiego, noc była długa. Mówiono o różnych rzeczach.

- Nie pamiętacie? No to wam przypomnę. Mówiliście między innymi o przedwojennych związkach młodzieżowych. Bardzo mocno zdziwiła mnie i zaniepokoiła wasza wypowiedź na ten temat. Kolego, jesteście teraz po zjednoczeniu członkiem Związku Młodzieży Polskiej, jesteście jednym z najlepszych uczniów liceum. Przed wami otwiera się wielka szansa. Chcecie ją stracić?

Siedziałem cicho z pochyloną głową a on mówił dalej:

- Nowa ludowa władza potrzebuje własnej robotniczo-chłopskiej inteligencji. Macie niepowtarzalną szansę zdobycia wyższego wykształcenia i otwarcia sobie drogi do ważnych stanowisk. Od was, tylko od was, kolego, zależy czy z tego skorzystacie. Znam waszą biedną kaszubską wieś. Wiem, że jesteście pierwszym w jej historii człowiekiem, który za niespełna rok może zdobyć maturę i iść na studia.

Spojrzałem na niego zdziwiony, a on mówił dalej.

- Chcę wam pomóc, bo sam pochodzę ze wsi, spod Kartuz. Wiem, jak trudno jest chłopskiemu dziecku zdobywać wiedzę. Proszę dokładnie przemyśleć moje słowa. Nasza władza może wiele, bardzo wiele. Kto jest z nami, jest naszym sojusznikiem i może liczyć na pomoc, która jest wam bardzo potrzebna. Kto jest nam przeciwny, jest naszym wrogiem, wrogiem Polski Ludowej, z którym walczymy i walczyć będziemy. Wy, kolego, syn chłopca, człowiek z ludu, jesteście naszym człowiekiem. Sądzę, że macie dosyć rozsądku, by wiedzieć, że z nami, a nie z kapitalistyczną reakcyjną burżuazją jest wam po drodze. My, młodzi synowie robotników i chłopów, musimy tu w Polsce na naszej ziemi zbudować nowy lepszy świat, w którym nie będzie wyzysku i pogardy dla człowieka od pługą czy młota. Przemyślcie to, co wam powiedziałem, zapytajcie się rodziców czy dziadków jak im, prostym ludziom, żyło się w przedwojennej

Polsce. Decyzję musicie podjąć sami. Polska Ludowa, kraj ludu pracującego, was potrzebuje. Tyle chciałem wam powiedzieć. Życzę przyjemnych wakacji i do zobaczenia we wrześniu.

Zapanowało milczenie. Po chwili wstałem z krzesła i na środku pokoju, patrząc w twarz rozmówcy, powiedziałem:

- Dziękuję wam kolego za przekazane uwagi i troskę o moją przyszłość. Przemyślę wasze słowa bardzo dokładnie. Do zobaczenia we wrześniu.

- Do zobaczenia - powiedział, podszedł do mnie i z uśmiechem uściśnął mi dłoń.

Po wyjściu z urzędu przez dłuższy czas chodziłem po mieście analizując treść usłyszanych słów. Potem poszedłem po rower i pojechałem do domu.

Najbardziej utkwiły mi w pamięci słowa „Nasza władza może wiele, bardzo wiele i kto jest nam przeciwny, jest naszym wrogiem”. Zdawałem sobie sprawę z tego, że to, iż jesteśmy tu w Lęborku, na ziemiach do niedawna jeszcze niemieckich, zawdzięczamy zwycięstwu aliantów, a głównie armii radzieckiej. Byłem też przekonany, że to nowej władzy zawdzięczam ja i wielu moich rodaków z rodzin robotniczo-chłopskich możliwość nauki w liceum oraz perspektywę pójścia na studia. Wkraczając z rowerem na nasze podwórze byłem zdecydowany.

-Tutaj nie zostanę. Będę się uczył!

Po pracowicie w domu spędzonych wakacjach wróciłem do szkoły, gdzie na początku nowego roku szkolnego odbyło się zebranie członków wszystkich organizacji młodzieżowych. Spośród kilku kandydatów przeważającą większością głosów zostałem wybrany na przewodniczącego Związku Młodzieży Polskiej w Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącym w Lęborku. Pierwszą osobą, która składała mi gratulacje, był obecny na zebraniu wakacyjny rozmówca.

Doszło mi też niezbyt przyjemne, bo wymuszone nową

sytuacją, zadanie. Powiatowy zarząd ZMP zmuszał nas, członków związku, do tworzenia nowych kół organizacji we wsiach pegeerowskich. Po przeszkoleniu w zarządzie powiatowym, zaopatrzeni w odpowiednie broszury propagandowe, jeździliśmy na zwołane przez miejscowych aktywistów zebrania młodzieży wiejskiej. Jechały zawsze co najmniej dwie osoby. Nowa władza nie była wszędzie lubiana. Rozgłośnie zachodnie mówiły o nowej, narzuconej nam ze wschodu okupacji, o prześladowaniach patriotów, którzy w czasie wojny walczyli z Niemcami o wolną Polskę, o licznych aresztowaniach ludzi, którzy po zwolnieniu z wojska na zachodzie wracali do Polski. Rolnicy, z początku zadowoleni z możliwości objęcia gospodarstw po Niemcach, później obciążani wysokimi dostawami obowiązkowymi, również tracili zaufanie do nowej władzy. Młodzież, słuchając rozmów starszych, przyswajała sobie ich często niechętne czy wrogie nastawienie do tego, co nowe. Do takich wsi i takiej młodzieży jeździliśmy z konieczności, by zakładać koła ZMP. Znałem nastroje i wiedziałem jak należy z młodymi ludźmi rozmawiać. Inaczej było z dziećmi dobrze ustawionych rodzin miejskich. Ich rodzicom, wysokim urzędnikom aparatu partyjnego, administracji, urzędu bezpieczeństwa, milicji i tym podobnych, działa się dobrze i te poglądy przekazywali swoim dzieciom. W państwowym liceum żyły obok siebie odżywione dzieci z wyższych sfer partyjnych oraz biedne dzieci robotnicze i jeszcze biedniejsze dzieci chłopskie, mieszkające w internacie lub na stacji.

Pewnego razu wysłano nas do jednej wioski w gminie Cewice. Zostałem tam wydelegowany z kolegą z klasy, Konradem Modakiem. Organizator spotkania, niewiele od nas starszy mężczyzna, kazał nam wprowadzić rowery do komórki umieszczonej przy tylnym wyjściu z budynku. Tłumaczył to tym, że obecni na sali mogą różnie reagować, więc na wszelki

wypadek to awaryjne wyjście pozostanie nie zamknięte. Weszliśmy na salę główną, gdzie oczekiwała nas grupa młodzieży wiejskiej. Organizator spotkania przedstawił nas słowami:

- Szanowne koleżanki i koledzy. Spotkało nas dzisiaj duże wyróżnienie. Zarząd Powiatowy ZMP przysłał swoich aktywistów wyróżniających się w nauce i pracy społecznej, uczniów ostatniej przedmaturalnej klasy Liceum Ogólnokształcącego w Lęborku. Koledzy mają za zadanie przedstawić wam statut i założenia programowe związku oraz udzielić pomocy w organizacji koła ZMP w naszej wsi. Proszę gości powitać oklaskami.



Koleżanki i koledzy z Liceum, rok 1948. Autor między dziewczynami, z lewej leży Konrad Możdżeń (Modak).

Po tych słowach usiadł obok nas. Zgromadzeni jak na komendę wstali klaszcząc w ręce. Wstaliśmy również i ukłonami podziękowaliśmy za miłe przyjęcie. Następnie omówiłem statut organizacji. Mówiłem też o poprawie losu robotników i chłopów w powojennej Polsce, o wielu bezrolnych, którzy są dzisiaj gospodarzami na swoim, o możliwości uczenia się dzieci robotniczych i chłopskich. Celowo unikałem wypowiedzi dotyczą-

cych spraw światopoglądowych. Wiedziałem, co można, a czego nie można powiedzieć na tej kaszubskiej wsi. Moje wystąpienie zostało nagrodzone oklaskami. Kilku osobom na ich życzenie rozdałem deklaracje członkowskie. Wszystko przebie-

gało zgodnie z planem do czasu, gdy oddałem głos Konradowi. Z początku słuchano go z uwagą, gdy jednak przeszedł na temat religii, na sali zrobiło się niespokojnie. Widząc, że poruszył temat drażliwy, szczególnie na wsi, kopnąłem go w kostkę, sycząc:

- Przestań pieprzyć!

On jednak, upojony własnym głosem, ciągnął swoje wywody o zacofaniu Kościoła i inne podobne brednie. Niepokój na sali się wzrósł. Na dotychczas pogodnych twarzach ukazało się najpierw zdziwienie, potem złość i nienawiść. Kilku wyrostków ostentacyjnie opuściło salę. Widząc, co się dzieje, zdecydowanie przerwałem mowę Konrada i bezskutecznie próbowałem uspokoić salę, przepraszając obecnych i usprawiedliwiając kolegę. Pogodny nastrój nie wrócił, a miejscowy organizator szepnął nam, że już czas najwyższy żebyśmy uciekli. Mnie nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Opuściłem w pośpiechu salę, nie zwracając już uwagi na Konrada. Szybko wyprowadziłem rower i ile sił w nogach popedałowałem w kierunku lasu. Za sobą słyszałem trzask łamanych sztachet i gałęzi oraz świst przelatujących nad głową kamieni. Po chwili usłyszałem wrzask:

-Auu, boli!!!

Konrad jechał za mną i oberwał kamieniem. Pędziliśmy ile sił przez kilka minut, zanim dotarliśmy do lasu obok szosy. Tutaj dopiero zwolniłem i rozejrzałem się wokół. Ścieżka za nami i szosa były puste. Odetchnąłem z ulgą nikt nas już nie gonił. Stanałem z boku, ukryty w krzakach, czekając na kolegę. Nadjechał po chwili i zsiadł, a właściwie spadł z roweru. Płacząc usiadł na trawie, skręcając się z bólu. Miał rozbitą głowę powyżej skroni. Z rany na twarz płynęła cienka strużka krwi. Z własnej koszuli oderwałem odpowiedni pasek i zabandażowałem głowę kolegi. Podziękował mi uściskiem dłoni i spojrzeniem.

- I co, lepiej ci? - zapytałem. - Głowa mniej boli?

- Głowa mniej, tylko plecy - odparł.

Na plecach poniżej łopatek były dwa duże krwawe koła. Jeszcze przez jakiś czas siedzieliśmy ukryci w krzakach. Było już szaro, gdy Konrad powiedział:

- Jedźmy, dam już radę.

Wyprowadziliśmy rowery z lasu na szosę i powlekliśmy się do Lęborka. Przez całą drogę panowało ponure milczenie. Żaden z nas nie miał ochoty mówić o powodach naszego niepowodzenia.

Nazajutrz kolegi nie było w szkole. Zwolniłem się z jednej lekcji i poszedłem do zarządu ZMP zdać sprawozdanie z wyjazdu. Ku mojemu zdziwieniu tam już wiedzieli o wpadce. Nie wiedzieli tylko, co się działo po opuszczeniu sali. Krótko opowiedziałem o ucieczce i o ranach Konrada.

- Do was nie mamy pretensji, a tego pobitego proszę przysłać do mnie na rozmowę, gdy się wyleczy. Na razie jest nieprzygotowany, nie można go wysyłać na zebrania. Robi organizacji więcej szkody niż pożytku.

Po wyjściu z urzędu zaszedłem do domu Konrada. Zastałem go leżącego z zabandażowaną głową i plecami. Lekarz polecił mu pozostanie przez kilka dni w domu. Na szczęście nie wszystkie wyjazdy kończyły się takim fiaskiem.

Kilkanaście dni później jechałem z koleżanką z klasy na zebranie do wsi położonej za Choczewem. W tym czasie trasa kolejowa Lębork - Choczewo - Wejherowo była mało uczęszczana. Była trzecia po południu, gdy na dworcu spotkałem się z koleżanką. Hania zaglądała niemal do wszystkich prawie pustych wagonów. Wreszcie znalazła odpowiednie miejsce. Usiadła przy oknie zwrócona twarzą w kierunku jazdy. Ja zająłem miejsce naprzeciw niej. Chodziłem z nią dopiero pierwszy rok do jednej klasy i dlatego nie znaliśmy się dobrze. Teraz zdałem sobie sprawę, że mało wiedziałem o członkach

koła. Było to nawet zrozumiałe. Do małej matury część uczęszczała do różnych klas. Teraz niektórzy powtarzali gimnazjum lub zakończyli swą edukację na małej maturze, a do pierwszej licealnej chodziła młodzież zebrana z kilku klas. Dziewczyna miała jasną twarz okoloną ciemnymi, długimi, lekko kręconymi włosami. Spod ciemnych rzęs świeciły brązowe oczy. Ubrana była w beżowy kostium i jasnokremową zapiętą pod szyją, bluzkę. Pierwszy raz zauważyłem, że była ładną dziewczyną. Zachwycony patrzyłem długo na jej zmieniający się w zależności od oświetlenia profil.

- Wiesz Haniu - powiedziałem - doszedłem do wniosku, że nasza klasa nie tworzy zgranej koleżeńskiej grupy. Kaszubska część żyje trochę własnym rytmem. Jak myślisz, czy ta izolacja wynika z naszej winy, czy może uczniowie z innych stron Polski nas nie lubią?

- Wy, Kaszubi, byliście tutaj od dawna i do was należy otwarcie się na nas, przybyszów.'To my straciliśmy wszystko, co było naszym domem, co było nam bliskie. Utraciliśmy małą ojczyznę, gdzie pozostała uprawiana od wieków ziemia, groby bliskich, domy, wsie, miasta. Większość z nas jest tu samotna, bez krewnych, bez znajomych.

- Haniu, powiedz coś o sobie, o waszej drodze na zachód.

Przed dragą wojną światową mieszkaliśmy na wschodnich rubieżach Polski w województwie stanisławowskim. Mieliśmy domek na przedmieściu niewielkiego miasteczka Golicz. Ojciec pracował jako listonosz, a mama zajmowała się domem, działką o prawie tysiącu pięciuset metrach kwadratowych, wychowaniem mnie, młodszego brata i siostry. Społeczeństwo naszego miasteczka było mieszane. Żyli tam zgodnie Polacy, Rusini zwani teraz Ukraińcami oraz Żydzi. We wrześniu 1939 roku wkroczyły do nas wojska radzieckie i nowe władze przystąpiły do zaprowadzania swoich porządków. Interesowano się Polakami, szczególnie tymi, którzy przybyli do nas w okresie

Drugiej Rzeczypospolitej. Tych ludzi deportowano natychmiast, niektórych na tereny zajęte przez Niemców. Wielu z nich ginęło bez śladu. W połowie 1941 roku nasze tereny zajęły Niemcy, a w 1944 roku z powrotem wojska radzieckie. Wówczas nasiliły się prześladowania. Mieszkający tam Polacy, by ratować życie, uciekali do krewnych w mieście. Do nas przybyła ciocia. Opowiadała, że ukryta w lesie widziała, jak ukraińscy bandyci wymordowali całą rodzinę jej sąsiada Polaka, a potem spalili zagrodę. Następnego dnia ojciec poszedł do Urzędu Repatriacyjnego, by załatwić formalności związane z wyjazdem do Polski. Po paru tygodniach nadeszły potrzebne dokumenty. Matka z cicią spakowały co cenniejsze przedmioty, pamiątki i zapasy żywności na czas podróży. Przygotowani czekaliśmy na dzień podstawienia pociągu dla repatriantów. Ukraińcy, z którymi przez cały czas żyliśmy zgodnie, nachodzili ojca, by wyciągnąć od niego jak najwięcej rzeczy, których nie mogliśmy zabrać. Przełożony ojca, kierownik poczty Gawrylczuk, zaferował kupno naszego domu zaledwie za trzy tysiące rubli. Mama go poparła przekonując, że lepiej, by dorobek życia trafił w ręce dobrych ludzi. Zaraz po podpisaniu umowy nadeszło zawiadomienie, że wagony zostaną podstawione i mamy zgłosić się z bagażami na dworcu. Pan Gawrylczuk kupił od cici za niewielkie pieniądze konia i wóz, którym zawiózł nas i nasze bagaże na dworzec. Z cicią i jeszcze czterema rodzinami otrzymaliśmy duży zadaszony wagon towarowy.

To mówiąc rozpłakała się.

- Co jest, Haniu? Co się stało? - zapytałem z troską, głaszcząc jajak dziecko po głowie.

- Płaczę zawsze, gdy sobie przypomnę pożegnanie mamy z bliskimi pochowanymi na naszym cmentarzu. Mama przy grobach swoich rodziców rzuciła się na kamień i płacząc rozpaczliwie wołała: „Mamo, tato, dziadkowie, wybaczcie mi, wybaczcie nam, że was opuszczamy. Przebaczcie, że zostawiamy

was tu samych wśród obcych, że opuszczamy dom rodzinny, miasto w którym się urodziliśmy, ziemię w której leżą wasze kości, kości całych pokoleń od wieków żyjących tu Polaków. Żegnajcie kochani, idziemy w obce strony w nieznaną świat, żegnajcie na zawsze". Po tym wstała, błędnym wzrokiem popatrzyła w głąb cmentarza, odwróciła się i odeszła w milczeniu. Tego pożegnania nie zapomnę do końca mego życia.

Dziewczyna przestała mówić. Pisk hamulców i nazwa stacji poderwały mnie na nogi.

- Chodź, wysiadamy. Jesteśmy na miejscu! - zawołałem podając jej rękę.

Zebrałem prowadziłem sam. Hania pisała protokół i rozdawała deklaracje chętnym do zapisania się do związku. Przed godziną dwudziestą zakończyliśmy spotkanie. Jego efektem było powołanie nowego koła, liczącego szesnastu członków, oraz wybór jego zarządu.

Około dwudziestej pierwszej siedzieliśmy w pustym przedziale pociągu wracającego do Lęborka. Na dworze zapadał wczesnojesienny zmrok. Pociąg posuwał się wolno, zatrzymując się na maleńkich stacyjkach. Przedział oświetlała lampka ledwo rozpraszająca ciemność. Tymczasem na dworze zrobiło się już zupełnie ciemno. Przez dłuższy czas milczeliśmy. Pierwsza odezwała się Hania.

- Chciałbyś posłuchać dalszej części naszych przeżyć? - zapytała.

- Jeżeli to ciebie za bardzo nie męczy, to chętnie - odpowiedziałem.

- Po przyjeździe stamtąd pod Wrocław przez długi czas czułem wstręt na widok pociągu. Przydzielony nam wagon towarowy podzieliliśmy na dwie połowy. W tylnej jego części ulokowaliśmy się my z ciocią jej dziećmi i jedną znaną ojcu rodziną. Pozostałe trzy rodziny zajęły drugą część wagonu. W środku wagonu, pomiędzy umieszczonymi po obu stronach

rozsuwanymi na boki stalowymi drzwiami, była mała wspólna przestrzeń. Ojciec z jednym z towarzyszy niedoli przymocowali z obu stron w drzwiach po dwie poziome deski. Bez obawy można było stać lub siedzieć przy otwartych drzwiach wagonu. W czasie przygotowań do wyjazdu zostały domownikom przydzielone role, jakie trzeba było w czasie drogi wykonywać. Ja miałam pilnować młodszego rodzeństwa. W skład pociągu wchodziło blisko trzydziestu wagonów towarowych. Na peronie kłębił się tłum z pakami, tobołami, nawet z meblami. Wielu też przyprowadziło krowy, konie, kozy oraz przywiozło zapasy siana. Ludzie wprowadzali wystraszone zwierzęta, ładowano toboły, paki oraz beczki na wodę. Mama kazała mi nanosić do beczki wody. Na peronie były dwie pompy. Przed stojącą w pobliżu naszego wagonu stała bardzo długa kolejka. Poszliśmy więc do drugiej znajdującej się na końcu. Ludzi było nieco mniej, ale i tak stało tam około piętnastu osób. Po napełnieniu wiader z mozołem nosiliśmy je do wagonu. W tym czasie rodzice w kącie wagonu ustawiali okrągły piecyk do przygotowywania posiłków. Ustawili skrzynie, poukładali tobołki, zapasy żywności i opału. Gdy skończyliśmy przygotowania do drogi zapadał już późny letni zmrok. Usiadłam w drzwiach i patrzyłam na perony i budynek dworcowy. Po peronie chodziły trzyosobowe patrole milicji. Pociąg był strzeżony, bowiem władze obawiały się napadów i rabunku. Siedziałam oszołomiona nawałem zdarzeń dnia. Z różnych stron docierały do mnie różne odgłosy: krzyk, płacz, rozmowy. Jakiś mężczyzna z sąsiedniego wagonu mówił głośno, zwracając się prawdopodobnie do żony: „Czego beczysz!?! Co miałaś tutaj, to nędzne jednoizbowe mieszkanie w majątku, a potem w sowchozie!”. Gdy mu nikt nie przerywał, ciągnął dalej: „Znajomy, który już był na zachodzie i znowu tam pojechał, opowiadał, że domy są tam jak pałace, a ziemi możesz brać ile chcesz.”. Kobieta odpowiadała: „Było ciężko, ale byliśmy u

siebie, a teraz kto wie, czy w ogóle tam dojedziemy.". Zaczęła głośniej płakać. Płacz ten okazał się zaraźliwy, bo wnet i w naszym wagonie rozległ się szloch kobiet. Wtedy ojciec spokojnym głosem rzekł: „Płacz nic nie zmieni! Tutaj, na ziemi przyznanej Związkowi Radzieckiemu, nie ma dla nas przyszłości. Wszystkim jest ciężko opuszczać ziemię ojców, ale Polska jest teraz na zachodzie i tam powinniśmy budować naszą przyszłość. Chcemy przecież służyć Polsce, a nie Związkowi Radzieckiemu!". Po tych słowach zapanowała cisza, w którą wdarła się zapowiedź w języku rosyjskim, płynąca z dworcowego głośnika: „Uwaga, uwaga! Polecam wejść natychmiast do wagonów, nie wychylać się z pociągu, za parę minut ruszamy!". Z sąsiedniego wagonu dochodził z początku cichy nieśmiały śpiew. Po chwili wszyscy na baczność śpiewali: „Marsz, marsz Dąbrowski, z ziemi włoskiej do Polski, za twoim przewodem złączym się z narodem.". Wierzyłam mocno w to, że jedziemy do nowych przyjaciół, do nowego domu.

Po długiej chwili odpoczynku mówiła dalej.

- Jechaliśmy długo. Często zatrzymywano nasz skład na bocznym torze, gdzie staliśmy od kilkunastu godzin do paru dni. Zapasy żywności się wyczerpały. Musieliśmy się zadowalać przydzielaną nam już na terenie Polski unrowską kawą bochenkiem czarnego chleba i wiadrem zupy na wagon. W dodatku oblażyły nas wszy, pchły i inne robactwo. Gryzło nas to brzydalstwo, powodując swędzenie i ogromną nerwowość. Z byle powodu wybuchały awantury, czasami nawet prowadzące do bójek. Sypano przekleństwami, jakich dotychczas jeszcze nigdy nie słyszałam. W czasie długich postojów mężczyźni i chłopcy robili wypadki do pobliskich ogrodów i sadów. Nie pomagały prośby, groźby i straże miejscowych. Nasi z kosami, drągami czy siekierami w rękach szli i zabierali wszystko, co nadawało się dojedzenia. Trwało to ponad trzy tygodnie, a nam wydawało się, że ta droga nigdy się nie skończy. Wreszcie

dojechaliśmy. Naokoło widać było jedno wielkie gruzowisko, wśród którego gdzieś stały domy, podziurawione strzałami i uszkodzone bombami. Ojciec zgłosił się do kierownika urzędu pocztowego znajdującego się niedaleko dworca kolejowego. Kierownik przyjął go bardzo serdecznie i zaproponował załatwienie mieszkania i pracy. Ojciec skorzystał z tej oferty i przez pół roku mieszkaliśmy na Śląsku. Przy pomocy Urzędu Repatriacyjnego i Czerwonego Krzyża poszukiwaliśmy osiedlonego już na ziemiach zachodnich brata mamy. Odnalazł się w Lęborku i nakłonił nas, abyśmy się tam przenieśli. Pomógł nam w załatwieniu pracy, mieszkania i transportu. Od blisko dwóch lat mieszkamy tutaj i tu pewnie już pozostaniemy.

Po dłuższym milczeniu usiadłem obok Hani i zaczęliśmy śpiewać. Z początku oboje śpiewaliśmy głośno. W miarę upływu czasu jej głos cichł, aż zamilkł zupełnie. Z głową opartą na moim ramieniu zasnęła. Poczujęm się jakoś dziwnie niepewnie, a równocześnie chciałem, by pociągnął i jechał bez końca. Nie śmiałem się ruszyć, by nie przerwać uroku chwili. Cichutko powtarzałem słowa ostatniej śpiewanej przed chwilą piosenki:

„Są takie chwile urocze cudne,
że chciałoby się zatrzymać je,
lecz przetnij ajajak echo złudne
i jestem sam i jest mi źle...”

Tymczasem w oddali pojawiło się wiele świateł i po chwili pociąg zatrzymał się w Lęborku. Dworcowy zegar wskazywał godzinę jedenastą dziesiątą. Opuściliśmy przedział. Moje mieszkanie znajdowało się niedaleko dworca, jej natomiast na drugim końcu miasta przy wylocie w kierunku Nowej Wsi. Koleżanka spodziewała się, że ktoś z rodziny będzie na nią czekał. Jednak nikt nie przyszedł.

- Odprowadzę cię do domu - zaproponowałem.

Z uśmiechem podała mi rękę i poszliśmy. Miasto teraz,

trzy lata po wojnie, było już spokojne. Rosyjscy żołnierze nie wałęsali się, siedzieli w koszarach. Po chodnikach przemykali ostatni spieszący się do domów przechodnie i chodziły dwu i trzyosobowe patrole wojska lub milicji. Nie zaczepiani przez nikogo doszliśmy do jej domu. Hania serdecznym całusem w policzek podziękowała mi za towarzystwo i zniknęła w bramie.

Parę dni później, w niedzielę, świętowaliśmy urodziny Wojciecha. Kolega ten był u mnie częstym gościem. Mieszkał razem ze swoim starszym pracującym bratem i młodszą siostrą licealistką w trzypokojowym mieszkaniu nieopodal naszego liceum. Oprócz rodziny było jeszcze kilka osób, w tym starsza ode mnie ciemnowłosa kuzynka solenizanta.

Podano alkohol i jakieś skromne przekąski. Po opróżnieniu kieliszków Wojtek zwrócił się do obecnych:

- To, że jō jem ju w maturalny klasę, to nie je le temu, że sa całē dnie, a czasto i noce, ucza. Dzysō musza warna wszētczima rzec. To, że wiele naszych drēchów ze srakōwsczēgō karna dōwō so rada z uczbā, to je w dzēlu temu, że mōmē miadzy nama Mariōnka. Tej wēpijemē terō szlōks zajego zdrowie i szczescē.

Brat Wojciecha wstał, otworzył kredens, wyciągnął z niego pękatą butelkę i ponalewał wszystkim do pełna, po czym nadmienił:

- Wēpijta całi czeliszkjednym szlōksem, bo ten sznapsje baro kraftny.

Po tych słowach przypomniał mi się napój podany w piwnicy pod stodołą przez rosyjskiego żołnierza. Powąchałem trunek znajdujący się w kieliszku. W nozdrza uderzyła mnie ostra woń czystego bimbru. Nie chcąc jednak obrazić gospodarzy, odpiłem nieco. Poczułem ostre pieczenie warg. Poczułem się źle. Wybiegłem do łazienki. Wypiłem pół szklanki wody i wróciłem. Towarzystwo bawiło się w najlepsze. Na mój widok zaczęli się śmiać. Spojrzałem na brata solenizanta i powiedziałem:

- Co wa pijeta? Taczégö szarfnégô bimbru jô so ju rôz wëpił z ruszczim żołnierzem. Tego móm dosc do kuńca žëcô. Czej wa nic, cobë sa dało zlëdac ni môta, tej jô móga jic ju dodóm. Witro mómë klasówka i za wiele anijô, ani Wójcech, ni mōžemë pic.

Wojciech z aprobatą kiwnął głową.

- Marión mô rêcht. Wez le Bruno wëszoekôj cos słabszego.

Bruno wyciągnął inną butelkę z kredensu i nalał z niej trochę do kieliszka.

- Jo, to je to, to sa dô wëpic - powiedziałem po spożyciu.

Teraz już świętowaliśmy urodziny wesoło i bez przeszkód. Wieczorem zaczęła się żegnać kuzynka solenizanta, by przed zmrokiem dojść do domu. Korzystając z okazji, pod pretekstem, że ktoś musi ją odprowadzić, również opuściłem mocno już podochocone towarzystwo. Na ulicy chciałem się z nią pożegnać. Jednak lekko podchmielona panna wzięła mnie pod rękę i powiedziała:

- Tam bëne tē gôdôł, że mia odprowadzysz dodóm. Terô pójle ze mną. Czej jô ce ju chwôca, tej ce nie puszcza jaż doma.

Doszedłem do wniosku, że do klasówki z fizyki byłem jako tako przygotowany i spacer dobrze mi zrobi, więc powiedziałem:

- Në tej jidzemë.

Szliśmy przez zniszczone śródmieście i dalej ulicą wylotową na Gdańsk. W ciągu kilkunastu minut dotarliśmy do parterowego domku krytego dachówką. Było już szaro i zaczął siapać deszcz.

Dziewczyna wyciągnęła z torebki klucz, otworzyła drzwi wejściowe i wciągnęła mnie do wnętrza, mówiąc:

- Pój na sztócëk bëne. Zrobimë so cepłi harbatë z miodem. Nie badžë doch tacji cmuła, jô ce nie zjëm.

Ociągając się po słowie „cmuła”, jednak wszedłem do wnętrza. Usiadłem na kanapie w pokoju. Radośnie szczebiocząc, dziewczyna przygotowywała herbatę i co chwilę zerkała na mnie przez otwarte drzwi.

- Zjim tej sobie żakét i bótë. Tam kòl piécka sądoch szlorë.
Za sztót harbata badze fertich.

Po chwili weszła uśmiechnięta z tacą, na której stały dwie filiżanki, słoik miodu, ciasto i łyżeczki. Spojrzała na mnie i rzekła z wyrzutem:

- Co je, të jesz sedzysz w żakéce i botach?

Poszukała papcie i postawiła przede mną. Posłusznie zdjąłem marynarkę i buty, nałożyłem podsunięte mi kaptcie i popijałem osłodzoną miodem herbatę. Nieco rozochocona alkoholem piękność usiadła blisko mnie. Po odpiciu kilku łyków udało mi się wtrącić:

- Jes të tu doma sama? Dze są twójji tatce?

- Dzysò jem z tobą a nie sama. Tatce są jachóny do Miechucëna, przejadą wintro pò pòłniu, a bracyna je tëż wëk. Badze doma za trzë, sztërë dni.

Tymczasem na dworze zrobiło się całkiem ciemno i deszcz rozpadał się na dobre. Dziewczyna wyszła do sąsiedniego pokoju, z którego po chwili uśmiechnięta wróciła.

- W tacji deszcz të doch ni możeszjic do se, do Labórga. Butenje cemno, badzesz wanoził pò nocë. Tej ce jesz milicja abò Rusce do prizë zamkną abò chto rzniatka robi. Łózka są ju fertich, mözemë jic spac.

Spojrzałem w głąb pokoju. Ujrzałem szerokie podwójne łoże. Długą chwilę walczyła we mnie pokusa z poczuciem obowiązku. Zwyciężył ten drugi. Dziewczyna próbowała przekonać mnie, bym został ze względu na niesprzyjającą pogodę. Obiecywała nawet, że zrobi mi miejsce do spania w innym pokoju. Jednakże na nic się to zdało. Zaopatrzony w parasol wybiegłem w ciemną noc. Było już po dwudziestej trzeciej. Drogę do Lęborka pokonałem w kilka minut. Na moje nieszczęście tuż za rogatkami miasta zatrzymał mnie patrol milicji. Idąc do Wojtka, nie zabrałem z sobą żadnych dokumentów. Milicjanci, nie mogąc sprawdzić mojej

tożsamości, zaprowadzili mnie do najbliższej kwatery i ulokowali w zakratowanej komórce, pokrytej dziurawym dachem. W tym pomieszczeniu, najwyraźniej rzadko używanym, brak było jakichkolwiek mebli. Przed zamknięciem drzwi jeden z milicjantów powiedział:

- Tutaj pozostaniecie na noc. Potem zadzwonimy do liceum, sprawdzimy, czy mają tam ucznia o podanym nazwisku i zdecydujemy, co robić dalej.

Dopiero po ósmej rano zostałem zwolniony. Za mój postępek zostałem potrójnie ukarany. Noc w komórce, oblana klasówka z fizyki i obniżenie stopnia z zachowania za włóczenie się po nocy. Jakże adekwatne do tej sytuacji były strofy:

„Raczej ten wierszyk w pamięci zachować,
gdy go przypomnisz to będzie ci miło,
lepiej jest zgrzeszyć, a potem żałować,
niżli żałować, że się nie zgrzeszyło”.

Przez parę następnych dni chodziłem naburmuszony, wściekły na siebie i otaczający mnie świat.

Pół roku później na wiosnę odbył się ślub tejże panny. Razem z Wojtkiem zostałem zaproszony na uroczystość. W trakcie weselnej nocy zastanawiałem się, czy wie, co się ze mną działo po wyjściu w tę deszczową noc. Właściwie skąd mogłaby wiedzieć? Grubo po północy poprosiłem nowo upieczoną męzatkę do tańca. Była radosna, uśmiechnięta, rozmawiała ze mną swobodnie, kreśląc plany na przyszłość. Zażenowany zapytałem, czy pamięta tamten wieczór.

- Naturalnie, że pamiętam - odpowiedziała uśmiechając się do mnie. - Długo w nocy wsłuchiwałam się w bijące w szyby krople deszczu i zastanawiałam się, dlaczego nie zostałeś i jak dotarłeś do domu.

Opowiedziałem jej, co się wtedy stało. Słuchała z poważną miną i odpowiedziała z uśmiechem:

- I co, miałam rację, że nie należy włóczyć się po nocy?

- Miałaś rację - odpowiedziałem, dodając - a nie pomyślałaś, co mogłoby nastąpić, gdybym został u ciebie?

- Pomyślałam, wiedziałam - i po chwili dodała - chciałam.

Milczałem, a ona pokazując swoją zaobrączkowaną prawą dłoń, dodała:

- Teraz jest za późno.

Po tym tańcu pożegnałem się tylko z panną młodą i opuściłem przyjęcie. Już nigdy nie spotkałem tej dziewczyny.

Pewnego popołudnia, wracając z lekcji, jeden z bliskich kolegów opowiedział mi o swojej nocnej przygodzie. Był to kaszubski chłopak, zakochany w koleżance klasowej Maryli, której rodzice - również Kaszubi - zajęli gospodarstwo w Nowej Wsi pod Lęborkiem. Wszyscy widzieli, że młodzi mają się ku sobie. Na przerwach zapatrzeni w siebie, trzymając się za ręce, spacerowali zawsze razem. Po lekcjach nie mogli się spotykać, bo ojciec Maryli był bardzo surowy i strzegł swej córki, jak oka w głowie.

- Przedwczoraj rodzice Maryli wyjechali na swoje dawne gospodarstwo do Gowidlina - opowiadał kolega. - Mieli przyjechać drugiego dnia po obiedzie. Kiedy się o tym od Maryli dowiedziałem, zaproponowałem jej wspólne spędzenie wieczoru u niej. Bez większego oporu zgodziła się. Było szaro na dworze, gdy zapukałem do drzwi. Otworzyła natychmiast. Po serdecznym powitaniu powiedziała, że przygotowała kolację i zaprosiła mnie do stołu. Zjedliśmy smaczny posiłek, poukładaliśmy naczynia i siedliśmy na kanapie, by posłuchać muzyki z gramofonu. Maryla podała wino domowej roboty. Siedzieliśmy tak chwilę rozmawiając i popijając. Za przyzwoleniem Maryli zgasiłem lampę. W pokoju zapanował półmrok. Twarz siedzącej obok mnie dziewczyny wyglądała inaczej, piękniej, nabrała uroku. Jasne włosy świeciły jak aureola nad lekko zarysowanym w mroku owalem twarzy, w której wielkie jak gwiazdy oczy błyszczały odbitym z okien światłem. Byłem oczarowany tym nowym,

nieznanym wcieleniem Marylki. Urok tej chwili udzielił się widocznie i jej, bo przysunęła się bliżej i mocno przytuliła do mnie. Z początku siedzieliśmy bez ruchu trzymając się za ręce. Potem zacząłem delikatnie całować jej palce, dłonie i wreszcie usta dziewczyny. W pokoju robiło się coraz ciemniej. Nie przeszkadzało to nam w odnajdywaniu swoich ust i namiętych pocałunkach. Nastrój stawał się coraz bardziej romantyczny. Młodość, wino, cicha muzyka stwarzały niepowtarzalną atmosferę. Byłem zakochany tak, że mógłbym krzyczeć ze szczęścia. Pocałunki nasze były coraz bardziej namiętne i Marylka coraz słabiej broniła się przed moimi pieszczotami. Nie wiem do czego by doszło, gdyby nie nagłe łomotanie do drzwi.

Zdziwiony intymnością tej opowieści zapytałem:

- Stachu, czemu të mie to wszëtkõ gòdòsz? To je doch waju zacha, co wa oboje po cemku robią. Ni môsz te strachu, że jò to móga jesz dze kòmu wëgadac?

- Co to, to nie - odpowiedział. - Jò doch ce znają. Wiém, że czej bëło rzekłé, że nasza gòdka mô östac miadzë nama, tej to tak badze.

- Në jo - odpowiedziałem - czej të taczi spówiedze brëkujesz, tej słëchóm ciebie dali.

Po dłuższej chwili mówił dalej po polsku:

- Ku naszemu przerażeniu ktoś głośno walił w drzwi wejściowe. Za moment zapukano w okno, a z zewnątrz rozległo się wołanie:

- Marila, óbudz sa! Odemknij dwiërze ód westrzòdka, bo ni móga wlezc dodóm!

Przez moment siedzieliśmy jak skamieniali, potem usłyszałem natarczywy szept: „Uciekaj Stachu, uciekaj natychmiast, zanim wejdzie tata, bo nas pozabija!”.

Rzuciłem się w kierunku okna od podwórka, ale stanąłem jak wryty, bo w tym momencie i z tej strony rozległo się pukanie, a po nim krzyk:

- Marila, jes të głëchô, czë co?! Ödmëkôj dwiërze!

- Zarô tata, zarô jida - zawołała Maryla, a do mnie powiedziała szeptem:

- Z korytarza, prowadządrzwi do obory. Schowaj się tam i siedź aż ojciec zaśnie.

Już z korytarza słyszałem pytanie ojca, dlaczego to tak długo trwało. Sam położyłem się i leżałem cichutko w żłobie przed krowami, nasłuchując dochodzących z mieszkania odgłosów.

Westchnął głośno i po chwili ciągnął swe opowiadanie dalej:

- Znam zwyczaję kaszubskich gospodarzy. Wiem, że żaden nie położy się do łóżka przed sprawdzeniem, co dzieje się w oborze. Nie czekałem długo. Ojciec Maryli wszedł do obory i zapalił niezbyt jasno świecą lampę. Przeszedł po ganku, popatrzył na stojące i leżące krowy i po zgaszeniu światła wrócił do mieszkania. Odetchnąłem z ulgą. Miałem szczęście. Nie zauważył, że dwie uwiązane koła mojego legowiska krowy obwąchiwały mnie leżącego w żłobie. Otarłem z czoła i twarzy zimny pot i długojeszcze leżałem spokojnie, zanim odważyłem się wyślizgnąć tylnymi drzwiami z obory i wrócić do domu.

Westchnął głęboko i patrzył długo na mnie, czekając na moją reakcję.

- Co cë móga rzec, wa oboje mia wiele szczescô. Czejbë ön béł waju chwôcył w nocë przë czeliskach z winem, tej wa bë zycher dosta rzniatka. A orlich rzekłé, miôłbë chłop rêcht. Wa ôböje môta doch sa uczëc w szkole, a nié w nocë na zófie sa scëskac i wino pic.

Matura

W sobotnie popołudnia wiosną, jesienią, rzadziej zimą, jeździliśmy do domów po prowiant. Z Łebuni w latach 1947-1949 uczyło się w różnych klasach pięcioro młodych ludzi: troje dzieci zarządcy PGR-u, syn nadleśniczego Zygmunt i Basia, córka właścicieli młyna. Ona pierwsza odłączała się od grupy, jadąc dróżką w prawo przez las. We wsi pozostawała kolejna czwórka. Dalej jechałem już tylko z siostrą Agnieszką lub sam. Te wspólne chwile zbliżały nas do siebie. Basia bardzo mi się podobała. Czułem do niej na pewno coś więcej niż sympatię.

Pod koniec 1948 roku zarządcę majątku Łebunia usunięto ze stanowiska. Ludzie byli tym faktem zaskoczeni, bowiem prowadzone przez niego gospodarstwo należało do najlepszych w powiecie. Służby działające w interesie ludu pracującego odkryły, że przed reformą był on właścicielem majątku w województwie poznańskim. Reforma rolna pozbawiła go własnej ziemi, ale nie umiejętności jej uprawy. Na polecenie władz nowym kierownikiem gospodarstwa został dojarz krów, pan Mielewczyk. Były kierownik wraz z rodziną wyprowadził się w nieznaną. Po dwóch czy trzech latach dowiedziałem się, że nowy kierownik doprowadził kwitnące wcześniej gospodarstwo do ruiny.

Starostą maturalnej klasy był Stanisław Starkowski, pracowity i zdolny uczeń. Miał dwóch braci uczących się w niższych gimnazjalnych klasach. W rocznicę rewolucji październikowej najmłodszy z nich, piętnastolatek, wraz z grupą innych wyrostków, zrywał nocą plakaty rozklejone na cześć tego święta. Działania te przerwała milicja. Mimo parokrotnie składanych papierów Stasiu nie dostał się później na żadną uczelnię.

W grudniu 1948 roku Polska Partia Robotnicza zjednoczyła

się z Polską Partią Socjalistyczną i przyjęła nową nazwę Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Środki przekazu piły z zachwytu. Nam kazano się uczyć piosenki na cześć zjednoczenia, z której w pamięci pozostał mi taki fragment:

„Jedność się rodzi, jedność wyrasta,
z naszej jedności wyrosną miasta,
a nasza jedność wyzwaniem światu,
to jedność., jedność proletariatu.”

Bez zachwytu na to zjednoczenie patrzyli szeregowi członkowie Polskiej Partii Socjalistycznej. Starym PPS-iakiem był ojciec Basi, młynarz z Łebuni. Swój pogląd wyraził takimi słowami:

- Nastąpiło zlanie się PPR-u z PPS-em. Ja poczekam, aż się te obie partie zesrają. PPS-iakiem jestem i nim zostanę do końca.

Parę lat później zginął w swoim młynie wciągnięty przez pas transmisyjny.

Rok 1948 był okresem tworzenia nowych organizacji, ograniczających swobodę ludności. Oprócz Związku Młodzieży Polskiej i Polskiej Partii Robotniczej w tym roku powstała paramilitarna organizacja Służba Polsce. Miała ona prawo do przymusowego powoływania tak zwanej trudnej młodzieży do hufców pracy i kierowania ich na wielkie budowy socjalizmu. Osoby z rodzin, które z takich czy innych względów uznano za wrogów Polski Ludowej, kierowano do pracy w górnictwie.

Nowa władza coraz bardziej zniewalała naród. O tym, co się rzeczywiście działo, nie pisały gazety, nie mówiło radio. Moim źródłem informacji był nie tylko dom. W kościele parafialnym w Łebuni proboszczem był brat mojego szkolnego kolegi, Ignacy. Józef często jeździł do niego na sobotę i niedzielę i nierzadko spotykaliśmy się tam po mszy. Proboszcz, człowiek młody, był dla mnie zarówno kolegą jak i autorytetem. Miałem więc możliwość poznania dwóch różnych światopoglądów.

Nadeszła wiosna 1949 roku. Po deszczowym i chłodnym

kwietniu przyszedł maj. Ludzie ze Skrzyszewa i dużej części Bukowińskich Pustek zbierali się wieczorami pod krzyżem znajdującym się niedaleko młyna, obok zagrody Maleków. Był nowy, wyższy i piękniejszy od tego, który parę dni przed wojną został ścięty przez Hitler Jugend. Stał tuż przy dawnej polsko-niemieckiej granicy. Po nabożeństwie zebrani wolno rozchodzili się do swoich domów. Od pewnego czasu moje majowe myśli skierowane były za Łebunię, nad mały strumyk, gdzie stał młyn, w którym mieszkała Basia. Pewnej niedzieli, po tradycyjnych oględzinach pól, wsiałem na rower i pojechałem do Łebuni. Najpierw do kościoła, a potem do młyna. Po obiedzie wybraliśmy się z Basią na spacer. Była przygnębiona.

- Niedługo matura, po niej egzaminy na studia. Ty pójdziesz prawie na sześć lat do Gdańska. Tam poznasz inną i zapomnisz o mnie - mówiła.

Moje zapewnienia, że liczy się tylko ona, że Gdańsk nie leży daleko, że będziemy się dwa razy w miesiącu widywać, nie przekonywały jej. Usiedliśmy pod lasem na wzgórzu.

- Basiu! - mówiłem trzymając jej rękę. - Wierz mi, parę lat prędko minie. Jeszcze masz dwa lata do matury. Ja do skończenia studiów inżynierskich potrzebuję trochę więcej niż trzy lata. Będę miał zawód i pracę. Możemy razem iść przez życie. Jeżeli mnie kochasz, to przetrwamy ten czas. Nie chcę, żebyśmy się rozeszli.

- Chodźmy do domu. Czas pokaże co z nami będzie - ostatecznie stwierdziła.

Poszedłem bez słowa protestu. W domu z Basią, jej ojcem i matką, którą bardzo ceniłem, zaczęliśmy snuć wizję mojej przyszłości. Marzyłem o karierze dyplomatycznej, dziennikarskiej lub w ostateczności prawniczej. Czułem, że są to kierunki, w których miałbym szansę osiągnąć sukces. Innego zdania była matka Basi, uważając że powinienem wybrać zawód bardziej praktyczny, na przykład lekarza, dentystę czy inżyniera.

W Lęborku cały następny tydzień przygotowywałem się do egzaminów pisemnych. Od czasu do czasu wpadali do nas uczący się osobno koledzy. Wymieniali poglądy, wyjaśniali wątpliwości i pospiesznie wychodzili, stwarzając nerwową atmosferę.



Co niedzielą licealiści wspólnie maszerowali na mszę świętą wraz z profesorami, lata 1947-48.

Nareszcie nadszedł dzień egzaminu pisemnego z matematyki. W poniedziałek przed godziną dziesiątą zajęliśmy miejsca w auli. Każdy z nas zajął miejsce przy stoliku. Rozejrzałem się po sali. Spojrzałem na siedzącego w sąsiednim rzędzie Wiktora i kilku słabszych kolegów. Byli zrozpaczeni. Wiedzieli, że przy takim rozstawie stołów trudno będzie uzyskać od kogoś pomoc. O godzinie piętnastej pięćdziesiąt jako pierwszy oddałem pracę i wyszedłem z sali. Po wyjściu wszystkich kolegów zaczęło się wypytywanie o wyniki i narzekania tych, którzy nie zdążyli skończyć. Zmęczony poszedłem do domu. Pojutrze miał być egzamin pisemny z języka polskiego.

W środę na salę wszedł dyrektor z profesorem Leśniewskim i historykiem. Otworzył kopertę, odczytał i zapisał na tablicy tytuły tematów. Jeden z nich był dowolny. Wybrałem go, nadając mu tytuł „A morze szumi i szumi”. Wykorzystując wiadomości zdobyte na lekcjach historii i języka polskiego, opisałem dzieje naszej nadmorskiej krainy od czasów najstarszych, aż po zdobycie Kołobrzegu i przybycie Polaków na Pomorze Zachodnie. Był to bardzo obszerny temat, więc oddałem swoją pracę jako jeden z ostatnich. Nie czekając na wyjście innych kolegów, poszedłem prosto do domu.

Po dwóch dniach została w szkole wywieszona lista z nazwiskami osób dopuszczonych do egzaminu ustnego, obowiązkowego dla wszystkich, którzy zaliczyli część pisemną. Uczniowie, tłocząc się przy liście, z niepokojem szukali swych nazwisk. Niestety, byli też tacy, którzy ze spuszczonymi głowami opuszczali szkołę. Między nimi znalazł się też Wiktor, kolega z Kaszub. Było mi go żal. Był to dobry, bardzo pracowity człowiek. Obaj włożyliśmy wiele wysiłku, by go doprowadzić do matury. Została jeszcze nadzieja, że rada profesorów dopuści go do ponownego egzaminu we wrześniu. Nasza klasa zdawała język polski, matematykę i biologię. Na przygotowanie się pozostało dziewięć dni, łącznie z niedzielami.

Spodobała mi się propozycja Józka, abyśmy razem przygotowywali się do egzaminu ustnego. Józek należał do najlepszych uczniów w naszej klasie. Pierwszego dnia uczyliśmy się obaj u niego w Nowej Wsi. Ten dzień uznaliśmy za stracony, bowiem co chwilę wpadał któryś ze słabszych kolegów, prosząc o wyjaśnienie wątpliwości.

Po wieczornej naradzie spakowaliśmy potrzebne książki i zeszyty i pojechaliśmy do Łebuni. Ksiądz Ignacy nie zganił naszego postępu.

- Rozumiem, że kolegom mogłaby się przydać wasza pomoc, ale z drugiej strony, w tej chwili musicie już patrzeć na

siebie. Czas do egzaminu ustnego przeznaczony jest jedynie na powtórkę i utrwalenie wiadomości. Jeśli ktoś się nie nauczył, to w ciągu tych kilku dni nie opanuje tak dużej ilości materiału. Ten tydzień zmusi ich do samodzielnego działania, co może im wyjść tylko na dobre - mówił.

Po kolacji proboszcz zaprowadził nas do pokoju gościnnego. Był on duży, przestronny, z dwoma oknami z widokiem na sad. Okrągły stół, krzesła obite skórą, dwa szerokie łóżka i szafa stanowiły wyposażenie pokoju.

Gospodarz plebanii spojrzął na nas i rzekł:

- Mam nadzieję, że w tym pokoju będziecie mieli dobre warunki do nauki. Będziecie musieli dostosować się do porządku dnia, jaki tu panuje. Otóż o godzinie siódmej odprowadzam mszę świętą, o ósmej jest śniadanie, o piętnastej obiad, a o osiemnastej kolacja. Mam nadzieję że obaj będziecie uczestniczyli w porannym nabożeństwie.

- Oczywiście - odparliśmy prawie równocześnie.

Od następnego dnia żwawo zabraliśmy się do przeglądania i przypominania materiału. Nauka nie sprawiała nam trudności do tego stopnia, że znaleźliśmy jeszcze czas na piesze spacerunki i wyjazdy rowerowe do pobliskiego Skrzyszewa.

W dniu egzaminu wysłuchaliśmy odprawionej w naszej intencji mszy świętej i po śniadaniu, żegnani przez księdza i gospodynię masą dobrych życzeń, pojechaliśmy do Lęborka. Przed salą egzaminacyjną zastaliśmy już większość koleżanek i kolegów. Wśród zgromadzonych panowało ogromne podniecenie, niepokój i strach. Chodzili samotnie lub grupkami, zaglądając co chwilę do trzymany w ręku notatek i coś po cichu powtarzając. Widok nas, wchodzących spokojnie, bez zdenerwowania, zwrócił uwagę obecnych. Starosta klasy podszedł i powiedział:

- Gdzie się podziewaliście przez cały tydzień? Zamiast być tu na miejscu i w razie potrzeby pomóc słabszym, gdzieś się

schowaliście. Jak wam nie wstyd, jacy z was koledzy?

Na te słowa zgromadzili się wokół pozostali, patrząc na nas z wyrzutem. Zapadła cisza, a mnie zrobiło się bardzo głupio i ciężko na sercu. Stach miał rację. Jak mogłem nie pomagać kolegom wtedy, gdy niektórzy tak tego potrzebowali.

- Bardzo was przepraszam - powiedziałem i zawstydzony odszedłem na bok. Spojrzałem na listy z kolejnością zdających. Z tyłu usłyszałem prawie szeptem mówiący głos:

- Marian, przepraszam, że cię namówiłem na wyjazd do Łebuni. - Obejrzałem się. Zamnąstał smutny, zawstydzony Józef.

- Nie martw się - powiedziałem. - Tego, co się stało, już nie zmienimy. Ten tydzień był ostatnim, w którym koledzy mogli liczyć na naszą pomoc. Od jutra się rozejdziemy, a oni będą musieli radzić sobie sami.

W ten sposób uspokoiłem nieco swoje i Józka sumienie. Z podniesionymi czołami chodziliśmy po korytarzu czekając na swoją kolej. Dziwiło mnie, że na liście zdających najlepsi uczniowie znaleźli się na końcu. Doszedłem do wniosku, że dyrektor chciał przez to zmniejszyć kontrast między jednymi a drugimi. Pozostawienie na koniec najzdolniejszych miało na przysłanej z kuratorium komisji wyrzucić pozytywny efekt.

Wychodzący z sali koledzy, najczęściej bardzo zdenerwowani, dzielili się z oczekującymi swoimi uwagami. Jedni byli zadowoleni z pytań i swoich odpowiedzi, inni natomiast wychodzili z niepewnymi minami. Wreszcie nadszedł czas na naszą czteroosobową grupę. Weszliśmy na salę, w której przy trzech długich stołach siedzieli nauczyciele i członkowie komisji egzaminacyjnej z kuratorium.

Wywoływany uczeń podchodził do profesora danego przedmiotu i z pudełka na stole wyjmował kartkę z pytaniami. Nauczyciel odczytywał pytanie i wpisywał na niej nazwisko.

Po sprawnym zaliczeniu matematyki i polskiego długo czekałem na przedmiot wykładany przez naszego dyrektora, czyli

biologię. Nareszcie wezwano mnie do odpowiedzi. Zdałem celująco przeprowadzając, na prośbę profesora, wykład z biologii.

Parę dni później w auli odbyło się rozdanie świadectw maturalnych. Na uroczystość zaproszono rodziców, krewnych oraz przedstawiciele władz. Wśród przybyłych był też gość dla mnie najważniejszy - moja mama. Jednym z punktów programu miało być przemówienie pożegnalne wygłoszone przez absolwenta szkoły. W naszym imieniu miała wystąpić Krysia, która już od kilku dni wspólnie z polonistą przygotowywała odpowiedni tekst. Nieoczekiwanie, prowadzący spotkanie ogłosił parominutową przerwę. Siedziałem spokojnie na sali obok mamy, kiedy podszedł do nas zdenerwowany profesor Szast, prosząc mnie na scenę. Za zasłoniętą kurtyną zobaczyłem naszego drugiego profesora i płaczącą Krysię. Wchodząc usłyszałem głos polonisty:

- Uspokój się Krysiu, dasz sobie radę.

- Nie wyjdę na scenę, nie wyjdę! Zostawcie mnie w spokoju - mówiła Krysia zasłaniając twarz rękami.

Stojąca obok elegancka kobieta zwróciła się do pana Leśniewskiego:

- Panie profesorze! Chyba pan widzi, że córka nie jest w stanie wyjść i czegokolwiek powiedzieć - to mówiąc wzięła płaczącą za rękę i wyszła.

Polonista zamilkł i stał przez chwilę bezradny. Podszedł do niego matematyk i powiedział:

- Widząc, co się święci, zawołałem Majkowskiego. Może on da radę przemówić w imieniu absolwentów.

Pan profesor podszedł do mnie i zapytał:

- Marian, jesteś w stanie zastąpić Krysię i powiedzieć coś do obecnych na sali?

Czas naglił. Prędko ołówkiem na kartce napisaliśmy do kogo i w jakiej kolejności należy się zwracać. Wyszedłem na scenę.

Spojrzałem na pełną aulę. W pierwszym momencie uczułem gwałtowne bicie serca i szum w uszach. Sala kołysała się przede mną. Miałem wrażenie, że za chwilę zemdleję. Nagle zza kurtyny doszedł mnie ostry głos profesora Szasta:

- Marian, weź się w garść, dasz radę, zaczynaj!

Jeszcze raz spojrzałem na salę. Siedząca w piątym rzędzie mama uspokajająco uśmiechnęła się do mnie. Odwzajemniłem jej uśmiech i poczułem, jak wraca opanowanie. SOOpokojnym głosem zacząłem mówić. W pierwszej kolejności podziękowałem profesorom za trud włożony w nasze



Tablica ze zdjęciami abiturientów i kadry pedagogicznej liceum im. Żeromskiego do dziś wisi w lęborskiej szkole. Autor szybko odnalazł na niej siebie.

wykształcenie i wychowanie. Potem zwróciłem się do rodziców i rodzeństwa. Mówiłem, że to dzięki ich wyrzeczeniom i pomocy jesteśmy maturzystami. Na koniec pożegnałem szkołę słowami „Żegnamy ciebie szkoło, zostaniesz w naszych sercach i pamięci jak drogowskaz. Ja do końca życia ciepło będę myślał o naszym liceum i mieście, o naszej lęborskiej Alma Mater”.

Ukłoniłem się i wróciłem za kurtynę. Zebrani na sali nagrodzili moje wystąpienie oklaskami. Przez szparę w kurtynie spojrzałem na salę. Spojrzałem na mamę. Płakała. Wiele innych kobiet też wycierało oczy.

Profesorowie Leśniewski i Szast podeszli do mnie prawie równocześnie. Radosny polonista zawołał:

- Majkowski, ty masz talent! Powinieneś iść na studia humanistyczne.

Szczęśliwy pobiegłem na salę do mamy i razem wyszliśmy z budynku.

Parę dni później w szkole odbył się bal pomaturalny, na którym profesorowie i uczniowie bawili się do późnej nocy. Z początku atmosfera była nieco sztywna, ale po kilku toastach nastrój się poprawił i wszyscy czuli się swobodnie.

Już szarzało, kiedy bal się skończył, a my z grupą kolegów jeszcze długo, śpiewając i trzymając się pod rękę, spacerowaliśmy po mieście. Od czasu do czasu otwierało się jakieś okno i najczęściej męski głos próbował przywołać nas do porządku. Odpowiadaliśmy głośnym śmiechem, wołając:

- Matura, matura!!!

Tak zakończył się lęborski etap drogi.

Egzaminy na studia

Radość ze zdanej matury trwała krótko. Przed nami stało nowe trudne zadanie wybrania kierunku studiów i zdania egzaminów na wybrane uczelnie. Dla wielu z nas pobyt w Łęborku kończył się na zawsze.

Po uroczystej niedzieli pełnej krewniaków i gości świętujących na cześć pierwszego w historii Skrzeszewa maturzysty, przyszedł codzienny dzień. Ojciec uważał, że powinienem iść na studia wyższe. Marzeniem mamy było mieć mnie w pobliżu, jeżeli już nie jako księdza w Sierakowicach czy Łębuni, to chociaż jako kierownika szkoły w Bukowinie. Ja sam byłem w wielkiej rozterce, bo nadal nie wiedziałem, jakie studia wybrać. Kusiła mnie dyplomacja czy dziennikarstwo. W marzeniach widziałem siebie zwiedzającego dalekie kraje, pełniącego w nich ważne role dyplomatyczne, czy piszącego artykuły o mroźnych krew w żyłach zdarzeniach na różnych kontynentach. Zdrowy chłopski rozsądek mówił co innego: „Człowieku, chcąc poświęcić się takim studiom, musisz udać się do stolicy, zdać na pewno trudniejsze niż na innych kierunkach egzaminy. Jeżeli nawet ci się to uda, to będziesz musiał na zawsze związać się z obcym środowiskiem wielkiego miasta. Tam nie znajdzie się nikt, by podać ci w trudnych chwilach pomocną dłoń. Jeżeli się nawet na te studia dostaniesz, twoje marzenia mogą się zakończyć na pisaniu artykułów w podrzędnych gazetach lub pełnieniu funkcji gryzipiórka w którymś z ministerstw”.

Postanowiłem inaczej. Po paru dniach ze Stasiem Starkowskim, Konradem Modakiem i Jankiem jechaliśmy do Gdańska, by złożyć dokumenty na Politechnikę. Koledzy wieźli swoje papiery do dziekanatu architektury. Ja miałem zamiar zdawać na mechanizację rolnictwa.

Powojenne pociągi jechały wolno. Cała trójka przez cały czas przekonywała mnie, że nieźle rysuję i powinienem iść z nimi na architekturę. Mnie było właściwie wszystko jedno po rezygnacji z próby ubiegania się na studia dziennikarskie. Fakt, że będę miał przy sobie bratnie dusze spowodował, że dałem się przekonać.

Wysiedliśmy na dworcu głównym w Gdańsku. Dworzec, który wiele nie ucierpiał w czasie działań wojennych, był całkowicie wyremontowany. Licowane czerwonym klinkierem elewacje, wysokie dachy i wieża z zegarem wyglądały imponująco. Naprzeciw dworca z drugiej strony ulicy stał nowo zbudowany wysoki hotel „Monopol”. Zasłaniał znajdujące się za nim tereny starej zabudowy Głównego Miasta. Stasiu, który już wcześniej bywał w Gdańsku, mówił, że tam za hotelem jest już tylko ogromne wypalone gruzowisko.

Wysiedliśmy do pierwszego tramwaju jadącego w kierunku Wrzeszcza. Po przejechaniu kilkudziesięciu metrów otworzył się przed nami zasłonięty dotąd widok na Stare Miasto. Był straszny. Daleko, aż po horyzont, widać było tylko gruzy, resztki murów wypalonych budynków i górujące nad nimi wysokie fragmenty ścian i wież spalonych kościołów. Tramwaj minął most i wjechał na szeroką aleję. Stojące z obu stron szpalery drzew zasłoniły widok.

Wysiedliśmy na przystanku przed gmachem teatru, jak nam objaśnił Stasiu. Idąc lewą stroną alei głównej wzdłuż cmentarza w kierunku Wrzeszcza, doszliśmy do ulicy prowadzącej do Politechniki. Była to krótka uliczka, obsadzona z obu stron podwójnymi rzędami drzew liściastych. W letnim skwarze szliśmy więc w cieniu. W głębi ukazały się czerwone mury budowli. Szybko stanęliśmy na placu przed ogromnym, imponującym wielkością i pięknem budynkiem. Parter gmachu był zbudowany z szarego piaskowca. Wyższe kondygnacje z czerwonego klinkieru. Do budynku prowadziły szerokie na kilkanaście metrów, wielostopniowe schody.

Przez dłuższy czas stałem jak wrośnięty w ziemię, zdumiony tym widokiem. Dom naszej lęborskiej szkoły w moim pojęciu był wielkim i pięknym obiektem. Teraz stałem przed ogromnym gmachem. Czułem się przy nim strasznie mały. Całkowicie znikła moja pewność siebie towarzysząca mi po zdanej maturze. Odczułem drżenie nóg i słabość, jak wtedy na scenie przed pożegnalnym przemówieniem. Jakby z oddali usłyszałem zatroskany głos Konrada:

- Marian, co z tobą, jesteś błądy. Widzę, że ledwie trzymasz się na nogach.



Gmach Politechniki Gdańskiej imponuje wielkością i piękną architekturą, zdjęcie współczesne.

To mówiąc, podbiegł do mnie i mocno mną potrząsnął. Spojrzałem naokoło. Koledzy nieco zdziwieni patrzyli na mnie. Odetchnąłem głęboko i odrzekłem:

- Usiądźmy na chwilę. O, tam jest ławka, zrobiło mi się słabo.

- Co ci jest, jesteś chory, może to od słońca? - pytał zatroskany Stach, sprawdzając ręką moje czoło.

- Dajcie spokój - odpowiedziałem głęboko oddychając. -

To przejdzie. Już mi lepiej, za chwilę pójdziemy dalej.

Nie przyznałem się, że to strach przed nieznaną przyszłością spowodował to osłabienie.

Weszliśmy do wnętrza. Skierowani przez panią udzielającą informacji trafiliśmy do dziekanatu wydziału architektury na drugim piętrze. W sekretariacie przedstawiłem cel naszego przybycia. Siedząca za biurkiem pani przyjęła nasze dokumenty z serdecznym uśmiechem. Po ich przejrzeniu wręczyła nam broszurki informujące o terminach zdawania poszczególnych egzaminów. Widząc naszą treść powiedziały przyjaźnie:

- Siadajcie, powiedzcie coś o Łęborku.

Gdy nic nie mówiliśmy, ciągnęła dalej z uśmiechem:

- Jesteście wystraszeni. To normalne, wszyscy się boją.

To przejdzie.

Nieco uspokojony zapytałem, gdzie mamy załatwić zakwaterowanie na czas egzaminów. Dała mi mapkę ze wskazaniem domu akademickiego i skierowanie do jego kierownika. Na pożegnanie dodała:

- Do zobaczenia na pierwszym roku.

Tramwajem dojechaliśmy w pobliże akademika. Zapytany o Biskupią Górkę przechodzień wskazał na ogromny, górujący nad miastem, gmach. Był podobny do koszar. Po dłuższym marszu pod górę, byliśmy na miejscu.

Młody kierownik akademika, po obejrzeniu skierowań, patrzył na nas chwilę i zapytał:

- Z tego, że przyszlście razem wnioskuje, że wybieracie jeden wydział?

- Tak, panie kierowniku - odpowiedziałem z uśmiechem i dodałem - jeżeli ma pan taką możliwość, to prosimy o pokój czteroosobowy z widokiem na miasto.

- Na miasto? - zapytał zdziwiony. - Skąd przyjechaliście? Nie wiecie, że starego Gdańska nie ma? Z naszej górki widać tylko gruzy.

Otworzył gruby zeszyt i zaczął wertować. Spokojnie czekaliśmy. Po odwróceniu kilku kartek powiedział z zadowoleniem:

- Macie szczęście, na poddaszu jest narożny pokój, z którego nad koronami drzew zobaczycie to, co pozostało z zabytkowej części Gdańska.

- Bardzo panu dziękujemy - odpowiedziałem. - Niedługo rozpoczną się egzaminy wstępne. Czy istnieje możliwość uzyskania zakwaterowania od dzisiaj?

Pytany popatrzył przez moment na nas, potem wstał z za biurka, otworzył drzwi do przyległego pokoju i zwracając się do siedzącej tam młodej kobiety, powiedział:

- Pani Krysiu, nasi goście z Lęborka chcą już od dzisiaj zamieszkać u nas. Proponuję ulokować ich w pokoju 514. Czy jest on przygotowany?

Zapytana odwróciła głowę w kierunku kierownika i odpowiedziała:

- Sprzątaczkę zgłosiły mi, że zwolnione niedawno pokoje w tej części domu są przygotowane dla zgłaszających się na egzamin.

- Dziękuję, proszę załatwić formalności związane z zameldowaniem i zaprowadzić gości do pokoju.

Po spisaniu danych z dowodów osobistych wzięła klucz i idąc przodem mrocznym korytarzem, zaprowadziła nas do szerokich betonowych schodów. Po pokonaniu paru kondygnacji znaleźliśmy się przed drzwiami wyznaczonego nam pokoju. Pokój miał około czterech metrów szerokości i blisko sześć długości. Był bardzo wysoki. W ścianie zewnętrznej były dwa wysokie dwuskrzydłowe okna oddzielone od siebie szerokim słupem. Po obu stronach okien stały po dwa stalowe łóżka ustawione wzdłuż ściany, jedno za drugim. Nie czekając, aż ktoś mnie wyprzedzi, zająłem stojące przy prawym oknie łóżko, kładąc na nim swój bagaż. Po mnie to samo zrobił Janek

zajmując miejsce po stronie przeciwnej. Konrad i Stasiu musieli się zadowolić łózkami stojącymi z tyłu.

Pani Krysia, zwracając się do nas z uśmiechem, powiedziała:

- To jest wasz pokój, wasz nowy dom. Życzę przyjemnego pobytu i zdania egzaminu. Z tymi, którzy zdadzą i zostaną przyjęci będziemy się później widywać. Studenci pierwszego roku architektury zamieszkają w naszym domu.

Trzymając rękę na klamce, dorzuciła:

- Ubikacje położone są niedaleko z prawej strony. Zbiorowe prysznice znajdują się w piwnicach i są czynne we wtorki i piątki. Ostatni wychodzący zamyka drzwi pokoju na klucz, który zostawia na dole w portierni. Myślę, że będzie wam tu dobrze. Do widzenia.

- Do widzenia - odpowiedzieliśmy chórem.

Byliśmy bardzo zadowoleni, że pozwolono nam pozostać w akademiku do czasu egzaminów. Po zjedzeniu podróznego prowiantu odezwał się Konrad:

- Nie wiem co macie w planie, boja kładę się spać.

Odgłos ziewania był zaraźliwy. Za chwilę leżeliśmy wszyscy. Spałem krótko. Obudziły mnie wystrzały i widok kilku mężczyzn biegnących w kierunku zagrody sąsiada w oficerskich butach i czarnych płaszczach z pistoletami w rękach. Wystraszony i spocony usiadłem na łóżku i rozejrzałem się wokół siebie. W pierwszej chwili nie wiedziałem, gdzie jestem. Dopiero widok spokojnie leżących kolegów przywrócił mnie do rzeczywistości. Wstałem, ustawiłem krzesło przed otwartym oknem i patrzyłem na miasto. Błądziłem wzrokiem po wypalanej pustce, leżącej daleko poniżej zieleni drzew. Miasto było mi znane tylko z opowiadań. Zapamiętana od najmłodszych lat nazwa miasta brzmiała „Gduńsk”. Do Gduńska jeździła z towarem nasza skrzyszewska sąsiadka Klawiterowa, po pierwszym mężu Nowczykowa. Jeździł tam też handlarz z Załakowa, *czipnik* Hinca.

Do miasta wozili kupowane u nas produkty żywnościowe, które sprzedawali na targu w Gduńsku. Stamtąd przywozili towary miejskie, sprzedając je taniej niż kupcy w Sierakowicach.

Pani Nowczyk w wolnym czasie siadywała często na ławeczce przed domkiem u Sadeków, gdzie mieszkała. Była dla nas światowym człowiekiem. Wielokrotnie, nieraz aż do znudzenia, pytałem.

- Co to je tak pô prôwdze nen Gduńsk.

Na sam dźwięk tej nazwy, jak na wspomnienie przeżyć młodości, rozjaśniała się jej twarz i błyszczały oczy. Rumieniąc się lekko, mówiła:

- Co móga warna dzôtczy rzec. Gduńsk to je wiôldzé baro piakné i baro bogate miasto. Wa, co wiedno zëjeta tu w Skrzeszewie, zycher nie wiéta, co to je miasto?

- Jô wiem, jô wiem - wołałem. - Miasto je tam, dze na kupie w wiôldżich budinkach mieszko ful lëdzy, co mają wiele dëtków i kupiająto, co wë ód nas przëwiezece.

- Môsz rëcht Mariónku, w miesce zëje baro wiele lëdzy. Gduńsk nie je pôlsczim miastem. Ôn leži ju za greńcã.

- Tej to je tak, jak z Bukowinã. Leži zarô za rzékã, a słëchô do Miemców - powiedziałem.

- Z Gduńskem je jesz jinaczi - odrzekła. - On nie słëchô ani do Pôlsczi, ani do Miemców. To miasto je nazwóné Wolnym Miastem i mô swój apartny rząd i swoje dëtczi.

Wtedy wyobrażałem sobie Gdańsk jako wielki, potężny i bogaty gród przynoszący chlubę nadbałtyckim miastom. Tymczasem teraz zastałem ogromne wypalone rumowisko.

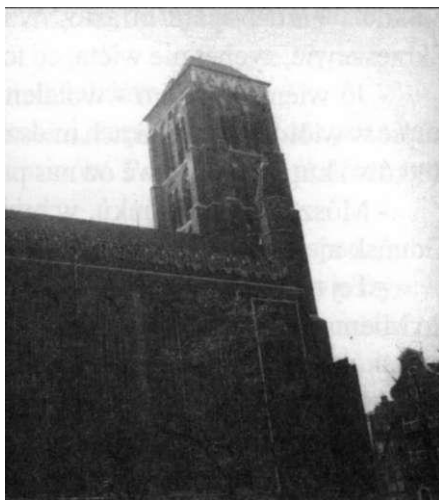
Poczułem nieodpartą chęć poznania tego miasta. Obudziłem Stasia, jedyne go z nas, który bywał w Gdańsku i który go najlepiej z nas znał. Wyrwany gwałtownie ze snu, półprzytomny spojrzał na mnie i gniewnie wycedził przez zęby:

- Co jest, jeżeli sam nie masz chęci na sen, to pozwól innym się wyspać.

- Przepraszam, ja już długo siedzę przy oknie i patrzę na ruiny. Opowiedz mi trochę o nim.

Udobruchany kolega usiadł na krześle.

- Tam na wprost, ten długi ciąg krytych dachówką wielkich gmachów, to obiekty Urzędu Wojewódzkiego, PZPR-u i innych instytucji, które nie zostały spalone. W głębi za nimi stoi kościół św. Trójcy z przyległym do niego byłym klasztorem, w którym mieści się muzeum. Kościół ten i klasztor nie zostały bardzo zniszczone. Są już odbudowane. Widoczne zza muzeum, górujące nad gruzowiskiem wysokie mury, to pozostałości jakiegoś kościoła. Spójrz teraz bardziej w lewo. Stoją tam otoczone gruzowiskiem wysokie, bez dachu, mury ogromnej budowli.



Kościół mariacki, jako największa ceglana budowla w Europie, wyraźnie góruje nad Gdańskiem, zdj. współczesne.

- Wygląda to na pozostałość po jakimś bardzo wielkim kościele. Nowczyczka kiedyś opowiadała, że w Gdańsku stoi jeden z największych kościołów Europy. Nazywała go Marienkirche.

- Tak, to jest kościół pod wezwaniem Najświętszej Panny Marii, a raczej jego ruiny - dodał kolega.

Dalsze opowieści przerwali obudzeni koledzy.

- Myślę, że spacer po mieście zrobi nam bardzo dobrze, a chodząc, zobaczymy więcej niż stąd - zaproponował Stachu.

Nazajutrz pojechałem do Lęborka i Skrzyszewa, by przywieźć sobie to, co mogło być potrzebne na okres przygotowań. Następnego dnia byłem znowu w akademiku. Za parę dni miały być egzaminy. Wszystko zostało podporządkowane wysiłkom, by dostać się na pierwszy rok. Wstawaliśmy o świcie. Po śniadaniu nauka do godziny dwunastej. Na obiad, który nam zapewniono w stołówce obok Politechniki, jeździliśmy tramwajem. Po obiedzie znowu nauka do godziny dwudziestej lub dłużej.

Sąsiednie pokoje zostały zajęte przez innych kandydatów na różne kierunki studiów. W czasie obiadów poznaliśmy kolegów z naszego piętra. Przybyli tutaj z różnych stron Polski. Najwięcej z Bydgoszczy i Słupska, ale również z mniejszych miast jak Kwidzyn czy Sępólno. Wśród nich było prawie dziesięciu przygotowujących się do egzaminu na architekturę.

Przedmiotem warunkującym dopuszczenie do dalszych egzaminów był rysunek odręczny. Wydział przygotował dla studentów pierwszego roku ponad sto miejsc, a na jedno zgłosiło się około sześciu kandydatów. Przeprowadzenie egzaminu z rysunku miało stworzyć szansę złożenia papierów na inny wydział tym, którzy rysunku nie zaliczą. Zdawaliśmy go w kilkudziesięcioosobowych grupach. W wielkiej sali na podwyższeniu stał stół, na którym znajdowały się dzbanek, talerz z owocami, krzesło z udrapowaną nim tkaniną. Całość była oświetlona w taki sposób, by uwypuklić kontrasty znajdujących się w świetle i zacienionych elementów. Każdemu przydzielono sztalugę, papier i przybory do rysowania. Analizowałem każdy najdrobniejszy szczegół i dokładnie przenosiłem na papier to, co widziałem. Po upływie wyznaczonego czasu zebrano nasze prace. Poszliśmy na obiad, a potem do akademika. Tam zaczęła

się nerwowa wymiana poglądów na temat naszych szans. W milczeniu słuchałem przekrzykujących się nawzajem kolegów. Po dłuższej chwili wstałem, podszedłem do okna i otworzyłem je szeroko. Do pokoju wpadła świeża woń kwitnących lip i szum położonego niżej miasta.

Po dwóch dniach na tablicy przed dziekanatem wisały listy z nazwiskami osób dopuszczonych po zaliczeniu rysunku do dalszych egzaminów. Stojąc w grupie z innymi, wzrokiem przebiegałem nazwiska. Odetchnąłem z ulgą, kiedy pod literą „M” znalazłem swoje. Szukałem dalej, był też Stasiu. Obejrzałem się za siebie, stał za mną uśmiechnięty. Podając mu rękę, powiedziałem:

- Pogratulujmy sobie. Pierwszy, bodaj najtrudniejszy etap, mamy za sobą.

Nazwisk Konrada i Janka nie było na liście. Na końcu korytarza spostrzegłem lęborskich kolegów. Siedzieli skuleni, patrząc w podłogę. Po policzkach spływały im łzy.

- Nie rozpaczajcie. Jest jeszcze wiele wydziałów. Zdacie na budownictwo lub inny kierunek - pocieszał ich Stachu.

- Ja na inny kierunek nie idę, choćby przyszło mi pięć razy zdawać - skostatował zdecydowany Konrad.

Natomiast Janek złożył papiery na wydział budownictwa.

Następnego dnia odbywał się egzamin pisemny z matematyki. Nie napisałem go zbyt dobrze. Razem z wieloma innymi musiałem przystąpić do sprawdzianu ustnego. Wystraszony wchodziłem do pokoju, w którym siedział egzaminator. Oniemiałem. Za biurkiem ujrzałem tego pana, który jako przedstawiciel kuratorium uczestniczył w maturze w Lęborku. Stanąłem, zastanawiając się czy mnie pozna. Egzaminator przez chwilę patrzył na mnie i rzekł:

- My się przecież znamy. Czy to nie ty, nie pan, był tym, który wykładem z biologii zakończył maturę w Lęborku?

- Tak, panie profesorze, to jestem ja.

Mówiąc to, przeglądał moją pracę.

- Nie jest źle. Z toku twojego rozumowania widzę, że z matematyką dasz sobie radę.

Po tych słowach odłożył pracę na bok, wstał i na tablicy kredą wypisał temat z geometrii mówiąc:

- Na tym wydziale bardzo ważna jest umiejętność rozwiązywania zagadnień przestrzennych. Mam nadzieję, że to zadanie nie sprawi panu trudności.

Na szczęście z geometrią zawsze szło mi dobrze. Po paru minutach wynik był naniesiony na tablicę. Egzaminujący, który przez cały czas obserwował moje działanie, rzekł:

- Dziękuję, egzamin z matematyki masz zaliczony.

- Bardzo panu dziękuję, panie profesorze.

- Do zobaczenia na pierwszym roku. Będę u was wykładał matematykę.

Dwa dni później odbył się egzamin z języka polskiego. Tę barierę pokonałem bez trudu. Wyniki oraz lista osób przyjętych na studia miały być ogłoszone w następną środę.

W piątek rano uznałem, że nie ma sensu czekać w Gdańsku na wyniki. Po dziesiątej siedziałem w pociągu. Tym razem jechałem przez Pruszcz Gdański, Kartuzy i Sierakowice. Wcześniej jechałem tędy dwa razy. Pierwszy raz w roku 1944, kiedy zabrano mnie do pracy przymusowej przy kopaniu rowów przeciwpancernych. Wówczas widziałem tylko smutne, często zapłakane twarze współtowarzyszy niedoli, którzy jechali pociągiem w nieznaną. Drugi raz wracałem tędy z robót. Wreszcie pociąg stanął w Kamienicy Królewskiej. Spokojny szedłem drogą przez las wzdłuż Jeziora Świętego do domu.

Dni spędzone w domu minęły szybko. W środę około godziny dwunastej wraz z innymi stałem przed listą z nazwiskami osób przyjętych na studia. Moje nazwisko było na liście przyjętych. Byłem pierwszym studentem w historii Skrzyszewa. Rozpierała mnie niesamowita radość. Odszedłem

na bok, by wytrzeć pocące się ze szczęścia oczy. Po chwili wróciłem i powoli systematycznie przeczytałem całą listę. Szukałem nazwiska Stacha i kolegów, z którymi przygotowaliśmy się na Biskupiej Górcie. Był Heniek z Sępolna, Tadeusz z Kwidzyna, Jurek i Edwin z Bydgoszczy. Niestety, Stacha Starkowskiego nie było.

W czasie egzaminów przeczytałem na tablicy informację, że od połowy lipca zostanie zorganizowany kurs wyrównujący przygotowanie na studia dla przyjętych kandydatów. Przyjmowana miała być młodzież o pochodzeniu robotniczo-chłopskim z mniejszych miast. W sekretariacie wyjaśniono mi, że kurs jest bezpłatny, a słuchacze otrzymają zakwaterowanie i pełne wyżywienie. Skorzystałem z tej możliwości.

Zajęcia ze studentami architektury prowadzili asystenci wydziału. Nauka trwała ponad miesiąc i była prowadzona przez pięć dni w tygodniu. Głównymi przedmiotami były: rysunek odręczny, matematyka i geometria. Na kursie byli też koledzy z Sępolna i Kwidzyna. W tym czasie mieszkałem z Tadeuszem Słowikiem, z którym się zaprzyjaźniłem. Po złożeniu wniosku otrzymaliśmy dwuosobowy pokój.

Po zakończonym kursie, w połowie sierpnia, pojechałem do domu. Mimo pracy przy żniwach i sianokosach, czas włókł się wolno. Nie mogłem doczekać się rozpoczęcia studiów. Nareszcie nadszedł czas wyjazdu.

Ostatniego dnia września 1949 roku zgłosiłem się do akademika, gdzie po załatwieniu formalności meldunkowych, otrzymałem klucz do niewielkiego pokoju na drugim piętrze. Wyposażony był w dwa krzesła, stoliki, dwa łóżka szafę i wieszak w kształcie prostokąta. Z okna, położonego od wschodniej strony budynku, rozciągał się widok na łąki i pola. Okno było nieszczelne, więc zająłem łóżko położone dalej. Zacząłem rozpakowywać swoje rzeczy, czekając na przyjazd kolegi. Nie trwało to długo. Do pokoju wtoczył się obładowany Tadeusz.

- Cześć! No to jesteście w naszym nowym domu - powiedział. - Dawno temu przyjechałeś?

- Przed godziną- odpowiedziałem. - Czekałem na ciebie: i rozmyślałem, jak nam tutaj będzie.

- Przyzwyczajmy się - stwierdził. - Mnie będzie trudniej, bo idę wprost od mamy, ale ty byłeś już na stacji.

- Masz rację - przytaknąłem. - Już parę lat tułam się wśród obcych.

- Więc z tego pokoju musimy stworzyć sobie przytulny dom - odrzekł.

Nazajutrz rozpoczęły się zajęcia. Siedzieliśmy w dużej auli z pochyłą podłogą. Z każdego miejsca był widok na tablicę i wykładowcę. O godzinie dziesiątej na salę wkroczył szpakowaty, szczupły na twarzy, kulejący pan w wieku ponad pięćdziesięciu lat, a za nim dwóch młodych. Na ich widok wszyscy wstali z miejsc. On usiadł za biurkiem i gestem ręki wskazał, byśmy też usiedli. Siedząc, zaczął mówić:

- Nazywam się Marian Osiński. Jestem dziekanem wydziału i kierownikiem katedry historii architektury polskiej.

Następnie przedstawił towarzyszących mu asystentów, omówił organizację wydziału i wyjaśnił, czego od nas oczekuje. Na koniec rzekł:

- Przed sobą mamy ponad pięć lat. Koledzy zapoznają państwa ze szczegółami.

Po jego wyjściu asystenci poinformowali nas, kiedy będą najbliższe zajęcia, jakie musimy mieć przybory, gdzie znajdują się poszczególne katedry, itp. Pierwszy dzień zajęć zakończył się po dwóch godzinach. Tego dnia odebrałem moje pierwsze stypendium w wysokości 7000 zł.

Pełni wrażeń, po obiedzie, poszliśmy na zakupy. Przed wieczorem pod górkę targaliśmy z Tadeuszem deskę kreślarską i komplet przyborów potrzebnych do pracy. Rozpoczęły się codzienne pracowite dni. Nie opuszczaliśmy żadnych wykładów

i ćwiczeń. Było nam bardzo ciężko. Dodatkowym obciążeniem był brak książek. Z wykładów robiliśmy notatki, które w domu trzeba było opracować.

Profesor historii architektury powszechnej Borowski, omawiając styljakiegoś okresu, równocześnie rysował na tablicy elewacje, rzuty i przekroje budowanych w tym czasie historycznie ważnych obiektów. Łatwo rysować i równocześnie to omawiać. Piekielnie trudno natomiast notować to, co ktoś mówi i rysuje. Najlepiej wychodziło to jednemu z naszych kolegów, który był oburęczny. W lewej ręce, którą doskonale rysował, trzymał miękki ołówek, w prawej twardy, którym pisał.

W domu po wykładzie zwróciłem się do mego współlokatora:

- Musimy wymyślić sposób na robienie notatek. To, co mnie udało się zapisać i narysować jest do niczego. Z tego nie jestem w stanie zrobić porządnego czystopisu.

- Ja też nie - odpowiedział. - Albo zdążę naszkicować to, co on rysuje, albo zapisać, co mówi.

- W takim razie jeden z nas będzie rysował, drugi w tym czasie robił notatki - powiedziałem.

- No dobrze, ale jak to potem połączymy w całość?

- To już będzie proste - zapewniłem. - Ty będziesz numerował każdy kolejny rysunek, ajajego opis.

- Masz łeb nie od parady - stwierdził Tadek. - To jest genialny pomysł, tak będziemy robić.

Po wprowadzeniu tego systemu, również i do innych przedmiotów, mieliśmy dobre notatki. Zająć było dużo, jedne przyjemne, inne trudne czy nawet budzące lęk. Dla mnie przyjemna, choć niełatwa była wyższa matematyka. Prowadził jąpan znany z matury i egzaminu wstępnego Zawsze pogodny, uśmiechnięty, emanował optymizmem. Jego wykłady cieszyły się prawie stu procentową frekwencją.

Geometrię wykreślną wykładał profesor Franciszek Otto.

Był to barczysty, szpakowaty mężczyzna średniego wzrostu. Jego nieprzenikniona twarz zachowywała kamienny spokój. Na salę wkraczał wolno, majestatycznie, wyprostowany, a za nim szedł asystent, niosąc potrzebne do rysowania i wycierania tablicy przybory. Musiałem się bardzo spieszyć, by zdążyć zanotować i zrozumieć przekazywaną treść. Geometria była przedmiotem bardzo trudnym. U wielu, którzy mieli słabą orientację przestrzenną, budziła grozę.

Ćwiczeń było więcej niż wykładów. Zorientowałem się, że studiowanie architektury to nie tylko zdobywanie wiedzy, ale również nabywanie rzemieślniczych umiejętności. Na zajęciach rysunku odręcznego szkicowaliśmy martwe natury, akty, a w czasie odpowiedniej pogody ciekawe obiekty w plenerze. W katedrze odbywały się ćwiczenia z rzeźby. Już w drugim miesiącu studiów rozpoczęliśmy projektowanie nieskomplikowanych obiektów.

Pierwszy semestr był straszny. Po zakończeniu zajęć na uczelni późnym wieczorem lądowaliśmy w akademiku, gdzie następowało przepisywanie notatek na czysto i wkuwanie całodniowych porcji informacji.

Minął październik i połowa listopada. Robiło się coraz zimniej. Przez nasze niedomykające się okno przedzierał się ostry wiatr. Ogrzewanie wprawdzie zostało uruchomione, ale grzejnik w naszym pokoju był ledwie letni. Interwencje zgłaszane do kierownika kończyły się obietnicami naprawy. W pokoju robiło się coraz zimniej i coraz trudniej było nam się skupić na nauce.

W jedną z sobót pojechałem do domu, by przywieźć sobie cieplejszą bieliznę, ubranie i rękawice. Kiedy znalazłem się w domu była noc, więc poszedłem spać. W niedzielę pojechałem rowerem do kościoła w Łebuni, a po mszy odwiedziłem młynarzy, państwa Stobieckich. Matka Basi przywitała mnie bardzo serdecznie. Ojciec, jak to miał w zwyczaju, spał po

obiedzie. Basi nie było w domu. Kiedy zapytałem, gdzie jest i kiedy wróci, otrzymałem zdawkową odpowiedź, że chyba u koleżanki, ale nie wiadomo, u której i kiedy będzie z powrotem. Nicco zaniepokojony zapytałem:

- Pani Stobiecka, ostatnio z braku czasu długo u was nie byłem. Pani zna córkę i wie, co się dzieje. Proszę mi powiedzieć, czy dalsze przyjazdy do Basi mają sens?

Milczała, więc dodałem:

- Może sobie kogoś znalazła? Jeżeli tak, to proszę mi powiedzieć prawdę. Po co wam i sobie zawracać głowę.

Kobieta siedziała chwilę, patrząc w okno, po czym rzekła:

- Gdybym ja była na jej miejscu poczekałabym na ciebie. Za nianie mogę ręczyć. Wiem, że kręci się tu jakiś leśniczy. Onajest młoda, a on w pobliżu.

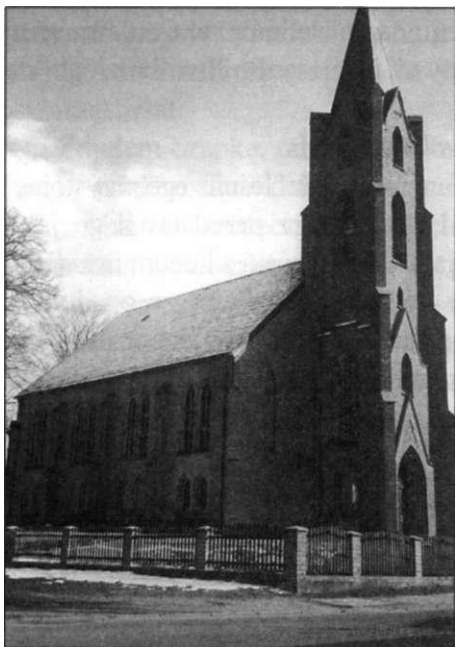
- Rozumiem - odpowiedziałem. - Nie będę dłużej czekał. Dzisiaj jeszcze wracam do Gdańska. Proszę serdecznie pozdrowić Basię. Jeżeli pani pozwoli odwiedzę was w święta Bożego Narodzenia.

- Do zobaczenia. Porozmawiam z córką Jestem po twojej stronie, ale nie na moją miłość i przychylność czekasz - rzekła ze smutkiem. - Do widzenia, powodzenia na studiach.

W domu nie miałem już czasu na rozmowy. Przed wieczorem Jaś odwiózł mnie do Sierakowic na pociąg.

W plecaku wiozłem wiejski chleb, kostkę swojskiego masła, kawałek wędzonki, ciepłą bieliznę osobno zapakowaną i specjalnie przez mamę zrobione rękawice z gołymi końcówkami palców, bym mógł w rękawiczkach odwracać kartki lub kreślić. Przez zimowe miesiące, które tego roku były bardzo mroźne, męczyliśmy się strasznie. Marzły nogi, plecy i ręce. Koledzy mieszkający w ogrzewanych pokojach, w miarę możliwości, udostępniali nam miejsca na deski kreślarskie. Uczyliśmy się w ubraniach pod kołdrami. Mimo naszych wielokrotnych interwencji ogrzewanie w pokoju ciągle nie działało.

Wigilię i pierwsze święto spędziłem w domu. Drugiego dnia udałem się do kościoła w Łebuni. Na plebanii spotkałem Józka, studenta z Lublina, który przyjechał odwiedzić brata, proboszcza. Podczas świąt postanowiłem ostatecznie wyjaśnić sprawę z Basią. Zajechałem do młyna. Całą rodzinę zastałem przy kawie i świątecznym placku. Po przywitaniu przełamałem się przywiezionym opłatkiem. Zaproszony przez gospodynię,



Kościół w Łebuni, zdj. współczesne

usiadłem do stołu. Młynarz wyraźnie uradowany moim przybyciem, rzekł do żony:

Zwracając się do mnie powiedział:

Kobieto, przynieś coś konkretnego i mięsiwo na zakąskę. Chyba dziś, w drugie święto, możemy we dwóch chlapać kielicha?

- Możemy, panie Stobiecki - odparłem.

- Spędziłem tu wiele pięknych chwil. Jest

święto i chętnie napiję się z wami.

Po chwili dodałem: - Pewnie nieprędko się zobaczymy.

Kiedy zdziwieni spojrzeli na mnie, dopowiedziałem:

- Zajęcia na uczelni zajmują bardzo dużo czasu. Na inne sprawy go już nie wystarcza.

Po napełnieniu kieliszków gospodarz stuknął się ze mną i rzekł:

- Za szczęście, zdrowie i pomyślność naszego gościa, studenta.

- Za waszą kochani pomyślność, za szczęśliwy nowy rok - odparłem wypijając do dna.

W pewnym momencie na podwórzu zaczął ujadać pies. Po krótkim czasie to zaciekle szczekanie zamieniło się w radosne skomlenie. Wiedziałem, że taki dźwięk pies wydaje widząc dobrze znanego gościa. Spojrzałem na Basię. Nie wytrzymała mojego wzroku i zarumieniona spuściła oczy. Czułem, że w drzwiach ukaże się nieznanym mi leśniczy. Po chwili rozległo się pukanie.

- Proszę, proszę - zawołał młynarz.

Do pokoju wszedł ubrany w mundur leśniczego przystojny, średniego wzrostu, blondyn. Młynarz przedstawił go jako znajomego domu, a mnie jako kolegę córki z liceum i studenta z Gdańska. Z jego miny wywnioskowałem, że on dobrze wiedział, kim byłem. Po paru kieliszkach byłem w nastroju, którego przybycie nowego gościa nie zepsuło. Przy następnej kolejce stuknąłem się z nim i powiedziałem:

- Może to, co powiem wyda się nieszczerze, aleja naprawdę życzę panu szczęścia i powodzenia w nowym roku. Basiu, tobie też życzę szczęścia.

- Nie mówcie nic - dodałem. - Jesteście młodzi, mieszkacie blisko siebie. Jajestem i przez najbliższe lata pozostanę daleko, w Gdańsku. To, co się stało, było i tak wcześniej czy później nieuniknione. Cieszę się, że ta dotąd niedomówiona sprawa, sama się wyjaśniła. Teraz już spokojnie mogę kontynuować naukę.

Żegnając się z wszystkimi powiedziałem:

- Jeszcze raz życzę państwu i tobie Basiu dużo szczęścia na dalsze lata.

Na strychu odszukałem stare narty i korzystając z wolnego czasu i pięknego śniegu, udałem się na wycieczkę. Wybrałem drogę prowadzącą obok byłego majątku Gładykowskich, do

przysiółka Grunhof koło Siemirowic, gdzie mieszkała moja siostra Monika. Sunąc na nartach skręciłem nieopodal zabudowań dworskich, by zobaczyć ich stan cztery lata po wojnie. Na miejscu dawnego dworku mieszkalnego zobaczyłem pokryte śniegiem resztki murów piwnicy i fragment schodów prowadzących na wysoki parter. Po stodole i wielkich budynkach gospodarczych pozostały tylko pagórki. Znałem rodzinę właścicieli. Przyjaźniłem się z ich synem Adamem, z którym nieraz wybierałem się na narty. Niestety, krótko po wojnie Adam zachorował na tyfus i zmarł. Miał wtedy około osiemnastu lat.

Zdjąłem czapkę, odmówiłem zdrowaśkę za spokój jego duszy i udałem się w dalszą drogę. Jelińscy przyjęli mnie jak zawsze bardzo serdecznie. Dwuletnia Tereska cieszyła się najbardziej z cukierków, natomiast płaczem dał znać o sobie mój chrześniak, Marianek. O trzynaście lat starszy ode mnie szwagier Władek, uczestnik kampanii wrześniowej i obozu jenieckiego oraz więzień obozu koncentracyjnego, odnosił się do mnie z szacunkiem. Dla mnie był on bohaterem, który w czasie wojny dużo wycierpiał.

W Sylwestra odwiedził nas, mało mi dotychczas znany, kuzyn z Gdyni. Przyjechał w roli swata wraz z kolegą z Luzina. Kawaler był silnie zbudowanym mężczyzną średniego wzrostu o ciemnych lekko falowanych włosach. Starał się o rękę mojej siostry, Jadzi. Na wojnie stracił lewą rękę. Fakt ten nie przemawiał najego korzyść.

Po obiedzie zasiedliśmy do rozmowy. Na stole znalazła się butelka z wódką i kieliszki. Na Kaszubach był taki zwyczaj, że ojciec panny pił z kawalerem, sprawdzając w ten sposób jego skłonności do kieliszka. I tym razem ojciec nalewał, zachęcał do wypicia i wznosił toasty, bacznie obserwując kandydata na zięcia. Młodzi nie dawali się sprowokować i ledwo maczali wargi w trunku.

Głównymi rozmówcami byli swat i ojciec. Pozostali, łącznie z najbardziej zainteresowanymi, stanowili tło prowadzonej dyskusji.

- Wuja, cotkó, czej jô tu do waju z Janem przējachôł, tej mõzeta mie wierzëc, że to je dobri chłop. Dôlëbóg, familia Lejków je jedną z nôbarzi achtniatëch w Lëzënie. Przed wojną w jich wiôldzim budinku bël krom. Jego starszi bracy na je człowiekiem uczatim, szkolnym kôl Kôscérznë. Sostra, co ju mô kôl trzëdzescë dwa lata, je jesz brutka. Ojc nie żëje. Wszëtkô, budinczi i całi môl dëcht przë banofie w Lëzënie, bądze słëchôł Janowi - zachwalał swat swojego klienta.

- Të gôdôsz i gôdôsz. Më wiëmë ju wiele ô chëczi, môlu, le dëcht nic ô chłopie, co të go tu przewiózł. Jak on so radzy bez raczi, jaczi mô fach i co to je za człowiek? - pytał ojciec.

- Wuja! - zawołał uradowany Wojciech. - Ô nim, o Janie móga le blôs dobrze gadać. To, że ni mô raczi, to wa widzyta. Za to drëgarozmieje zrobic wiacy i lepi jak niejeden chëcbë miôł nie dwie, a sztërë paje. On robi w Gdini w Spôłdzielni Inwalidów jako precyzyjny mechanik. Czejbë wa uzdrza, co on mô zrobione, warna bë sa same ód ucha do ucha gabë ucmulëłë.

W tym momencie Jan wtrącił się do rozmowy.

- To, co gôdôł Wójcech, je prôwda. Białkajô brëkuja, placu w chëczi i dëtków nama nie bądze felało. Jo môm jesz wiôlgą inwalidzką renta. Co do picô kórnuśa, czej je leżnosc tej czeliszki abó dwa, jak drëdzë, wëpija. Jadza, co ja dzys pierszi rôz ôbzëróm, mie sa widzy. Wajô familia téż. Co bądze dali, to pókôże czas. Czej të, Jadwiga, bądzesz chcała miajesz widzec, tej za tidzën abó dwa przejada, czej nie, tej bada muszôłjachac dodóm. Za pôra niedzël, czej sa lepi pöznómë bądzemë ôböje wiedzëlë, czë namaje razem pó drodze.

Teraz wszystkie oczy zwróciły się na Jadzię. Siedziała zaczerwieniona, nic nie mówiąc. Patrząca na nią mama powiedziała:

- Jadża, rzeczé doch co. Jes doma, tu cë nicht nie chce nic lëchégö zrobiec.

Już nieco swobodniejsza odpowiedziała:

- Przejachać to të Janie możesz, czej badzesz miôł lëszt. Co z nama dali badze ôbôczimë. To doch dzys je le prawie pierszi dzén nowego roku. Mómë wiele czasu.

Wszyscy wznieśli kieliszki wraz z życzeniami szczęśliwego 1950 roku.

W Nowy Rok pojechałem do Gdańska. Zaczęła się moja pierwsza sesja egzaminacyjna. Zaliczyłem ją bez poprawek. Krótką przerwę międzysemestralną spędziłem w domu. Na uczelnię wróciłem już dużo pewniejszy siebie.

Na początku drugiego semestru zwołano zebranie, na które zaproszono członków ZMP. Kto był działaczem w liceum wiedziano z akt składanych wraz z podaniem na studia. Mnie wybrano do zarządu koła. Zostałem również delegatem mającym prawo udziału w naradach profesorów. Druga funkcja, połączona z wielką odpowiedzialnością, była bardzo trudna. O tym przekonałem się po rozmowach z działaczami uczelnianego i miejskiego komitetu ZMP oraz na pierwszym posiedzeniu rady, na której zetknąłem się z naukowcami.

Profesorowie, ludzie starsi z dorobkiem naukowym, mieli własne poglądy często niezgodne z wówczas obowiązującymi. Nam wpajano, że mamy prawo wyrażać opinię na temat sposobu prowadzenia zajęć i mieć zdanie w wielu różnych sprawach. Na naradach stosowałem prostą chłopską zasadę. Słuchaj, co mówią mądrzejsi, bardziej doświadczeni i nie zabieraj głosu, gdy nie jesteś pewny swoich racji.

Na drugim semestrze rozpoczęliśmy zajęcia z projektowania wiejskiego. Ówczesny kierownik katedry, profesor Feliks Markowski, miał bardzo ciekawy sposób prowadzenia zajęć. Gdy usiadł przy którymś z nas, przeprowadzając korektę, wszyscy obecni na sali ćwiczeń mieli

obowiązek w niej uczestniczyć. Na przykładzie jednego tematu chciał pokazać, na czym polega istota projektowania. Dla niego, co nam często powtarzał, najważniejszym problemem było właściwe rozwiązanie funkcji wnętrza. Mówił tak: „Jeżeli dobrze rozwiążecie wzajemne powiązania poszczególnych pomieszczeń, to zawsze dacie radę dorobić do tego dobrą architekturę. Inaczej, najlepszy zewnętrzny wygląd budynku nic nie da, kiedy będzie źle zaprojektowane jego wnętrze”.

Pewnego razu Heniek odkrył, że przy ulicy prowadzącej do Akademii Medycznej znajduje się jadłodajnia „Caritasu”. Tam dodatkowe posiłki jadali niektórzy koledzy ze starszych lat. Wprawdzie obiady mieliśmy wykupione w stołówce położonej obok Politechniki, jednak nasze żołądki mogłyby strawić znacznie więcej. Poszliśmy zatem zorientować się, komu te obiady przysługują i na jakich warunkach. Poinformowano nas, że są to posiłki jednodaniowe, bezpłatne, przeznaczone dla biedniejszych studentów ze wsi i małych miasteczek. Obaj spełnialiśmy te warunki. Posiłki przygotowywano z darów otrzymanych ze Stanów Zjednoczonych.

Od starszego kolegi dowiedziałem się, że w stojącej obok stołówki kapliczce, odbywają się zajęcia Instytutu Wyższej Kultury Religijnej. Wracając z obiadu, zaszedłem tam, by dowiedzieć się czegoś na ten temat. Na tablicy wisiały informacje o problemach omawianych w instytucie i godzinach zajęć. Nie kolidowały z naszymi na uczelni, więc zdecydowałem się pójść na takie wykłady. Zaproponowałem to również Tadziovi. Zdziwiony spojrział na mnie pytającym wzrokiem. Próbowałem mu wytłumaczyć swoją decyzję.

- W Związku Młodzieży Polskiej jesteśmy wychowywani w, jedynej słusznej ideologii marksistowsko-leninowskiej”. Nie znając innych poglądów, nie wiemy, czy to prawda.

Kolega patrzył na mnie długo, nim oburzony zawołał:

- Tego nie pojmuję. Ty, aktywista związku, chcesz

uczęszczać na wykłady religijne? Zdajesz sobie sprawę z tego, że byłoby to bardzo niebezpieczne?

- Wiem o tym, dlatego rozmawiam z tobą, w cztery oczy - odparłem.

Po długiej chwili milczenia, jakby przekonując siebie samego, dodałem cicho:

- Zdobywanie wiedzy jest poznawaniem prawdy, a to zawsze było związane z ryzykiem i pewnym zagrożeniem.

- Przemysłu to - powiedział Tadzium. - Jeżeli się zdecydujemy zapisać, nie mówmy o tym nikomu.

- To jest oczywiste. Gdyby ktoś poinformował związek, pozbawiliby nas stypendium i wyrzucili z akademika.

Wykłady prowadził paru księży profesorów. W pamięci utkwiał mi temat poruszony przez wykładowcę dr Mokrzyckiego. Tłumaczył, co wtedy było dla mnie ogromnym zaskoczeniem, że innowierca Gandhi ma prawo zostać uznany świętym. Niektórzy słuchacze oburzeni tym twierdzeniem protestowali mówiąc, że warunkiem świętości jest co najmniej chrzest. Wyjaśnił nam wówczas, że są trzy rodzaje chrztu: chrzest wody, chrzest krwi i chrzest pragnienia. Najwięcej czasu poświęcił wyjaśnieniu, co to jest chrzest pragnienia. Mówił: „Jeżeli ktoś starał się w życiu czynić dobro, to nieświadomie łączył się z dobrem najwyższym i ma prawo do zbawienia. Poprzez pragnienie uzyskał chrzest”. Na te zajęcia uczęszczałem dwa lata.

Po zaliczeniu drugiego semestru odbywaliśmy pierwszą lipcową praktykę przy budowie hali rybnej w Gdyni. Zaopatrzeni w ubrania robocze, uzbrojeni w kaski ochronne, zapoznawaliśmy się z budową. Praca ta nie była zbyt męcząca, bowiem po kilkakrotnym przejściu przez plac budowy „bardzo przepracowani”, odpoczywaliśmy ukryci za stertą nagromadzonego materiału. Pewnego razu kierownik budowy wezwał nas do siebie. Gestem ręki zaprosił do zajęcia miejsca i powiedział:

- Chciałem was prosić o wyświadczenie mi przysługi. Jutro przyjeżdżają do nas dziennikarze z Warszawy, aby przeprowadzić wywiad z przodownikami pracy. Chciałbym byćście wy, dobrze wyglądający w ubraniach roboczych, wystąpili w charakterze przodujących robotników.

- Panie kierowniku - zawołałem. - Przecież my nic nie wiemy o budowie. Co my możemy tym dziennikarzom powiedzieć?

- O co was mogą pytać i co macie mówić zaraz wam powiem.

Na wywiad przyjechało dwóch redaktorów młodzieżowej prasy. Już po pierwszych pytaniach zorientowałem się, że zupełnie nie znam się na wykonawstwie. To dodało mi pewności siebie i już swobodnie udzielałem odpowiedzi. Na trudniejsze pytania odpowiadał towarzyszący nam kierownik. Do zdjęć na plan pierwszy wysuwałem Tadzia, by uśmiechając się, pokazywał swoje ładne zęby. Po godzinie zadowoleni redaktorzy opuścili budowę. Kierownik nie zapomniał tej przysługi i na koniec miesiąca wydał nam bardzo dobrą opinię zaliczającą odbycie praktyki.

Sierpień i wrzesień spędziłem w domu, jak zwykle, przy pracy. Chętnie kosiłem seradelę lub trawę. Jaś prowadził na pole, mówiąc:

- Latoś ta radela je tak wialgô, że jak seczesz pókósk, tej trzë métrë dali ona sajesz cygnie.

Robert od sąsiadów śmiejąc się, dodawał:

- Toje fejn, że Mariónje tu. To je chłop möcny, wëleżałi w Gduńsku. Ten sobie z nią dô rada.

Wiedziałem, że te docinki były ukartowane. Widząc, że brat idzie bez kosy, zapytałem:

- A tẽ, Jaszu, nie badzesz z nama sekł. To je doch wiöldzi sztek. Robôtë je na dwa dni.

- Jo, jô prziińda późni, le musza doma pórobiec.

Rzadko kiedy zdążył do nas dołączyć.

Częstym gościem w niedziele bywał Jan z Luzina. Ojciec witał go bardzo życzliwie i dużo z nim rozmawiał. Siostra Jadzia też była mu przychylna i wszelkie znaki na ziemi wskazywały na to, że zanosi się na wesele. Nie można się było temu dziwić, bowiem w domu były cztery panny. Dwudziestosześcioletni brat, też chciał ze swoją Helenką, córką sąsiada, założyć rodzinę. Trzeba było zrobić miejsce dla nowego członka rodziny.

Od pamiętnych świąt Bożego Narodzenia nie jeździłem więcej do Łebuni. Odwiedzałem teraz kościół w Sierakowicach. Szybko zawarłem nowe znajomości. Szczególnie serdecznie witano mnie tam, gdzie były panny na wydaniu. Jeden z synów pana Koleckiego, Wacław, został przyjęty na Wydział Budownictwa Wodnego Politechniki. Jeżdżąc z Gdańska do Sierakowic, spotykałem go często w pociągu. W ten sposób zaprzyjaźniliśmy się, aja w domujego rodziców stałem się mile widzianym gościem. Spędziłem tam niejedno niedzielne popołudnie, a niekiedy i noc.

Pewnej wrześniowej niedzieli pan Kolecki poczęstował wszystkich domowej roboty winem z pszenicy, które, jak zapewniał, przez dziesięć lat leżało zakopane w ziemi. Pierwszy toast wznosił gospodarz, zwracając się do córki:

- Lenko, z ležnoscë twojego dwadzescedrëdźgö geburtstagu žëcza cë wiele szczescëgö, zdrowiö i bëlnëgö chłopa.

Poczułem się głupio. Nic o uroczystości nie wiedziałem. Nie miałem nawet polnego kwiatka. Podszedłem do solenizantki ze słowami:

- Ni móm kwiata ani prezentu, ale žëcza ce wszëtczëgö dobrego.

Zarumieniona i szczęśliwa, rzucając mi zalotne spojrzenie, podziękowała za toast.

Wino wydawało się bardzo łagodne, ale kiedy Wacek wstał, aby przynieść nowąbutelkę, ścięło go z nóg. Z trudem chwytając

się mebli, stanął na nogach. Jednym z gości był krewny gospodarzy, rolnik spod Kartuz. Na pytanie matki Wacka, jak się powodzi jego córkom, odpowiedział:

- One ôbie saju żeniałé z dwiima bratama.

- To jô wiem - rzekła pani Kolecka. - A jak sa jima terô žëje?

Pytany pomyślał chwilę, zanim odpowiedział:

- Musza rzec, że baro dobrze. Ta starszo Stazja mô Fraca Labuda. Chłôp je robotny, białka uszónëje, tu skóczy, tam chwôcy, drzewananosy, wpiécku napôli, krowë wëdoji, bulwë ôskrobie. Jo, ten je gwësno cos na cud. Drëgô, ta młodszo, Józefa mô Bólesa Labuda. Tëż chłôp bëlny, dobri gbiir, robota mu sa w pajach pôli. Le kâsk je za baro do se. Ale nick lëchëgô ni mógłbëm téz ó nim rzec.

Po chwili zniżając głos, dodał:

- Tak Bôgem aprôwdą Labudzë obaj i dióble są, jo!

- Jo, jo, to doch kôzdi mô swoje za uszama. Nicht nie je taczi swiati, jakbë chcôł w jinëch ôczach wëzdrzec - podsumowała mama.

Srebrzysko

Na nasz wydział został przyjęty brat Tadeusza, Stefan. Otrzymaliśmy pokój trzyosobowy w akademiku na Srebrzysku. Nasz nowy dom składał się z kilku parterowych baraków. Starszy wiekiem Stefan, mimo że młodszy w studenckiej hierarchii, narzucał Tadziewi swój sposób postępowania. Wcześniejsze ustalenia przestały obowiązywać.

Odczułem to na własnej skórze, kiedy to w pewne październikowe popołudnie umówiłem się z dziewczyną i kolegów poprosiłem o zwolnienie pokoju. Tadziew bez słowa wstał, ubrał się i wyszedł, a Stefan powiedział, że nie wyjdzie, ani nie odwiedzi kolegów, bo się musi uczyć. Żadne perswazje nie pomogły. Przez ten brak wyrozumiałości z jego strony, siedziałem na ławce w parku. Przeziębłem się i co najmniej przez tydzień kaszlałem i kichałem. Takie towarzystwo mi nie odpowiadało. Postanowiłem więc zmienić współlokatorów.

Mimo że doszło wiele nowych przedmiotów, zajęcia stały się mniej uciążliwe. Wiedziałem, na których wykładach czy ćwiczeniach muszę być, a które mogę opuścić. Nieraz, aby zaliczyć egzamin trzeba się było nieźle natrudzić. Jako przykład może służyć egzamin z historii architektury zdawany u samego dziekana. Otrzymałem wtedy pytanie:

- Jakiego typu kościołem jest rotunda Św. Prokopa w Strzelnie.

Niewiele o tym wiedziałem. Bez zastanowienia odpowiedziałem:

- To kościół parafialny.

Na widok wyrazu twarzy profesora zrozumiałem, że palnąłem głupstwo, więc natychmiast dodałem:

- Zakonny.

Egzaminator skrzywił się jeszcze bardziej, wtedy niemal krzyknąłem:

- Grodowy.

- No, w końcu pan zgadł - rzekł, dodając - dwie pierwsze odpowiedzi były jednak błędne. Proszę o indeks.

Wiedząc, czym to grozi z rozpaczą w głosie zawołałem:

- Panie profesorze zgadzam się z tym, ale w moich odpowiedziach było dużo racji.

Wykładowca popatrzył na mnie i powiedział:

- Słucham, proszę mnie przekonać.

- Panie profesorze - rzekłem. - Kościół grodowy w Strzelnie, jak większość, był obsługiwany przez zakonników. Można go więc nazwać zakonnym. Jako jedyny w grodzie pełnił funkcję kościoła ogólnodostępnego, czyli parafialnego.

Na twarzy profesora pojawiło się zdziwienie, zmieniające się stopniowo w uśmiech. W końcu wyciągnął rękę i powiedział:

- Proszę o indeks.

Trzymając go w ręku dodał:

- Nie masz racji, ale umiesz się bronić.

Mówiąc to, wpisał ocenę. Na korytarzu przeczytałem: Zaliczone, stopień dobry. Dla mnie był to wielki sukces. Trzy osoby zdające przede mną nie zaliczyły egzaminu.

Trudność wielu studentom sprawiały obliczenia statyczne. Ten przedmiot pod różnymi nazwami: statyka, mechanika budowli, wytrzymałość materiałów, konstrukcje drewniane, stalowe, żelbetowe, towarzyszył nam przez cały czas studiów. Pewnego razu pisaliśmy kolokwium z konstrukcji drewnianych, które nie sprawiały mi trudności. Dwóch nierobów usiadło przy mnie z obu stron. Jeden z nich, patrząc z boku przepisywał na swojej kartce moje rozwiązania, a drugi siedział nad czystym papierem. Obliczenia zakończyłem przed czasem i podsunąłem koledze, by mógł sobie odpisać. Ten, nie zastanawiając się wiele, wziął moją pracę, podpisał swoim nazwiskiem i oddał asystentowi. Na korytarzu obaj podeszli do mnie i podziękowali za pomoc. Kiedy psioczyłem, że przez nich

nie zaliczyłem przedmiotu, uspokajali mnie, mówiąc:

- Nie denerwuj się, ty zdasz ustny, a my nie dalibyśmy rady.

- Przepraszam cię - dodał ten, który zabrał moją pracę. - Chodź idziemy na wódkę. Ja stawiam.

Trudno było nie przyjąć zaproszenia. Byli to mężczyźni ponadtrzydziestoletni, studiujący już parę lat. Starzy wyjadacze, pracujący w policji obyczajowej w Nowym Porcie. Wszyscy przed nimi czuli respekt. Obaj znani byli z różnych wygłupów uchodzących im bezkarnie. Po cichu mówiono, że byli wtyczkami Urzędu Bezpieczeństwa. Nie mieszkali w akademiku, zajmowali pokój na piętrze, naprzeciw poczty. Przy wódce opowiadali o swoich przygodach związanych z tym mieszkaniem.

- Któregoś jesiennoego dnia - zaczął jeden z nich - już o zmroku, po zapaleniu świateł i wypiciu kielicha, krzątaliśmy się po pokoju. Po jakimś czasie, dowiedzieliśmy się, że kierownik poczty oskarżył nas o obrazę moralności.

- Dlaczego? - spojrzałem na nich zdziwiony.

- Dlatego, że nie mieliśmy zasłon na oknach.

- Od kiedy to brak zasłon jest karygodny?

- Nie chodziło tylko o brak zasłon. Chodziło też o to, że odrywamy damski personel od pracy - dodał drugi kolega.

- Wiecie co, nalejcie kielicha, bo nie rozumiem, co mają wasze zasłony do pracy na poczcie.

- Cała rzecz w tym, że po pokoju chodziliśmy w strojach Adama.

- No i co wam zrobili? - zapytałem.

- Naczelnik urzędu pocztowego oddał sprawę do sądu, a prokurator oskarżył nas o obrazę moralności i przeszkadzanie pracującym na poczcie paniom.

- Ciekawy zarzut. Jak się broniliście? Mieliście adwokata? - zapytałem rozbawiony.

- Skądże - odparł drugi. - Szkoda pieniędzy na jakiegoś wydrwigrosza. Broniliśmy się sami.

- To który z was był głównym obrońcą? Ty, Paweł? - zapytałem, patrząc na tego, który zabrał moją kartkę. - Tupet przecież masz wystarczający.

- Tak, ja - odparł.

- Powiedz, jak to zrobiłeś? - zapytałem.

- To było proste - odpowiedział. - Postarałem się o świadka, który obalił zarzut, że po pokoju chodziliśmy nago. Pod przysięgą oświadczył, że Józef miał na sobie długi kolorowy krawat, a ja chodziłem w skarpetach i domowych papciach. Ponadto wyjaśniliśmy sądowi, że odgrywaliśmy scenkę zaczerpniętą z „Lalki” Bolesława Prusa.

- I to wystarczyło? - zapytałem, zanosząc się od śmiechu.

- Widocznie, tak - odparł. - Bo zapłaciliśmy tylko niewielką grzywnę, a kierownikowi poczty zalecono zasłaniać okna i lepiej pilnować personelu.

Po zmianie pieniędzy stypendium wynosiło 280 zł i ledwie starczało na podstawowe potrzeby. Znowu, jak w Lęborku, szukałem dodatkowego zarobku.

Pod koniec czwartego semestru pisałem kolokwium z instalacji sanitarnych. Siedziałem przy stoliku, przy którym poprzednio swą pracę pisał Mietek. Kiedy prawie kończyłem zadanie, Omsik (tak nazywaliśmy niskiego asystenta) zauważył pod moim stolikiem przyklejoną ściągę. Nie pomogły tłumaczenia, że to nie moja ściąga, że widocznie pozostała po poprzedniej grupie. Zabrał moją niedokończoną pracę, zrobił odpowiednią notatkę i wyrzucił mnie na korytarz. Dopiero po egzaminie ustnym rzekł do mnie:

- Teraz wierzę, że ściągę pod stół przy kleił ktoś inny.

Na początku czwartego semestru wybrano mnie na przewodniczącego koła ZMP. Decyzją koleżanek i kolegów, mimo oporu uczelnianych i miejskich władz, związku, zająłem

miejsce po nielubianym Jasiu, zwanym na roku „czerwonym psem”. Zdegradowany pozostał jednak członkiem zarządu. Swoją obecność wykorzystywał, by donosić do uczelnianych i miejskich władz ZMP. Nadal byłem pod wpływem dwóch światopoglądów: chrześcijańskiego i marksistowskiego. Wypisywane na transparentach hasła o równości i sprawiedliwości społecznej przyjmowałem dosłownie i o tę sprawiedliwość walczyłem. Nie wiedziałem jeszcze ile za tym kryje się fałszu i obłudy.

Pewnego razu na zebranie naszego koła przybyli przedstawiciele uczelnianych i miejskich władz ZMP. Delegat z władz uczelni zarzucił koleżance Basi, że ściągająca na kolokwium z konstrukcji. Domyślałem się, skąd o tym wiedzieli. Mówca udowadniał, że ściąganie jest niezgodne z socjalistyczną moralnością że tacy ludzie jak koleżanka są zakałą zarazą niszczącą zdrowe tkanki społeczności akademickiej. Wniósł o wykluczenie obwinionej z organizacji. Głos delegata poparł aktywista Jasiu. Spojrzałem na wypełnioną salę i na siedzącą w pierwszym rzędzie zapłakaną Basię. Na twarzach pozostałych zauważyłem niepokój i oczekiwanie. Korzystając z chwilowego braku dyskutantów, sam zabrałem głos:

- Zgadzam się ze stanowiskiem przedmówców, że nieprzygotowanie się i ściąganie na egzaminie jest naganne. Uważam jednak, że zadaniem organizacji młodzieżowej jest wychowywanie tych, którzy błądzą i podnoszenie tych, którzy upadają. Basia potknęła się, to prawda, ale to nie upoważnia nas do tego, byśmy z bruku wyrwanym kamieniem ją dobili. Zanim przystąpimy do głosowania sami spójrzmy do wnętrza swoich sumień i zastanówmy się, czy nigdy nie mieliśmy ściagi, czy nigdy nie mieliśmy zamiaru ściągać. Jeżeli znajdzie się wśród nas taka osoba, niech podniesie rękę.

Długą chwilę patrzyłem na salę. Nikt nie podniósł ręki. Spojrzałem na delegatów i zapytałem:

- Mam zarządzić to głosowanie, czy nie?

Spojrzeni na siebie i jeden z nich odpowiedział:

- Dziękujemy, nie trzeba.

W dalszym ciągu nie mieliśmy książek i nadal uczyliśmy się z lepiej lub gorzej robionych notatek. Nasz aktywista Jasiu ofiarował się zrobić dla nas wszystkich kopie wykładów z historii architektury. Zaakceptowaliśmy wstępny koszt i zamówiliśmy odpowiednią ilość egzemplarzy. Po wykonaniu zlecenia okazało się, że Jasiu żąda od nas o ponad 50% większej kwoty od wcześniej ustalonej. Matematyk Heniek skalkulował, ile kosztowały wykonane odbitki i stwierdził, że Jasiu chciał nas perfidnie oszukać. Uznaliśmy to za czyn wysoce niegodny członka ZMP i na zwołanym przeze mnie zebraniu organizacji ponad dziewięćdziesięcioma procentami głosów Jasiu został usunięty z organizacji. Stający w jego obronie przedstawiciele uczelnianych i miejskich władz ZMP nie byli w stanie temu zapobiec.

Wiedziałem, że Jasiu za swoją porażkę będzie winił nie tylko Heńka, ale i mnie. Zdawałem sobie sprawę z tego, że ma „możnych” kolegów i będzie chciał się na nas odegrać. Każde potknięcie mogło grozić usunięciem ze związku, odebraniem stypendium, wyrzuceniem z akademika, a może nawet i ze studiów. Musiałem uważać. W tej sytuacji przestałem uczęszczać na zajęcia Instytutu Kultury Religijnej.

Drugi rok ukończyłem pomyślnie. Pod koniec czerwca pojechałem na parę dni do domu. Będąc w niedzielę w Sierakowicach, spotkałem nieco starszego ode mnie kolegę, z którym chodziłem przed wojną do szkoły. Widywałem go później w Lęborku, jednak nasze kontakty były znikome.

- Jak cę tam, Marión, jidze w Gduńsku na architekturze?

- Dzaka, dobrze - odrzekłem, patrząc zdziwiony na niego.

- Co tak wzérôsz? - zapytał.

- Jô rozmiszlóm, skądka tē wiesz, że jem na Politechnice.

- Jô wiém ô ce, ö wszëtzech, co szlë z Labörga do Gduńska, wiacy jakmëslisz - powiedział.

- Co të plecesz, skądka bës miôł wiedzec? - spytałem nieco zdenerwowany.

- Nie wierzisz, tej słëchôj. Z waju sztërzech, co zdowelë rësunk, të i Starköwsczi przeszë. Je to prôwda, czë nie?

- To je prô wda - odparłem zdziwiony.

- Z rechunków wa öbaji muszelë jic na pöprôwka. Bëło tak? Stipendium të dostôł jaż pö gôdce z delegatem ministra. Bëło tak? - zapytał, patrząc z uwagą na mnie.

Nie mogłem zrozumieć, skąd on to wszystko wie. Po dłuższej chwili zapytałem:

- Słëchôj, Edek, czëj të tak wszëtkö wiész, rzecze mie, czemu Stach, chöc zdôł egzaminë, nie je studentem?

Zapytany nie kwapił się do odpowiedzi. Wreszcie, podając mi na pożegnanie rękę, po sprawdzeniu, że nikt nas nie słyszy, rzekł cicho:

- Pamiatösz të, jak jegö młodsi bracy na zriwôł plakatë przed państwöwim światem?

- Jo, to bëło doch wiacy jak dwa lata nazôd, le co to mô do sztudërowaniô Stacha? - zapytałem.

- Są w Labörgu taczy, co mają to zapisóné. Familie, dze chöc jeden cos taczégö robi, nie sa pewné. Taczich lëdzy më nie brëkujemë - dodał i odszedł.

Tak szczegółowe informacje mógł mieć tylko pracownik Urzędu Bezpieczeństwa lub Milicji. Całe szczęście, że nie wdawałem się z nim w jakieś dłuższe dyskusje na temat moich poglądów czy wątpliwości.

Późnym popołudniem trzydziestego czerwca wyruszyliśmy z Tadzim do Krakowa na praktykę do Nowej Huty. Na miejscu byliśmy około piątej rano. W dyrekcji zjednoczenia mieliśmy się zgłosić o dziewiątej, więc mieliśmy jeszcze parę godzin na zwiedzanie miasta. W minionym semestrze na historii

architektury przerabialiśmy również miasto Kraków. Byłem zdumiony, z jaką swobodą poruszaliśmy się po centrum. Czułem się, jakbym powrócił do znanego miejsca. Sukiennice, kościół Mariacki, Wzgórze Wawelskie, wszystko to było mi znane.

W zjednoczeniu czekała grupa praktykantów przybyłych z różnych miast Polski. Po załatwieniu formalności zawieziono nas autobusem do budowanego osiedla mieszkaniowego w Nowej Hucie. Przydzielono nam pokój pięcioosobowy. Z nami zamieszkało dwóch poznaniaków i jeden Ślązak. Stołówka i dyrekcja budowy znajdowały się w pobliżu mieszkania przy wielkim placu. W biurze poinformowano nas, że przy budowie miasta bierze udział około trzydziestu tysięcy młodych ludzi przybyłych z różnych stron kraju. Wychodzenie wieczorami, zwłaszcza w pojedynkę, mogło być bardzo niebezpieczne. Zdobyliśmy metalowe pręty, które schowane w lewym rękawie stanowiły naszą broń. Tak uzbrojeni ruszyliśmy na zwiady. Częściowo zamieszkałe osiedle znajdowało się obok starej wsi Mogiła. Naszą uwagę zwróciły dwa zabytkowe kościoły. Jeden mały drewniany o bardzo ładnej architekturze, drugi wielki połączony z klasztorem Cystersów.

Następnego dnia otrzymaliśmy przydziały na budowy. Zatrzymano mnie w dyrekcji budowy osiedla jako asystenta. Z racji tej funkcji brałem udział w naradach kierownictwa. Starsi pracownicy opowiadali nam historie z początków budowy. Mówili o krwawych bójkach, o ludziach zrzucanych z wysokich pięter, o utopionych w latrynie.

- Teraz mamy tu już spokój - mówili.

Pewnego razu, siedząc w swoim pokoju miałem okazję zobaczyć, jak ten spokój wygląda. Z lekkiej drzemki wyrwał mnie coraz głośniejszy wrzask. Spojrzałem przez okno w dół. Ulicą szła grupa ludzi. W środku zauważyłem trzech skutych z sobą mężczyzn. Obok nich z każdej strony kroczyło po dwóch uzbrojonych w karabiny milicjantów. Parę kroków za

aresztowanymi szło tyłem dalszych czterech z uniesionymi w górę łufami. Za tą grupą w odległości około trzydziestu metrów kłębił się ogromny wrzeszczący tłum ludzi. W rękach nieśli łomy, sztachety, butelki, cegły i inne przedmioty. Milicjanci od czasu do czasu przystawali, oddawali strzały w powietrze, zatrzymując tym samym tłum. Potem szli dalej. Za nimi sypały się przekleństwa, obelgi i przedmioty.

W sąsiednim budynku mieszkała rodzina Cyganów, których piękna córka obsługiwała na budowie windę. Dziewczynę upatrzył sobie kolega z Poznania. Pewnej niedzieli, kiedy razem z Tadzkiem odpoczywaliśmy po obiedzie, wpadł on z wraskiem do pokoju. Zobaczyłem potwornie podrapaną twarz kolegi wyglądającą tak, jakby przejechano po niej tarką od warzyw.

- Jak ty wyglądasz? - zawołałem. - Co się stało, kto ci to zrobił?

- Zaszedłem do Cyganów i zapytałem ojca, czy mogę córkę zabrać na spacer. Kiedy i ona się zgodziła poszliśmy nad Wisłę. Przez całą drogę trzymaliśmy się za ręce. Nad brzegiem usiedliśmy na przyniesionym ze sobą kocu. Siedząc tak przy niej, myślałem, że jeżeli moja piękność przyszła ze mną na to odludzie, usiadła obok na kocu, od czasu do czasu spoglądała kokieteryjnie swoimi dużymi czarnymi oczami, to chyba da się pocałować. Nie namyślając się wiele, chwyciłem ją w objęcia i zacząłem całować. Jej reakcja była zupełnie nieoczekiwana. Zamiast oddawać pocałunki, zaczęła ostrymi jak u kotki pazurkami drzeć moją twarz, rzucając przy tym jakimś cygańskimi przekleństwami. Poczujęm piekący ból i kiedy zasłaniając się odskoczyłem na bok Cyganka poderwała się i uciekła w kierunku domu.

Przechodząc kiedyś obok budowanego domu zobaczyłem ekipę filmową. Zatrzymałem się, by zobaczyć, co się dzieje. Otóż trójka murarska otrzymała zadanie pobicia rekordu w

budowaniu ściany. Z uwagą patrzyłem na pracę robotników. Czynności trójki kończące wbudowanie cegieł w mur były filmowane z różnych stron. Nikt nie zwrócił uwagi, ani nie filmował pracy pozostałych dwunastu osób, pracujących na końcowy wynik. Następnego dnia radio i prasa ogłosiły komunikaty o pobiciu rekordu Polski w ilości wbudowanych cegieł. Nieco później to osiągnięcie oglądałem w kronice filmowej. Na własne oczy widziałem, jak padają socjalistyczne rekordy.

Po sześciu tygodniach z zaświadczeniem o zaliczeniu praktyki wracaliśmy na północ. Na drogę przeznacziliśmy sobie parę dni, chcąc przy okazji zwiedzić leżące na szlaku miasta. Noce z zasady spędzaliśmy w pociągu, a dni w wybranej miejscowości. Pierwszy przystanek zrobiliśmy we Wrocławiu. Musiałem zobaczyć, jakie zmiany dokonały się w ostatnich latach od czasu mojego pobytu na zlocie młodzieży. Byłem zaskoczony i oczarowany postępem wykonywanych prac związanych z odbudową miasta. Stamtąd pojechaliśmy do Zielonej Góry, gdzie w klasztorze przebywała siostra mojej mamy. Rano dotarliśmy na miejsce. Ulokowano nas w pokoju gościnnym. Byliśmy potwornie zmęczeni, tak że bez śniadania położyliśmy się spać. Z cicią ustaliliśmy, że obiad otrzymamy o piętnastej. Pół godziny przed czasem ubrani, odświeżeni i bardzo głodni, czekaliśmy na posiłek. Ciocia przyszła punktualnie. Na stole postawiła talerze, łyżki, wazę z zupą i powiedziała:

- Dzień dobry, wypaliście się? - nie czekając na odpowiedź, dodała - życzę wam smacznego. Za chwilę podamy resztę, a po obiedzie porozmawiamy.

Łapczywie zjedliśmy zupę pomidorową i niecierpliwie czekaliśmy na drugie danie. Delikatne pukanie poprzedziło otwarcie drzwi. Spodziewałem się cici lub innej siostry zakonnej w średnim wieku. Tymczasem na widok osoby, która

nam się ukazała, oniemiałem. Poderwałem się z krzesła i z zachwytem zawołałem:

- Boże, czy ja śnię? Takie piękne dziewczyny są tu w klasztorze?

Niosąca danie młoda, ubrana w cywilną sukienkę panienska, stanęła jak wryta. Robiąc następny krok, zahaczyła o dywan i razem z tacą runęła na podłogę. Natychmiast doskoczyłem i pomogłem jej wstać. Czerwona jak burak stała, patrząc zrozpaczona na leżące na dywanie talerze i to, co na nich było. Tadziu podbiegł, zamknął drzwi i powiedział uspokajająco:

- Niech się pani nie martwi, talerze są całe. Dywan był na pewno czysty. Pozbieramy ile się da i zjemy.

Po chwili cała trójka, klęcząc zbierała rozsypane jedło.

W czasie, gdy jedliśmy uratowany posiłek, kandydatka na zakonnice przyniosła wiadro z wodą. Czyszcząc dywan, powiedziała, że jest nowicjuską, ale jeszcze waha się z podjęciem ostatecznej decyzji.

- Mam nadzieję, że Bozia tego nie słucha - zawołałem. - Ale ty dziewczyno jesteś zbyt piękna, by zamykać się w klasztorze. Za tymi murami jest życie pełne przygód, nie rezygnuj z niego!

Najej twarzy znów pojawił się rumieniec i z opuszczoną głową wyszła z pokoju.

Nie powiedziałem cioci o tym, co się stało. Wieczorem wsiedliśmy do pociągu jadącego do Poznania, skąd udaliśmy się do Gdańska. Po prawie dwóch miesiącach tułaczki noc przespaliliśmy we własnych łóżkach.

W sobotę pojechałem rowerem do Sierakowic, by odwiedzić Wacka. Ten ucieszył się na mój widok i zaprosił na przyjęcie, które w tym dniu miało się odbyć w ich domu. Na wieczorku była również młoda nauczycielka Krysia, mieszkająca sama w pobliskiej szkole. Popijając wino własnej roboty, dzieliłem sprawiedliwie tańce między siostrę kolegi i obecne

tam „ciało pedagogiczne”. Czując lekki szum w głowie i ciepło emanujące z przytulonej do mnie w tańcu Krysi, umówiłem się z nią. Nie mogłem jej odprowadzić. Nie chciałem bowiem urazić córki gospodarzy.

Noc spędziłem u Wacka. Kiedy po dwudziestej trzeciej wszyscy poszli spać i zostaliśmy sami, wtajemniczony Wacek dał mi klucz, bym niepostrzeżenie mógł wrócić do domu. Krysia w czasie tańca wyjaśniła mi, jak mam do niej trafić. Doszedłem do szkoły, wszedłem na poddasze i zapukałem do drzwi. Po chwili w mroku dojrzałem kobiecą postać.

- Dobry wieczór Krysiu, jestem - powiedziałem cicho.

Zamiast oczekiwanego „proszę wejść” usłyszałem dochodzący z sąsiedniego pokoju męski głos:

- Zosiu, kto tam jest, kto włóczy się po nocy i budzi ludzi? Już wstaję, zaraz przyjdę.

- Przepraszam - powiedziałem cicho i szybko zbiegłem po schodach. Zatrzymałem się kilkadziesiąt metrów od budynku, zastanawiając się, co się stało. Czyżby umyślnie wprowadziła mnie w błąd? I jak tu wierzyć kobietom?

Zrezygnowany wróciłem do domu Wacka. Leżał już w łóżku, ale nie spał. W świetle nocnej lampki zdziwiony patrzył na mnie, wreszcie zapytał:

- Co sa stało, że jesju nazôd? Nie bëło Kriszi doma, czë co?

Gdy mu opowiedziałem, co się zdarzyło, śmiejąc się rzekł:

- Do szwernóta. Jô mëslôł, że tã ju u ni miôł bëtë. Të bëł zycher w pierszim budinku. Tam mieszko żeniałi szkólny. Zarô za nim, przë szasëje stoi drëdzi budink. On tãz słëchô do szkole. Krisza w nim mieszko.

- Co zrobiec? - spytałem zrezygnowany. - Wiera tak miało bëc.

- Co tã gôdôsz, to jesz nieje późno. Biôj le do ni zazdrë.

- Jida spac - odparłem, dodając - czejbë nama bëło

namienioné, że mómě bęc dzysô pospołu, tej béłbëm zycher trafił.

Rozebrałem się i położyłem do łóżka. Następnego dnia po mszy wróciłem do Skrzyszewa.

W poniedziałek rano, gdy po śniadaniu wyszedłem przed dom, zobaczyłem siedzącego na ławce Roberta.

- Co tē tu tak reno sedzysz, czekôsz na Jasza? - zapytałem.

- Nie na Jasza, le na ce zdóm. Môsz tēju zabēté, że seczenié radelë czekô wiedno na ce? Wëklepónô kosaju na śliwce wisy.

Co było robić? Splunąłem w garści, zarzuciłem kosę na ramię i poszliśmy.



Zabytkowy kościół filialny w Bukowinie w gminie Cewice

Po powrocie na uczelnię otrzymaliśmy nowe zadanie. Chodziło o inwentaryzację kościołów wiejskich w Bukowinie, a potem w Jasieniu koło Bytowa. W umówionym dniu przyjechał Tadiusz i przywiózł ze sobą potrzebne przybory. Inwentaryzację w Bukowinie wykonaliśmy sprawnie i już we wtorek udaliśmy się do Jasienia. Dojeżdżając do Rokit zauważyliśmy pożar budynku stojącego blisko szosy. Paliła się

stodoła. Wokół niej biegali bezradni mieszkańcy. Nie zastanawiając się ani chwili, postawiliśmy rowery u najbliższego rolnika i popędziliśmy do pożaru. Głośnym krzykiem uspokoiłem ludzi, rozdzieliłem zadania. Część osób ustawiłem w szeregu, tak że łańcuchowe gaszenie ognia wodą przebiegało dosyć sprawnie. Po kilkunastu minutach nadjechała straż pożarna. Komendant podziękował nam i sam przejął kierowanie akcją

Następnie udaliśmy się do proboszcza po klucz od kościoła filialnego. Na plebanii już wiedzieli o naszym udziale przy gaszeniu pożaru. Zostaliśmy poczęstowani obiadem i kawą a ksiądz proboszcz zadzwonił do dyrektora PGR-u w Jasieniu, prosząc go o udzielenie nam pomocy. Na miejscu otrzymaliśmy nieodpłatnie pokój w hotelu robotniczym i wyżywienie. Od następnego dnia prawie cały czas spędzaliśmy w kościele, a wieczorami spacerowaliśmy po wsi. Chodząc w swych wyblakłych prochowcach, dziwiliśmy się, że wszyscy przechodzący obok mieszkańcy wioski, pozdrawiali nas słowami „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Budziła też zdumienie ilość drobiowego mięsa podawana nam na obiady. Któregoś dnia każdy z nas otrzymał po pół kury. Poszedłem do szefowej kuchni i zapytałem:

- Niech mi pani powie, czy wszyscy u was otrzymują takie obiady?

- Skądże - patrząc na nas ze zdziwieniem, odparła - dla was robimy dania z drobiu przynieszonego przez kobiety ze wsi.

- Kobiety ze wsi? - zapytał Tadeusz. - Czemu one to robią?

- Nie wiem - odparła. - Zapytajcie dziewczyn, które tu pracują. Może one wiedzą.

Sprawa wyjaśniła się w sobotę, kiedy to kilka robotnic sezonowych zapukało nieśmiało do naszych drzwi. Poprosiłem, aby weszły, usiadły i powiedziały, z czym przyszły. Niezdecydowane, patrząc na siebie, stały w drzwiach i usiadły

dopiero, kiedy zaproszenie ponowiłem. Chcąc nawiązać rozmowę, zapytałem:

- Nie chcecie powiedzieć, co was do nas sprowadza, to powiedzcie chociaż, co tu w gospodarstwie robicie, skąd przyjechałyście?

Jedna z nich ośmielona moim pytaniem, odpowiedziała:

- Na początku maja przyjechałyśmy z województwa rzeszowskiego. Tutaj pozostaniemy aż do zakończenia prac jesiennych.

- Czemu przyjechałyście? Nie ma u was roboty?

- Nie ma - włączyła się do rozmowy druga dziewczyna. - Dorosłe dzieci z naszych stron każdego roku wyjeżdżają do pracy na Pomorze.

- No dobrze - odparłem. - A teraz powiedzcie nam, z czym do nas przyszłyście?

Najodważniejsza z nich zarumieniła się i cicho powiedziała:

- We wsi mówią, że jutro w kościele odprawiona zostanie wyjątkowo uroczysta msza.

- Skąd macie takie informacje? - zapytałem.

- Ludzie gadają, że kościół jest przygotowywany do odpustu.

Kiedy nic na to nie odpowiedziałem, zapytała:

- O której godzinie rozpocznie się dzisiaj spowiedź?

- Nas się o to pytasz? - zdziwiłem się.

Wszystkie trzy podniosły głowy i zdumione spojrzały na nas. Po chwili jedna z nich odrzekła:

-A kogo się mamy pytać, proszę księdza?

Zaskoczony tą odpowiedzią zaniemówiłem i z trudem wstrzymywałem śmiech. Tadiusz natomiast z powagą w głosie zapytał:

- Kto wam powiedział, że jesteśmy księżmi?

- Wszyscy we wsi mówią, my też tak myślimy.

- My nie jesteśmy duchownymi. Jesteśmy studentami.

- Panowie przez cały czas przebywali w kościele i wszyscy myśleli, że młodzi księża przygotowują kościół do odpustu.

Teraz zrozumiałem, skąd wzięło się to dobre żywienie nas. Kobiety wiejskie nosiły dla nas drób i inne produkty, w przekonaniu, że jesteśmy kapłanami. Długo jeszcze tłumaczyłem dziewczętom, kim naprawdę jesteśmy i co przez cały czas robiliśmy w kościele.

Ta sobota była ostatnim dniem pracy. Po wyjaśnieniu sprawy naszej tożsamości doszedłem do wniosku, że najbezpieczniej będzie, jeżeli jeszcze tego samego dnia opuścimy Jasiń.



Studenci Marian Majkowski (z lewej) i Tadeusz Słowiński. W środku pracownicy PGR-u w Jasieniu.

Parę następných dni spędzonych w Skrzyszewie szybko minęły. Trzeba było jechać do Gdańska, by oddać na czysto wykreślone inwentaryzacje kościołów.

W pewną sobotę, pod koniec września, znowu jechałem do Skrzyszewa. Zawsze, żeby sobie umilić drogę, szukałem przedziału, w którym siedziała młoda dziewczyna, z którą zazwyczaj szybko nawiązywałem rozmowę. Tym razem

usiadłem naprzeciw ładnej i młodej nauczycielki ze szkoły koło Niestępowa. W pewnym momencie dziewczyna powiedziała:

- Wie pan, że dzisiaj w naszej szkole jest zabawa wiejska.

- Wybiera się pani na nią?- zapytałem.

- Oczywiście, dlatego spieszę się do domu - odpowiedziała.

- Czy mam może rozumieć, że zostałem na tę zabawę zaproszony? - spytałem, patrząc jej głęboko w oczy.

- Jeżeli ma pan ochotę i czas - odparła, rumieniąc się lekko.

Na podjęcie decyzji nie miałem dużo czasu, bowiem pociąg zatrzymywał się na stacji, gdzie moja towarzyszka podróży musiała wysiadać. Nie zastanawiając się długo, wyskoczyłem za nią z pociągu. Ochoczo ruszyliśmy w kierunku szkoły, skąd zaczęły dochodzić dźwięki skocznej muzyki. Przy szkole wskazała mi ławkę i powiedziała:

- Proszę chwilę poczekać na mnie. Zaniósę tylko bagaże do pokoju i za chwilę wrócę po pana.

Po chwili cichutko podeszła do mnie z boku.

-Jestem!

Oniemiałem:

- Wnet bym pani nie poznał, tak się pani zmieniła, cudowna dziewczyno!

Niespieszona zaproponowała:

- Mówmy sobie po imieniu, dobrze? Jestem Bożenka, a ty?

- Doskonale, jestem Marian, ale ja jestem za bruderszaftem według obowiązującego zwyczaju. Nadrobimy to przy bufecie, zgadzasz się?

Nie odpowiedziawszy na moje pytanie, wzięła mnie za rękę i wprowadziła na salę do stolika, przy którym siedziała jej koleżanka z chłopakiem. Bawiliśmy się wspaniale. Żadnego tańca nie opuściliśmy. Nagle około godziny dwudziestej czwartej przy drzwiach dał się słyszeć tupot wielu ciężkich butów. Na salę weszła grupa żołnierzy. Spojrzałem na moją

partnerkę. Dziewczyna zbladła, potem zaczerwieniła się i drżącym głosem powiedziała:

- Przepraszam, muszę wyjść do toalety. Zaraz wracam. Siedziałem sam przy stoliku, kiedy podszedł do mnie młody oficer w stopniu podporucznika.

- Czy mogę prosić pana na chwilę rozmowy w cztery oczy?

- Proszę bardzo - odrzekłem. - Niech pan usiądzie, jesteśmy sami przy stoliku.

- Nie tutaj. Nie chcę mówić w tym hałasie, wyjdźmy na zewnątrz.

Nieco zaniepokojony, starannie ukrywając swój lęk, wyszedłem z nim przed szkołę. Na słabo oświetlonym placu szkolnym stanął o dwa kroki przede mną i ostrym nieprzyjemnym tonem powiedział:

- Ta dziewczyna, z którą się pan bawisz jest moją sympatią. Proszę ją zostawić w spokoju.

- Bożenka, nic mi nie mówiła, że ma sympatię. Dlaczego nic nie powiedziała?

- Nie wiem, dlaczego nic nie mówiła - odparł. - Jeżeli pan nie wierzy, to proszę się odwrócić i popatrzeć na moje argumenty.

Odwróciłem się, spojrzałem i natychmiast uwierzyłem.

- Ma pan rację, panie poruczniku. Teraz już wierzę i jestem przekonany, że pani Bożenka jest pana sympatią. Pana argumenty są przekonujące.

Za mną stało ośmiu drabów w żołnierskich mundurach. Zrozumiałem, że zabawa dla mnie się skończyła. Pożegnałem się z towarzystwem i swe kroki skierowałem w kierunku dworca. Przypomniałem sobie, że w Niestępowie mieszkają moi krewni, u których mógłbym spędzić niedzielę. Niestety, w ciągu najbliższych godzin nie było pociągu w tym kierunku. Postanowiłem zatem pójść drogą na skrót, bowiem stojący na skrzyżowaniu drogowskaz wskazywał, że do Niestępowa są

tylko dwa kilometry. Było bardzo ciemno. Widocznie zszedłem z ubitej drogi, bo poczułem, że idę po czymś miękkim, jakby po trawie. Po jakimś czasie stanąłem, wpatrując się w ciemność. Bez wątpienia znajdowałem się na łące i z daleka dostrzegłem jakieś regularnie rozstawione błyszczące w mroku oczy. Zmęczony wrażeniami, zabawą i wypitymi trunkami postanowiłem nie iść dalej. Siadłem na plecaku, owinałem się prochowcem i prawie natychmiast przysnąłem. Kiedy drżący z zimna obudziłem się, było już prawie widno. Spojrzałem przed siebie i struchlałem. Znajdowałem się przed wielkim wyrobiskiem torfu. Jeszcze paru kroków mogło się zakończyć utonięciem w głębokim dole wypełnionym wodą. Teraz już bez przeszkód doszedłem do krewnych, a wieczorem wróciłem do Gdańska.

Rozpoczął się trzeci rok studiów. Najbardziej dokuczał mi brak pieniędzy. By zarobić parę złotych miałem się różnych zajęć. Malowałem głowy wodzów rewolucji na transparentach lub też plakaty dydaktyczne na studium wojskowe. Najlepiej płatną, chociaż trudno dostępną, była praca nocna przy budowie wiaduktów kolejowych na trasie Gdańsk - Gdynia. Raz z trójką kolegów dostałem się na taką budowę. Pracę rozpoczęliśmy o siódmej wieczorem. Szesnaście osób podzielonych na cztery grupy obsługiwało ogromną betoniarkę. Nasza czwórka wrzucała do niej cement i żwir. Po trzech godzinach przeszliśmy do wózków zwanych japonkami, którymi woziliśmy urobiony beton na miejsce budowy. Następne trzy spędziliśmy w magazynie cementu. Wynosiliśmy worki na wózki, którymi odwożono je do betoniarki. Ze względu na duszący pył ta praca była najgorsza. Przez ostatnie trzy godziny znowu pracowaliśmy na świeżym powietrzu, dowożąc cement do betoniarki. Rano, po dwunastu godzinach takiej harówki, nie mogłem utrzymać się na nogach. W pociągu z Sopotu do Gdańska, trzymając się uchwytu, spałem na stojąco. Nie protestowałem nawet, gdy

starszy, ponadsześćdziesięcioletni mężczyzna, odstąpił mi swoje miejsce.

- Usiądź pan - powiedział. - Wiem, co to zmęczenie. Ja postoję.

Za tę pracę otrzymałem ponad 140 zł. Stanowiło to połowę mojego miesięcznego stypendium. Na drugą taką noc w tym semestrze nie miałem już szansy. Było bardzo wielu chętnych.

Ostatni semestr kursu inżynierskiego został zakończony pomyślnie. Skończyły się również wykłady na studium wojskowym, których finałem był obóz. Ostatniego dnia czerwca pociągiem towarowym wyruszyliśmy w drogę. Z uwagi na brak ławek wszyscy usiedli na podłodze i zaczęto śpiewać wesołe piosenki. Jeden z kolegów ułożył z tej okazji piosenkę, której treść brzmiała tak:

„Dalej wesoło niech popłynie gromki śpiew,
niech stutysięcznym echem zabrmi pośród drzew.
Wczoraj po Gdańsku pieśń huczała niby grom,
Jutro w lesie będzie dom”.

Pociąg włókł się, stał na bocznicach i znowu jechał. Do północy było dosyć gwarno. Po odśpiewaniu wszystkich znanych piosenek opowiadano kawały, aż wreszcie towarzystwo zaczęło ziewać.

Wiedziałem, że na gołych deskach nie uda mi się zasnąć, więc całą noc przesiedziałem w odsuniętych drzwiach wagonu i rozmyślałem o sytuacji w kraju. Kosztami odbudowy i uprzemysłowienia państwa obciążono gospodarstwa rolne nakładając na nie wysokie podatki i ogromne obciążenia w postaci niskopłatnych dostaw obowiązkowych. Budziło to zrozumiałe rozczarowanie i gniew wsi. Mimo prężnie rozwijającego się państwa, wielu jego obywateli czuło się źle. Wszędzie szukano wrogów. W 1950 roku aresztowano generała Mariana Spychalskiego. Jego los podzielił nasz profesor urbanistyki. W 1951 roku zorganizowano pokazowe procesy

generałów i wysokich oficerów, z których wielu zostało skazanych na śmierć. Urząd Bezpieczeństwa państwa często szukał wrogów ustroju wśród przedstawicieli nowej władzy. W tym czasie aresztowany też został Władysław Gomułka. Terror, który osiągnął również Kościół katolicki był boleśnie odczuwany przez większość społeczeństwa.

Pisk hamującego pociągu na stacji w Legionowie przywrócił mnie do rzeczywistości. Przed wojną przybyły na urlop żołnierz, zwłaszcza idący w galowym mundurze ułan, budził najwyższy szacunek. Teraz było inaczej. Wojsko kojarzyło się ze wschodnią władzą. To przekonanie umocniło się jeszcze, gdy w 1949 roku marszałkiem Polski i równocześnie ministrem Obrony Narodowej został rosyjski generał Konstanty Rokosowski. Nie dowierzał naszym oficerom. Sprowadził do Polski kilkuset wysokiej rangi oficerów radzieckich. Nimi obsadził kluczowe stanowiska w wojsku. Z informacji londyńskiego radia wiedziałem, że był on odpowiedzialny za prześladowania wielu naszych oficerów i żołnierzy. Dowódcy mieli nas szkolić nie tylko w rzemiośle wojskowym. Trzeba było przyjąć starą, wpajaną nam przez ojca w czasie wojny, zasadę: „Czej to nie je konieczne tej nie gôdac nick. Czej ju musisz co rzec, gadôj mało”. Pomyślałem, że trzeba będzie tę prawdę przekazać współtowarzyszom.

Po sprawdzeniu obecności pomaszzerowaliśmy w kierunku lasu. Dotarcie na miejsce zajęło nam godzinę. Na wielkim placu pod drzewami stały duże namioty wyposażone w metalowe łóżka. Po zajęciu łóżek dowódca zaprowadził nas na śniadanie, a po tym do szefa, gdzie otrzymaliśmy umundurowanie. Każdy podchodził i kolejno odbierał bieliznę, spodnie, bluzę, czapkę, nowe wysokie buty i onuce. Od razu przebieraliśmy się w wojskowe mundury. Najtrudniej było dopasować buty. Na pierwszym ćwiczeniu przy pokonywaniu wysokiej drewnianej ściany kilku żołnierzom buty spadły z nóg. To był śmieszny, a

zarazem i przykry widok. Major przerwał ćwiczenia i polecił dowódcy kompanii zebrać tych, którzy mają niedopasowane buty i je wymienić.

Prowadzący ćwiczenia plutonowi, sierżanci i kaprale przy każdej okazji dokuczali nam. Ze złośliwym uśmiechem krzyczeli: „Tu nie politechnika, tu trzeba myśleć”. W porozumieniu z dowódcami wyższego szczebla często robili nam nocne pobudki. W środku nocy, w ciągu kilku minut, trzeba było wstać, postać łóżko i stanąć w szeregu gotowym do akcji. Czasami takie działanie kończyło się tylko na zbiórce, czasem na długich nocnych ćwiczeniach.



Po szkoleniach należało opanować tajniki wojskowej wiedzy. Raz sierżant zapytał kolegę:

- Szeregowy, czym czyści się lufę karabinu?



Na obozie wojskowym w

Pytany stuknął *Legionowie, rok 1952.* •

obcasami i odpowiedział:

- Logarytmem, obywatelu sierżancie.

Przełożony, nie dając po sobie poznać, że nie wie, co to jest logarytm, odpowiedział krótko:

- Macie rację, można też. Lepiej jednak wyciorem.

Nasze ćwiczenia w terenie polegały głównie na rozwijaniu kabli i rozmieszczaniu stacji nadawczo-odbiorczych zapewniających łączność między oddziałami. Każdy z nas niósł karabin, łopatkę saperską a na plecach wielki bęben z kablem.

Był lipiec, suche upalne dni. Przemieszczaliśmy się po dwadzieścia i więcej kilometrów dziennie. Nawet na najkrótszym postoju wszyscy natychmiast zasypiali. Jedyną szansą na zwolnienie się z morderczych zajęć była choroba. Młody lekarz najczęściej badał zgłaszającego się chorego żołnierza przez okienko. Zazwyczaj spojrzął na delikwenta i orzekł: „Zdolny do zajęć, odmaszerować, następny”.

Na ćwiczeniach mieliśmy pozostać do 16 sierpnia. Kaprale nas wyraźnie nie lubili. Na koniec starali się nam solidnie dokuczyć. Po wyprowadzeniu na poligon słychać było krzyki: padnij, czołgać się, powstań, biegiem marsz! Każdy rozkaz był wykonywany sumiennie, z tym, że wszystko robiliśmy bardzo wolno. Umówiliśmy się, że biegać będziemy małymi kroczkami, czołgać się, padać i wstawać też, jakbyśmy byli ostatnimi ofermami. W tym działaniu byliśmy wyjątkowo solidarni. Wiedzieliśmy, że wszystkich trudno będzie ukarać czyszczeniem latryn. Na rozkaz: pluton śpiewa, śpiewaliśmy piosenkę ułożoną przez naszego „poetę”:

„Smutny będzie los kaprala, gdy szesnasty nastanie.

My będziemy jechać do dom, a skurczybyk zostanie.

Nie będziemy maszerować, nie będziemy w glidzie stać!

Reakcją na taki śpiew był wrzask kaprala:

- Spokój! Nie śpiewać, do cholery, padnij, powstań!

Po złożeniu uroczystej przysięgi zostały nam zwrócone nasze cywilne ubrania i pociągiem osobowym wróciliśmy do Gdańska, gdzie wydano ostatni rozkaz: „Batalion bacność, spocznij, rozejść się!”. 10 grudnia 1952 roku wręczono mi książeczkę wojskową, w której figurował stopień oficerski - chorąży.

W Legionowie zaprzyjaźniłem się z Mietkiem Borowskim. Wspólnie ustaliliśmy, że poczynimy starania, żeby w akademiku zamieszkać razem. Po złożeniu odpowiedniego wniosku rozjechaliśmy się.

Chcąc nieco odpocząć po ćwiczeniach wojskowych, pojechałem do siostry Jadzi, do Luzina. Zawsze przyjmowano mnie tam bardzo serdecznie, tak że pozostałem parę dni zanim pojechałem do domu, gdzie, jak co roku, czekało mnie koszenie seradeli, peluszki i drugi pokos łąk. Nigdy się od pracy nie wykręcałem. Byłem silny, pracę fizyczną lubiłem i cieszyłem się, że mogę w czymś pomóc.

Pewnego wrześnieowego popołudnia, chcąc porozmawiać o atmosferze panującej w domu, wybrałem się z mamą na spacer.

- Jak warna sa tu terô źėje? Co z Agnesą? Chôdzy do ni jesz nen Szpretka z Bukowinę, co zaczął sa dló ni w Srakójcach na stolarza uczęc?

- Őn be chcôł - odpowiedziała. - Le tataje barzi za Aloszem z Załkôwskich Pustkju wëuczonym stolarzem.

- Jo, a co na to Agnesa?

- Na mój pòzdratk ona jesz mësli ó tim z Bukowinę, le nenje doch młodi. Badze zycher tak, jak chce tat.

Westchnęła głębokó i dodała:

- Nasze dzewusë, czej le badze leźnosc badachcałë chutkó wëdostac sa z chęczi.

- Co wë gôdôce, mëma, jejima lëchö doma? - zapytałem.

- Të jes dalek. Tobie, czë të tu na pora dni przëjedzesz, wszëtkô wëdówô sa piakné, ale tak nie je.

Milczałem, czekałem, cojeszcze powie.

- Wiesz - rzekła. - Ti dwaji, tata i Jasz sa sztridëją a swój górz na białczy wëlëwają. Teresa - dodała. - Chôc le mô ösemnôsce lat, tézju zdrzi, jak wiornac z dodómu.

- Co we mëma gôdôce, mô öna ju téz kôgö? - zapytałem zdziwiony.

- Klénów Władk sa kôl ni krący.

- Władk - powiedziałem. - To dochje fejn chłop.

- Jô to wiem - odrzekła pòspiesznie mama. - Ale tata gôdô, że on ni mô fachu.

- Czej je chatny do robôtë, tej so terô u nas rada dô. W Pölsceje baro wiele môlów, dze brëkujälëdzy. Władis - dodałem -je człowiekem, co mô łep na karku. Jô bë sa cesził, czejbë z tego co bëło.

- Tak mëslisz? Tata nôbarzi gôrzi, że ôn mô óstac tu na jich gburstwie. Wiesz doch, że tata le fachmanów achtnie.

- To je prówda - odparłem. - Dlô nich bëłobë nôlepi wiornac dze do miasta. Tu na néch pustkach ni ma cwëku óstawac.

- Të môsz rëcht - rzekła. - Co ôn mô zrobiec? Wszëtcë z jejich familie saju wëk. Mô ôn starka sama na nym wiöldzim gburstwie óstawiec.

- Tegö nie wiém - odparłem. - Jichje wiele. Czë ti młodi bë tam, co wiacy ugöspôdarzëlë, chto wié, czë bë sa nie nalezlë jaczi chatny do spłaceniégö?

- Dô Bóg dzeń, dô ju rada z nim.

Na Hubnera

Z Mietkiem otrzymaliśmy pokój dwuosobowy w domu akademickim wybudowanym już po wojnie. Budynek stał w pobliżu Politechniki przy ulicy Hubnera i miał dużo lepsze warunki bytowe od poprzedniego. W dużym pomieszczeniu każdy z nas miał własny stół na ustawienie deski kreślarskiej. Łazienka dostępna z korytarza i kuchnia wyposażona w piecyki elektryczne znajdowały się w pobliżu pokoju.

Mój współlokator był bardzo zdolny, przystojny i koleżeński. Brzdąkając często na gitarze, nucił krótkie polsko-niemieckie przyśpiewki. Pochodził z miasteczka położonego koło Starogardu, gdzie przed studiami mieszkał z matką wdową i jej dwiema niezamężnymi siostrami. Wysoki blondyn o falistych włosach, małym wąsiku i naiwnym zagadkowym uśmiechu miał powodzenie u pańienek.

W miarę upływu czasu coraz bardziej dziwiła mnie beztroska mojego współlokatora. W czasie, kiedy ja ciężko pracowałem, on włóczył się po mieście. Czasem nie widywałem go nawet przez parę dni. Kiedyś koło północy wtoczył się do pokoju. Wyrwany ze snu ostrym tonem poprosiłem go, by się uspokoił. Podpity Mięciu podszedł do mojej deski, odkrył leżący na niej rysunek i zabełkotał:

- Czyy toojeest proojekt? - po czym pochylił się nad deską i dodał - Muszę too zaarzyygac.

Jak rażony wyskoczyłem z łóżka, chwyciłem dryblasę za kudły, głowę ściągnąłem w dół, lewą rękę zacisnąłem na jego karku i zaciągnąłem do łazienki. Szarpiącego się i wrzeszczącego trzymałem pod lejącym się najego głowę strumieniem zimnej wody. Pomogło. Trzeźwiał w oczach. Po chwili zapewniał:

- Marian przestań, puść mnie. Już nie będę hałasował, ani psuł twoich rysunków.

- Odjutra masz się zabrać do roboty, słyszałeś?

- Słyszałem, odjutra mam się zabrać do roboty.

Puściłem go. W pokoju bez słowa wytarł się, rozebrał i położył do łóżka. Raz ujarzmiony już do końca studiów starał się, nawet po kielichu, zachowywać spokojnie.

Mimo to lubiłem Mięcia. Jego beztroski sposób bycia był zaraźliwy. Pod jego wpływem zacząłem bywać w teatrze muzycznym, w operze, na koncertach symfonicznych. Często znudzony słuchaniem muzyki poważnej, której nie rozumiałem, czas spędzony na koncercie poświęcałem obserwowaniu perkusisty walącego w swoje „pokrywki”. Nieraz wracaliśmy późno, tak że większość kolegów już spała, gdy przygotowywaliśmy sobie kolację.

Pewnego wieczora ugotowałem każdemu z nas po pełnym głębokim talerzu budyniu. Mleko przywoziłem z domu. Przy zamkniętych drzwiach niecierpliwie czekaliśmy, aż nasz przysmak ostygnie. W pewnym momencie ktoś zaczął walić do naszych drzwi, wołając: „Otwórzcie, mam wam coś ważnego do powiedzenia”. Nie przewidując podstępu, otworzyłem. Do pokoju wpadł Edwin, a za nim zawsze głodny Jurek. Obydwaj, zaopatrzeni w wielkie łyżki, rzucili się w kierunku naszych talerzy. Widząc ogromne zagrożenie dla naszego smakołyku, jak umówieni, błyskawicznie napluliśmy do swoich talerzy. Naiwnie myśleliśmy, że to powstrzyma nieproszonych gości przed dokonaniem spustoszenia. Niestety, niezrażeni pałaszowali, ile się dało. Żeby chociaż trochę uratować, pośpiesznie też chwyciliśmy za łyżki.

Przy portierni znajdował się węzeł radiowy. Z umieszczonych w pokojach głośników mogliśmy słuchać wiadomości z kraju i komunikaty dotyczące mieszkańców budynku. Pewnego wieczora, po powrocie ze Skrzyszewa, leżąc na łóżku, słuchałem nadawanej przez głośnik muzyki. Nagle ją przerwano, a z głośnika rozległ się donośny głos spikera:

- W imieniu kolegów składam serdeczne życzenia urodzinowe mieszkańcowi pokoju 313, koledze Marianowi Majkowskiemu.

Poderwałem się z łóżka. Nie miałem urodzin. Spiker mówił dalej:

- Zacny solenizant prosi przyjaciół i kolegów na skromny poczęstunek.

Po chwili usłyszałem śpiewane przez męski chór głośne „Sto lat”. Drzwi zostały raptownie otwarte, a do wnętrza wpadła grupa znanych i nieznanymi mi kolegów. Wszyscy zaczęli składać mi życzenia. O wyjściu nikt nie myślał. Czekali na zapowiadany poczęstunek. Na moje nieszczęście częściowo rozładowany plecak leżał jeszcze na stole, tak że wyciągnięcie reszty, znalezienie noży, pokrojenie chleba, placka i słoniny było już tylko kwestią czasu. Po kilkunastu minutach obaj z Mietkiem zostaliśmy ogołoceni z wszystkich zapasów.

Pracę dyplomową robiłem w katedrze urbanistyki. Kolejno opracowywałem różne warianty rozwiązań danego tematu. Były one omawiane, konsultowane i korygowane. Sam ustalałem ilość i częstotliwość kontaktów z prowadzącymi.

Po złożeniu pracy dyplomowej nastąpiła jej obrona. W oparciu o rozwieszony rysunki, makietę i notatki swobodnie omówiłem przedstawiony problem. Z min profesorów i kolegów wywnioskowałem, że poszło mi dobrze. Mietek również nie miał problemów z obroną swojej pracy. Po naradzie obaj postanowiliśmy starać się o przyjęcie na studium magisterskie. Z zakwalifikowaniem się nie mogło być kłopotu, bowiem nasza średnia za ostatni rok i obronę dyplomu wynosiła ponad 4,5 na 5 możliwych punktów.

28 lutego 1953 roku z rąk dziekana otrzymałem dyplom ukończenia studiów inżynierskich. Zostałem pierwszym inżynierem wywodzącym się ze Skrzyszewa. Do końca roku szkolnego miałem jeszcze zapewniony akademik i stypendium.

które po przyjęciu na magisterkę miało zostać podwyższone. Miałem przed sobą wolny marzec i kwiecień. Od maja Mietek załatwił dla nas pracę zleconą mianowicie inwentaryzację spichrzów w powiecie starogardzkim. Ja tymczasem otrzymałem pierwsze zlecenie opracowania projektu domku jednorodzinnego. Pracę wykonałem ku zadowoleniu zleceniodawcy, a władze powiatowe w Kartuzach zatwierdziły ten projekt bez zastrzeżeń do realizacji.

Magisterka

Czwartego maja spotkaliśmy się z Mietkiem w akademiku. Po skompletowaniu przyborów, pojechaliśmy do Zblewa, gdzie podpisaliśmy warunki umowy. Zobowiązaliśmy się do wykonania architektonicznej i konstrukcyjnej inwentaryzacji spichrzów zbożowych wraz z wykonaniem odpowiednich rysunków przy ustaleniu dopuszczalnych obciążeń stropów. Gdy składałem podpis, widziałem głównie kwotę wynagrodzenia, jakie mieliśmy otrzymać po wykonaniu zadania. Dla nas była to zawrotna suma, która przyćmiła wszystkie inne wymienione w umowie warunki. Opamiętanie przyszło dopiero później. Z ogromną obawą zwróciłem się do Mietka:

- Wiesz w co myśmy się wpakowali?

Kiedy zdziwiony, wytrzeszczając na mnie oczy milczał, mówiłem dalej:

- Człowieku, do tej pracy trzeba nie tylko doświadczonych architektów, ale specjalisty konstruktora.

- Damy sobie radę - mówił Mięciu.

Pełni energii i dobrych chęci zabraliśmy się do roboty. Już szóstego dnia z gotowymi odmiarami wróciliśmy do Gdańska. Teraz dopiero nastąpił morderczy wyścig z czasem. Pracowaliśmy po dwanaście godzin dziennie. Po dwóch tygodniach prace były na tyle zaawansowane, że mogliśmy sporządzone rysunki i obliczenia przekazać do katedry konstrukcji celem ich sprawdzenia. W pierwszych dniach czerwca zawieźliśmy zleceniodawcy gotowe opracowania i zaraz otrzymaliśmy wypłatę. Natychmiast chciałem jechać do Gdańska, by zrobić zakupy. Temu zamiarowi sprzeciwił się Mietek, argumentując to w następujący sposób:

- Gdy chcesz, by ci dano dalsze zlecenia, to musisz tych, co dali ci robotę zaprosić na dobrą kolację i kielicha. Nie martw

się, już na wieczór zamówiłem kilka stolików i ustaliłem, ile możemy wydać.

Na kolację przyszło około dziesięciu gminnych prominentów. Przy dobrym jedzeniu, często przerywanym wznoszonymi toastami, rósł nasz prestiż. Mięciu w odpowiednim momencie zwrócił się do prezesa GS-u zapytaniem, czy przypadkiem któryś z jego kolegów z sąsiednich spółdzielni nie musi również przeprowadzić jakiegokolwiek inwentaryzacji. Zapytany pomyślał chwilę, wstał, podszedł do telefonu i wykręcił jakiś numer. Rozmawiał na tyle głośno, że słyszałem całą rozmowę.

- Wojtek, wspominasz mi kiedyś, że przed żniwami musisz zrobić inwentaryzację spichrzów. To się świetnie składa. Mam tu dwóch dobrych fachowców z Politechniki. Właśnie skończyli robotę dla nas, jak chcesz to z nimi porozmawiam.

Po odłożeniu słuchawki podszedł na lekko chwiejnych nogach do Mietka i powiedział:

- Załatwiłem dla panów robotę w Lubichowie i umówiłem was na jutro z tamtej S2.ym prezesem GS-u.

Dwa dni później pracowaliśmy już w Lubichowie. W czasie tych wakacji zarobiliśmy, jak na nasze dotychczasowe dochody, oszałamiającą ilość pieniędzy. Z wielu rzeczy, które sobie wtedy kupiłem, pamiętam buty i spodnie narciarskie. Moja radość była tak wielka, że przez jakiś czas nosiłem je nawet w największym upale. Sporo pieniędzy dałem ojcu, który przyjął je bez oporu, co świadczyło o tym, że bardzo ich potrzebował.

W połowie września do Skrzyszewa nadeszło zawiadomienie, że zostałem przyjęty na studia magisterskie. Kiedy ostatniego dnia września zjawiłem się w naszym pokoju domu akademickiego, zastałem leżącego na swoim łóżku Mietka.

- Cześć - zawołałem uradowany. - Widzę, że pokój 313 jest w komplecie. Wiesz może, kto jeszcze z naszych się dostał?

- Widziałem już Jurka i Edwina. Czy jest ktoś jeszcze, nie wiem.

- Jurek jest, mówisz. No to będziemy mieli dodatkową gębę na utrzymaniu.

Ledwo zdążyłem wypowiedzieć te słowa, ktoś zapukał do drzwi. Do pokoju wszedł uśmiechnięty od ucha do ucha kolega Jureczek. Przywitał się serdecznie i usiadł na łóżku. Byłem zdziwiony, ponieważ nie miał widelca ani łyżki.

- W tym roku nie będę was już tak nachodził. Mam narzeczoną która będzie mi przywoziła paczki, a za to, że was obżerałem w ubiegłym roku coś dla was zrobię. Co chcecie, może jakiś rysunek, albo coś namaluję, może obraz?

- Bardzo dobry pomysł. Namaluj nam piękną gołą dziewczynę - zaproponował Mietek.

Po kilku dniach pracy Jurka, nasz pokój wzbogacił się o nową i piękną tkwiącą w rogu na ścianie lokatorkę, którą nazwaliśmy Basią. Nie była zupełnie naga. Na nogach miała buciki na szpilkach, a na szyi długi sznur pereł. Po ukończeniu dzieła, delektując się winem podziwialiśmy ponętne wypukłości Basi. Wieść o niej prędko się rozeszła. Przybywało coraz więcej chętnych do podziwiania jej.

Pewnego wieczoru powiedziałem do Mietka:

- Przychodzą o każdej porze dnia i przeszkadzają nam w pracy. Myślę, że trzeba ustalić dni i godziny wizyt. Ubierzemy Basię w halkę i sukienkę, które będą zdejmowane w określone dni dla tych, którzy przyniosą jakiś rzeczowy upominek, jak wino czy zagrychę.

- Masz rację. Czas, żeby Basia zaczęła zarabiać. Ponadto za delektowanie się dziełem sztuki trzeba płacić.

Ustalenia wprowadziliśmy w życie i liczba odwiedzających nas osób nieco się zmniejszyła. Mimo to wieść o atrakcji w naszym pokoju zataczała coraz szersze kręgi.

Pewnego dnia niespodziewanie odwiedziła nas

zaprzyjaźniona ze mną sekretarka rektora do spraw młodzieży. Dziewczyna rozejrzawszy się po ścianach stwierdziła:

- A więc, to rzeczywiście prawda.

- O co ci chodzi, Krysiu? - zapytałem, wiedząc doskonale, co ma na myśli.

Podniosła się, podeszła do ściany, zdjęła sukienkę i halkę z rysunku. Patrząc na golusieńką Basię, powiedziała:

- O to, ten rysunek na ścianie.

- Ten rysunek? Skąd o nim wiesz?

Usiadła z powrotem na krześle i patrząc na mnie odparła:

- Marian, postaraj się natychmiast o pędzel i farbę. Jak najszybciej zamaluj całą ścianę.

- Dlaczego, co się stało? - zapytałem.

- Rób, co mówię i nie pytaj.

Kiedy ze zdziwieniem spojrzałem na nią, dodała:

- To co teraz powiem, jest tylko dla nas. Nikomu tego nie powtarzaj, bo mogę stracić pracę. Dzisiaj przed końcem pracy słyszałam jak prorektor, mój szef, kazał komisji pójść jutro do waszego pokoju celem sprawdzenia, czy jest prawda, że lokatorzy pokoju 313 demoralizują kolegów z akademika.

Nie pytając o dalsze szczegóły, razem z Krysią, wyszedłem po farbę i pędzel. Z doborem koloru nie miałem trudności, bowiem ściany w pokoju były białe. Mietka w tym czasie nie było w akademiku tak, że pracę musiałem wykonać sam. Po jednokrotnym pomalowaniu ściany, nadal widać było postać Basi. Z powtórным malowaniem musiałem zaczekać, aż ściana przeschnie. „Trudno, Basieńku, musimy się rozstać na zawsze” - tak przemawiałem do niej. O północy malowałem ścianę jeszcze raz. Tym razem farba pokryła obrazek i po Basi nie było śladu.

Ledwo zdążyłem się położyć do łóżka, do pokoju wtoczył się podchmielony Mietek. Mimo swego niezbyt stabilnego stanu, natychmiast zauważył brak Basi na ścianie. Bełkotliwym głosem zapytał?

- Marian, oszalałeś czy co? Co zrobiłeś z naszą Basią?

Kiedy zbliżył się do mokrej jeszcze ściany, by namacalnie stwierdzić, że malunku faktycznie nie ma, krzyknąłem na niego:

- Mietek kładź się natychmiast do łóżka, bo jak nie, to czeka cię zimny prysznic.

Słyszając o prysznicu natychmiast usłuchał i bez dalszej dyskusji położył się do łóżka.

O szóstej rano pomalowałem ścianę po raz trzeci. Obudzonemu światłem i moim krzaniem Mietkowi wytłumaczyłem, dlaczego Basia musiała zniknąć. Bez słowa wstał i pomógł mi w sprzątaniu pokoju.

Spodziewając się kontroli, pilnowaliśmy, by w pokoju panował idealny porządek. Dwa dni później przybyła komisja z rektoratu. Przyszli po południu, kiedy obaj z Mietkiem pochyleni nad naszymi deskami, kreśliliśmy jakiś projekt. Gdy się przedstawili, przerwaliśmy pracę i zaprosiliśmy do zajęcia miejsca na łóżku, bowiem mieliśmy tylko dwa krzesła. Zaproszeni uważnie rozglądali się po pokoju. Razem z Mietkiem spokojnie siedzieliśmy na naszych krzesłach i wyczekująco patrzyliśmy na gości. Przeciagającą się ciszę przerwał kolega, pytając:

- Co panów do nas sprowadza?

Jeden z nich, zapewne kierownik grupy, odpowiedział:

- Przyszliśmy do was na kontrolę.

- Na kontrolę? To jakaś rutynowa kontrola? - patrzyłem zdziwiony na rozmówcę, który po chwili dodał:

- Do rektoratu wpłynęła skarga na was, mieszkańców pokoju nr 313.

- Skarga?! Na nas? Niemożliwe, kto mógłby mieć do nas jakieś pretensje? - udawałem zdziwienie.

- Nie do wiary - z przekonaniem dodał Mięciu.

Przewodniczący komisji nie ujawnił nam, o jakiego rodzaju skargę się rozchodziło. Jeszcze raz uważnie rozejrzał się po

pokoju i zwracając się do pozostałych członków komisji, rzekł:

- Wygląda na to, że ktoś puścił plotkę, chcąc kolegom spłatać figła. Myślę, że tutaj nie mamy nic więcej do roboty.

Zwracając się do nas powiedział:

- Przepraszam koledzy za przerwanie zajęć. Profesorowi Rydlowi przekażę informację, że donos był fałszywy.

Z wdzięczności za uprzedzenie nas o kontroli, następnego dnia zaprosiłem Krysię do nas na filiżankę kawy. Kawy wprawdzie nie udało mi się kupić, ale za to było wino i kwiatek. Popołudnie spędziliśmy bardzo przyjemnie, tym bardziej, że bez Mietka i jego gitary.

Zajęcia na uczelni sprawiały mi teraz przyjemność. Mniej było wykładów, za to wiele ciekawych samodzielnych opracowań projektowych. Mieliśmy dużą swobodę w ustalaniu terminów spotkań z osobami prowadzącymi tematy. Mimo to, do domu jeździłem bardzo rzadko. W listopadzie byłem na ślubie Agnieszki, a potem pojechałem dopiero na Boże Narodzenie.

Rozpoczął się rok 1954, a z nim drugi semestr magisterki. Na wydziale pojawił się budzący lęk i niechęć młody profesor budownictwa, który swój doktorat zrobił w Moskwie. Jako jeden z nielicznych członków PZPR-u szybko został wicerektorem do spraw młodzieży. Czuł się bardzo pewny i ważny. Na architekturze prowadził zajęcia z konstrukcji drewnianych.

Pewnego dnia pod koniec drugiego semestru zrobił ze swego przedmiotu zaliczające kolokwium. Rozsadzeni, każdy przy swoim stoliku, z przydzielonymi nam przez adiunkta kilka osteplowanymi kartkami przystąpiliśmy do obliczeń. Konstrukcje nie sprawiały mi dużych trudności. Mimo to włożyłem sobie ściągę pod plik leżących na stole kartek. Obliczenia wykonywałem tak szybko, że zaskoczony moim tempem adiunkt, podszedł do mnie i przejrzał wszystkie leżące na stole kartki. Na spodzie znalazł ściągę. Żadne tłumaczenia nie pomogły. Na kartce z wyliczeniami postawił pieczęć

katedry z datą i napisem „ściągał”. Zabrał ściągę i poszedł dalej. Przerażenie nie trwało długo. Kartkę z pieczętką włożyłem do teczki i na następnej od początku rozwiązywałem zadania.

Po dwóch dniach na tablicy odczytałem, że egzamin pisemny zaliczyłem na czwórkę. Zadowolony z wyniku poszedłem do siebie. Wiedziałem, że po takim wyniku z pisemnego, poniedziałkowy egzamin ustny nie powinien sprawić mi problemu. Mimo to, sobotę i niedzielę przeznaczaliśmy z Mięciem na powtórkę materiału. Po obiedzie zeszliśmy na chwilę do świetlicy, gdzie z paroma kolegami z innego wydziału zagraliśmy w ping-ponga. Zdążyłem odbić kilka piłek, kiedy w drzwiach świetlicy ukazał się prof. Stanisław Rydlewski.

- Dzień dobry panom - zasyczał słodkojadowitym głosem.

- Dzień dobry - odpowiedzieliśmy chórem.

Potem podszedł do mnie i zapytał:

- Kolega jest z magisterki, z wydziału architektury, prawda?

- Tak, panie profesorze - odpowiedziałem pospiesznie.

- Ładnie, bardzo ładnie przygotowuje się kolega do jutrzejszego egzaminu z konstrukcji.

- Panie profesorze, to tylko chwila przerwy, cały czas powtarzam materiał.

- To bardzo, bardzo dobrze, a mógłbym zobaczyć, jak mieszkanie?

- Oczywiście, proszę - poprowadziłem go do pokoju.

Po wejściu do pokoju rozejrzał się, spojrzął na stół, na którym leżał zeszyt z notatkami oraz kartki z wykonywanymi obliczeniami.

Stał przez moment, potem podszedł do stołu, wziął zeszyt i zaczął przewracać jego kartki. W tym momencie ogarnęło mnie przerażenie na myśl, co za chwilę nastąpi. Profesor tymczasem oglądając powoli zeszyt, mówił:

- Bardzo ładnie, bardzo dobrze prowadzisz notatki.

Nagle ten mały, szczupły człowiek zaryczał jak lew:

- A co to jest?

Bez patrzenia na niego wiedziałem, że w rękę trzyma znajdującą się w brulionie kartkę z napisem „ściągał”. Stałem, jak rażony, nie mogąc wymówić słowa. Tymczasem profesor zasyczał złowieszczo:

- Jutro zobaczymy się na egzaminie - trzaskając drzwiami wyszedł z pokoju.

Egzamin ustny prowadził profesor i dwóch adiunktów. Gdy zwolniło się miejsce podszedłem do adiunkta. Siedzący w głębi pokoju profesor, zawołał:

- Panie kolego, proszę pana Majkowskiego przysłać do mnie.

Podszedłem do niego i usiadłem naprzeciw. Wykładowca podał mi kartkę z wypisanymi na niej trzema tematami, mówiąc:

- Proszę to przy mnie rozwiązać.

Długo patrzyłem na podane mi tematy, analizując swoje możliwości. Po pewnym czasie wstałem, odsunąłem kartkę i powiedziałem:

- Panie profesorze, pan i ja wiemy, że nie mam szansy przed wakacjami zdać tego egzaminu. Szkoda naszych nerwów.

Po tych słowach wstałem, ukłoniłem się, powiedziałem do widzenia i opuściłem pokój. Na korytarzu usiadłem na ławce i zacząłem analizować swój spontaniczny postępek. „Człowieku, co ty narobił? Złapany na ściąganiu obraziłeś profesora, prorektora do spraw młodzieży. To może się zakończyć usunięciem z uczelni. Trudno, co się stało, to się nie odstanie. Mam w kieszeni dyplom inżyniera, z tym też da się żyć”.

Tymczasem z pokoju egzaminacyjnego wyszedł inny kolega będący świadkiem mojego postępk. Usiadł na ławce obok mnie i niepytany, zaczął mówić:

- Po twoim wyjściu Rydel wstał i przez chwilę tłukł pięściami w biurko. Egzaminujący i my siedzieliśmy cicho,

ukradkiem spoglądając na niego. Trwało to moment, po czym profesor odwrócił się, wszedł do pokoju na zapleczu, zamykając z trzaskiem drzwi.

Byłem przeświadczony, że druga część dramatu rozegra się we wrześniu. Na razie musiałem prędko zapomnieć o incydencie, by przygotować się do zaliczenia innych ćwiczeń i egzaminów.

Pod koniec maja dowiedziałem się, że Orbis na niedzielę potrzebuje dodatkowych przewodników. Zgłosiłem swoją kandydaturę. Miałem oprowadzić po Gdańsku i Gdyni wycieczkę pewnego zakładu pracy z Grudziądza. W niedzielę rano czekałem na dworcu na przyjazd turystów. Nadszedł pociąg, z którego wysiadło sporo ludzi. Część z nich ustawiła się w grupę, rozglądając się wokoło. Podszedłem z zapytaniem:

- Dzień dobry, jesteście państwo z Grudziądza, z Hydrogeowiertu?

- Tak, czekamy tu na przewodnika z Orbisu - odparła młoda, wyższa ode mnie, dziewczyna.

- Wobec tego czekacie państwo na mnie. Nazywam się Marian Majkowski, jestem studentem architektury, a dzisiaj państwa przewodnikiem po Gdańsku.

- Świetnie, ja jestem kierowniczką tej grupy, nazywam się Eleonora Rończkowska, a to jest moja kuzynka Irena, mieszkanka Gdańska, która na wypadek gdyby zawiódł przewodnik, ofiarowała zaopiekowanie się nami. A zatem jesteśmy w komplecie, możemy iść, szkoda czasu.

We troje szliśmy na przedzie grupy. Od pierwszego spojrzenia i paru zamienionych zdań spodobała mi się spokojna, zrównoważona grudziądzanka. By spojrzeć w jej czarne oczy, musiałem solidnie wspinać się na palce. Robiłem to często i z przyjemnością. Podczas obiadu mówiliśmy już sobie po imieniu.

Po południu popłynęliśmy statkiem do Gdyni, gdzie dla mnie rola przewodnika była znacznie trudniejsza. Słabo znałem

to miasto. Dochodząc do jakiegoś ważnego obiektu, mówiłem o stylu, o wkomponowaniu w krajobraz. Podchodząc bliżej, na tablicy odczytywałem nazwę mieszczącej się tam instytucji, coś o niej mówiłem i szliśmy dalej. Wieczorem odprowadziłem grupę na dworzec, gdzie z podręcznej walizeczki Loni spisałem jej adres.

Niebawem napisałem do niej list, w którym pytałem, czy zechciałaby być moją przewodniczką u siebie. Na pozytywną odpowiedź nie czekałem długo i w pewną czerwcową sobotę pojechałem do Grudziądza. Przez Lonię i jej rodziców zostałem przyjęty życzliwie, chociaż z pewną nieufnością. Podczas obiadu czułem się trochę jak na przesłuchaniu. Pytano mnie o wszystko, skąd pochodzę, co studiuje, kim są moi rodzice i co mam zamiar robić po studiach. Pytania te specjalnie mnie nie zraziły. Rodzice bali się o swoje jedyne dziecko.

Po południu spacerowaliśmy po Grudziądzu, a właściwie po gruzowisku. Miasto wyglądało na bardziej zniszczone, czy może mniej odbudowane, niż Gdańsk. W niedzielę również zwiedzaliśmy miasto. Wyjeżdżając wiedziałem, że będę tam częstym gościem. W czerwcu spotkaliśmy się jeszcze dwa razy. Za każdym razem utwierdzałem się w przekonaniu, że to może być ta jedyna przez los mi przeznaczona.

Tegoroczną praktykę odbywałem w Olsztynie, gdzie skierowano mnie do dyrekcji budowy szpitala kolejowego. Z grupą kolegów z roku zakwaterowano nas w hotelu robotniczym w sześciuosobowym pokoju. Niektórzy, zwłaszcza Janusz Wolak i Romuald Kosiak, nie traktowali swych obowiązków zbyt poważnie. Do wielogodzinnych gier w brydża zakrapianych alkoholem wciągali także współlokatorów. Ci, którzy nie grali i nie pili, w hałasie nie mogli spać.

Kiedyś ta rozrywkowa grupa nieco przesadziła. Przez prawie trzy doby nie odchodziła od stołu karcianego. Kierownictwo budowy zgłosiło ten fakt na uczelnię. Po kilku

dniach z wydziału przyjechała trzyosobowa komisja na kontrolę. Najpierw odwiedzili budowę, a potem przyszli do biura, gdzie odbywałem praktykę. Po przywitaniu się adiunkt zapytał mnie wprost:

- Czy to prawda, że zamiast odbywania praktyki grywacie w karty i pijecie alkohol?

- Nie wiem, co robią koledzy. Rano wychodzę na budowę, a wieczorem około 22-ej wkładam watę do uszu i zasypiam - odparłem.

Widząc, że ode mnie niczego się więcej nie dowiedzą pojechali dalej. Wieczorem dowiedziałem się, że z naszej szóstki tylko dwóch było na budowie. Pozostałych komisja zastała w łózkach. Za karę o dwa tygodnie przedłużono im pobyt w Olsztynie.

Nasze kierownictwo, oprócz budowy głównej, prowadziło budowę jeszcze dwóch mniejszych obiektów. W połowie lipca jeden z kierowników zachorował. Na zastępstwo wybrano mnie. Po wprowadzeniu w nowe obowiązki i zapoznaniu się z pracownikami zostałem sam ze swoim brakiem doświadczenia i wiedzą teoretyczną. Wiedziałem, że od tej chwili odpowiadam za postęp prac, terminowe zaopatrzenie budowy w materiały, sprzęt, ludzi i jakość wykonania. Kiedy siedziałem zmartwiony z głową ukrytą w dłoniach, do pokoju wszedł starszy szpakowaty mężczyzna. Po przedstawieniu się, zapytał:

- Czemu pan siedzi taki smutny?

Powiedziałem mu, że jestem praktykantem, że mam zastępować kierownika i że nie mam wielkiego pojęcia o prowadzeniu budowy.

Przybyły uśmiechnął się przyjaźnie i rzekł:

- Pan nie ma, ale ja mam. Od wielu lat jestem majstrem na budowie. Proszę się nie martwić. Razem damy sobie radę.

Obaj poszliśmy zobaczyć, co dzieje się na budowie. Przez dwa tygodnie mojego pobytu przyśpieszyliśmy tempo i

poprawiliśmy jakość prac. Na zakończenie majster z kolegą, też starym Mazurem, zaprosili mnie na pożegnalną wódkę. Nie wypadało odmówić. Z pismem zaliczającym, z wysoką oceną moich działań na budowie, wróciłem do Gdańska.

Z Tadzkiem Słowikiem, który też praktykował na tej samej budowie i kolegą z niższego roku, Stachem Jureko, umówiliśmy się, że po praktyce zrobimy rajd rowerowy przez Mazury i Warmię. Po omówieniu szczegółów na parę dni rozjechaliśmy się do domów. Tam z mozołem przygotowywałem mój rower, który faktycznie był starym gratem, do długiej jazdy. Domownicy, a głównie ojciec, odradzali mi tę drogę. Brat Jan, śmiejąc się, mówił:

- Chłopie, na tych starłych meńtlach tē doch do Gduńska nie dojedziesz. Wez ze sobą kłęb mocnego powrózka, zebē tē mógł je owinąć, czej badapakałē.

Ojciec dodał:

- Czej on tim kołem do Pałobic dojedze to badze richtich cud.

Po obiedzie spakowałem resztę rzeczy, pożegnałem się, wsiadłem na rower i pojechałem do Gdańska. Żadna z czarnych przepowiedni się nie sprawdziła. Przed wieczorem byłem w akademiku, gdzie zastałem przygotowanego do drogi Tadzka. Stach się nie zjawił.

Następnego dnia, z parominutowym opóźnieniem, obaj ruszyliśmy w drogę. Tego dnia chcieliśmy dojechać do Elbląga. Byłem przyzwyczajony do jazdy rowerem i wiedziałem, jak należy postępować. Od początku jechałem wolno, równomiernie. Tadzko uciekał do przodu, potem stawał i czekał na mnie. Po czterdziestym kilometrze, gdy wjechaliśmy na wybudowaną przed wojną trasę Berlin - Królewiec, zaczął słabnąć. Teraz nie on na mnie, aja na niego musiałem czekać. Najtrudniejszym odcinkiem była droga przez teren Żuław. Jadąc prostą szeroką drogą myśleliśmy, że stoimy w miejscu. Nogi

zmuszone do ciągłego pedałowania zaczęły boleć. Jeszcze bardziej bolały tyłki nieprzyzwyczajone do twardego siodła. Coraz częściej robiliśmy przerwy. Już szarzało, kiedy wjeżdżaliśmy do Elbląga. Przenocowaliśmy w domu młodzieżowym i następnego dnia pojechaliśmy w kierunku Fromborka.

Stwierdziłem, że rower to wspaniała rzecz. Można nim jechać szosą drogą ścieżką i nawet przeprowadzać przez bezdroża. Można zboczyć z drogi, by zobaczyć gdzieś z boku stojący ciekawy obiekt.

Jechaliśmy głównie z rana i wieczorem. Gorące godziny sierpniowych dni spędzaliśmy na zwiedzaniu zabytków lub nad wodą a noce w szopach lub stogach. Często pod wieczór zatrzymywaliśmy się przy pracujących na polu. Pomagaliśmy przy wiązaniu snopków i innych pracach żniwnych. W zamian byliśmy przez gospodarzy, a szczególnie ich córki, zapraszani na kolacje i noclegi. W tamtych czasach ludzie nie bali się jeden drugiego. Nikt nawet nie pomyślał o tym, że moglibyśmy być rabusiami czy bandytami.

W Kadynach zadziwił nas potężny dąb, w Lidzbarku Warmińskim zamek biskupów. W Świętej Lipce podziwialiśmy klasztor i wspaniałą zrobioną w kształcie lipy, monstrancję. W okolicach Kętrzyna zwiedziliśmy miejsca, gdzie były bunkry Hitlera. Niestety, dostępny teren był bardzo mały, otoczony płotem, za którym umieszczone były tablice z napisem „miny”. W Giżycku zatrzymaliśmy się u pracującego tam kolegi, który nie dostał się na magisterkę. Po dwóch dniach, spędzonych na pływaniu kajakami, przez Mrągowo i Biskupiec, zarządziliśmy powrót w kierunku Grudziądza. Nasze stalowe rumaki pędziły, jakby ktoś przypiął im skrzydła. Tadziu gnał do mamy, ja do mojej pięknej grudziądzanki. W Iławie pożegnałem się z Tadziem, który skręcił w kierunku Kwidzyna. Dalej jechałem sam, rozmyślając o swojej przyszłości.

Kawałek za miasteczkiem Łasin zjechałem w dolinę. Szosa wiła się wzdłuż płynącej z lewej strony rzeczki. Z drugiej strony na pagórkach rósł mieszany las. Po wielu pięknych mazurskich krajobrazach ten wydawał się jakiś inny, piękniejszy i swojski. Uświadomiłem sobie, że jestem na Pomorzu. U siebie, w pobliżu Kaszub i już bardzo blisko Grudziądza. Zsiadłem z roweru, usiadłem w cieniu nad brzegiem rzeki. Rozebrałem się, wskoczyłem do rzeczki, umyłem i doprowadziłem do jako takiego porządku. Miałem jeszcze dosyć czasu, bo wiedziałem, że Lonia wracała z pracy po godzinie piętnastej.

Ziemia grudziądzka urzekała bogactwem i pięknem. Patrzyłem na pola gęsto pokryte szyćkami pszenicy i jęczmienia, na soczystązielń buraczanych liści i błyszczące w słońcu skiby żywej ziemi. Rzeka, w której się przed chwilą kąpałem, przypominała Bukowinę z tej swojskim kaszubskim pięknem. Tymczasem minęła godzina czternasta. Zebrałem swoje rzeczy i wolno popedałowałem w kierunku miasta. Przed domem Loni zatrzymałem się o 15.20. Po chwili ujrzałem znajomą sylwetkę. Na mój widok uśmiechnęła się radośnie i przyśpieszyła kroku:

- Nareszcie jesteś! Od dwóch dni już wyglądam za tobą. Już się bałam, że ci się coś stało.

Kiedy weszliśmy do pokoju stołowego ze zdziwieniem stwierdziłem, że stół był nakryty na cztery osoby.

- Skąd pani wiedziała, że ja dzisiaj przyjadę? - zdumiony zapytałem mamę.

Nic nie mówiąc, uśmiechnęła się tylko i wyszła do kuchni. Pytającym wzrokiem spojrzałem na Lonię. Ona kładąc palec na ustach, szepnęła:

- Mama też już od trzech dni czeka z obiadami na ciebie. Tylko nic nie mów, że ją zdradziłam. Dzisiaj jest taka piękna pogoda, masz jeszcze siły żeby pojechać ze mną nad Jezioro Rudnickie?

- Mam dzisiaj wprawdzie już prawie sto kilometrów w

nogach, ale oczywiście, że z tobą pojedę. Dwadzieścia kilometrów więcej nie gra roli.

Po obiedzie ogoliłem się, wsiedliśmy na rowery i pojechaliśmy nad jezioro, gdzie na wypożyczonym kajaku jeszcze przez całe popołudnie wiosłowałem. Sam byłem zdziwiony, skąd miałem tyle sił.

Przed wieczorem zatrzymałem kajak w pobliżu trzciny z daleka od ruchliwej plaży. Dziewczyna siedząca z głową opartą na moich kolanach, otworzyła oczy i spojrzała na mnie. Wydawało mi się, że jej czarne oczy patrzą na mnie jakimś rozmarzonym wzrokiem. Odłożyłem wiosło, zacząłem głaskać i leciutko całować jej czoło i policzki. Kiedy się nie broniła spontanicznie pocałowałem ją w usta. Rozgrzani słońcem, młodością i wzajemnością całowaliśmy się, zapominając o tym, że znajdujemy się na kruchej wywrotnej łupince. W tym momencie zapomnieliśmy o całym świecie. Byliśmy sami jak kiedyś Adam i Ewa w swoim raju. Nie wiem jak długo to trwało. Nagle niedaleko nas uderzył piorun, po nim rozległ się huk grzmotu, a z góry lunął deszcz. Zimny prysznic przywrócił nas do rzeczywistości. Po krótkiej letniej burzy radośnie wracaliśmy do domu. Oboje wiedzieliśmy, że to, co niedawno przeżyliśmy, może zadecydować o naszym dalszym życiu. Następnego dnia w wypranym i odprasowanym odzieniu wracałem do Gdańska, a stamtąd po przespanej nocy do domu.

Domownicy akurat po obiedzie wychodzili z budynku, kiedy wjechałem na podwórze na moim starym gracie. Tata, zobaczywszy mnie, narobił rwetesu na całą okolicę:

- Marión je przējachóny. Põjta sa przēdzrzec, jęgo stare kōto go doch dodóm dowiozłó.

Mama wybiegła i po przywitaniu się zapytała:

- Běl tē na Mazurach czē jesz dali?

- To biedne kōto mō przējachóné wiacy, jak tēsac kilometrów - odrzekłem.

- Czuł të to, Jónku? - zawołała mama.

- Miôł szczescé - rzekł ojciec.

Po serdecznym przywitaniu się z wszystkimi, zasiadłem do podgrzanego obiadu. Jaś przysiadł się do mnie i powiedział:

- Witro z Władisem Kléną badzemë seklë pötrów. Pomożesz të nama, czë jes szlap?

- Obôcza. Mëszla, że do rena, czej sa dobrze wëspia, bada mógł jic na łączu. Mõja kôsa le wëklep - dodałem z uśmiechem.

Nazajtruz wcześnie rano poszliśmy na łąki. Władek już czekał na nas przy śluzie na kanale. Nie widziałem go prawie od dwóch lat. Kiedy wstał, by się ze mną przywitać, zauważyłem, że się w tym czasie bardzo zmienił. Przedemną stał wysoki, barczysty i przystojny młody człowiek.

- Nie dziwię się Teresce, że się jej podoba - pomyślałem.

- Jes të tu ju długo Władisu? - zapytał Jaś.

- Jo, ju bëlny sztërk - odparł zapytany.

- Të doch bë mógł miec ju dzél zesekłé - powiedziałem. - Czej tak na ce zdrza Władis, tej móm strach, czë jô tu z tobą strzimóm.

- Taczi kósnik jak të, Marión, doch z kózdım strzimie - odparł. - Jasz bë zycher z nama nie dôł radë, ale të?

Brat spojrział na Władka i powiedział:

- Wa dwaji ni môta białków, tej wa jestajesz mőcny. Jô móm za wiele na ti swój banie.

Po naostrzeniu kosy dodał:

- Tej jidzemë, jo bada ta urzma kôl kanôla ôbsékôł, zebë wa dwaji mógłë dładzë pökôsczi sec.

Po przeżegnaniu się i napluciu w garści zaczęliśmy w imię boskie kosić drugi pokos trawy. W krótkich przerwach rozmawiałem z Władkiem. Podobał mi się jego spokojny, chwilami nawet lekko kpiący sposób mówienia. Widać było, że u Jasia i swojej siostry Heli czuł się, jak u siebie w domu i że Tereskę darzył wielką sympatią. Byłem z tego zadowolony,

chciałbym mieć go za szwagra. Wiedziałem, że był to człowiek dobry i mądry, mimo że ukończył tylko szkołę podstawową. Koszenie zakończyliśmy w piątek.

Władek zaproponował mi na sobotę i niedzielę wspólny wyjazd do Łeby. Było dziewięć lat po wojnie, a ja do Łeby jeszcze nie dotarłem, mimo że leżała nieopodal Lęborka. Zresztą w tym czasie o Łebie się prawie wcale nie słyszało. Była to maleńka trzytysięczna miejscina głównie zamieszкана przez rybaków. Mąż Ewy, siostry Władka, otrzymał przeniesienie do pracy w milicji w Łebie. W ślad za nią przeniosło się tam również kilkoro ich rodzeństwa i innych krewnych.

Do Lęborka pojechaliliśmy rowerami, a dalej prawie pustym pociągiem. Do Łeby dotarliśmy w południe. Najpierw poszliśmy do Ewy, która z mężem mieszkała w parterowym, krytym dachówką domku, przy prowadzącej w kierunku morza ulicy. Podczas obiadu zjawiła się ponaddwudziestoletnia kuzynka gospodyni i zaoferowała nam swoje towarzystwo w nadmorskim spacerze. Chętnie skorzystaliśmy z propozycji. Po przejściu około 150 metrów, na końcu ulicy z prawej strony, znajdował się drewniany budynek, w którym mieściła się restauracja o nazwie „Morskie Oko”. Dalej szliśmy pokrytą szyszkami leśną ścieżką, następnie biegnącym między młodym sosnowym laskiem piaszkowym duktem. Z niewielkiego wzgórza ujrzałem szeroką piaszczystą plażę, a za nią spokojną błękitną wodę. Zdjęliśmy buty i poszliśmy brzegiem morza, pozwalając figlarnym falom na ochładzającą pieszczotę naszych nóg. Na wprost stojącej na wysokiej skarpie pięknej budowli, wyglądającej jak zameczek z bajki, zrobiliśmy sobie legowisko. Po wykapaniu się leżeliśmy korzystając z ciepła sierpniowego słońca, po czym wstałem i samotnie skierowałem się brzegiem morza na wschód. Szeroka, czysta plaża obramowana z lewej błękitem krystalicznie czystej wody, a z prawej stojącego na skarpie oświetlonego promieniami słońca sosnowego lasu,

sprawiła bajeczne wrażenie. Byłem wielokrotnie na zapełnionych wrzaskliwym tłumem plażach gdańskich. Nigdy dotąd nie odczuwałem niesamowitego piękna miejsca spotkania ziemi z morzem. Tutaj było inaczej, odczuwałem coś niezwykłego i odnosiłem wrażenie, jakbym wrócił na swój brzeg. Na opuszczony przed wiekami przez moich pomorskich przodków nasz kaszëbsczy strąd. Gdy zamyślony wracałem z podróży przez wieki, usłyszałem wołanie przewodniczki Helenki:

- Marian pój, më z Władkem chcemë so jesz przed wieczorem óbezdrzec miastko.

Podeszła do mnie, wzięła pod rękę i dodała:

- Mie sa tu nad strądem baro, baro widzy. Pój ze mną jô ce kąsk oprowadza po tim naszym grajdołku. Mõże òn ce téz chwõcy za serce.

Mówiąc to, w uśmiechu pokazywała swoje ładne zęby i ciągnęła mnie w kierunku wyjścia. Przeszliśmy wzdłuż kanału portowego i weszliśmy na główną ulicę. Uderzył mnie całkowity brak nowego budownictwa. Łeba robiła wrażenie, jakby dla niej zatrzymał się czas. Nie widziałem też śladów wojennych zniszczeń. Wszystkie domy były przedwojenne. Nieliczne z nich świeżo pomalowane. Ta skromna architektura urzekła swoją prostotą. Pokazywała też, że przed- i powojenna Łeba była miejscem zamieszkania niezamożnych ludzi. Morze, szeroka czysta plaża, rzeka, kanał, port, pobliskie jeziora i - jak się później dowiedziałem - dwa jeziora i ruchome wydmy, stwarzały jej ogromne, niedostępne innym tej wielkości miastom, szanse rozwoju. Następnego dnia z żalem opuszczałem urokliwą Łebę, przyrzekając sobie i zapraszającej mnie Helence, że jak mi tylko czas pozwoli będę przyjeżdżał częściej.

Po przyjemnie spędzonej niedzieli nastąpił roboczy poniedziałek ze swymi troskami. List, który przywiózł mi listonosz, odebrał ojciec i trzymając go w ręce, z daleka wołał:

- Marión, pój le sa, brifka przeniósł lëst do ce.

- Lëst do mie, skądka? - zapytałem zdziwiony i zaniepokojony.

Chwyliłem kopertę i odczytałem: Politechnika Gdańska. Profesor Rydel wzywał mnie do Gdańska na prowadzone we wrześniu obowiązkowe ćwiczenia przed egzaminem poprawkowym. Idąca przez podwórze mama, widząc mnie stojącego z listem, podeszła i z lękiem zapytała:

- Skądka ten lëst? Stało sa co lëchégö?

- Nié, le musza witroj achać do Gduńska.

- Tej më dwaji nie badzemë mielë leżnosć pökôrbiëc so ó gospodarce i pólitice - posmutniał ojciec.

W czwartek o godzinie dziesiątej z grupą kilkunastu koleżanek i kolegów siedziałem w małej salce Politechniki. Zajęcia prowadził asystent katedry konstrukcji. Po kilkunastu minutach do pokoju wszedł profesor i zwracając się do wszystkich, powiedział:

- Dzień dobry państwu, życzę dobrego wykorzystania zajęć i pomyślnego zdania egzaminu.

Po czym dokładnie rozejrzał się po sali, podszedł do mnie schylił głowę i rzekł:

- Moje specjalne uszanowanie dla pana Majkowskiego.

Skłoniłem głowę i spokojnie odpowiedziałem: „Dzień dobry panie profesorze”. Ten ceremoniał powtarzał się przez cały miesiąc. Pod koniec września zdałem pozytywnie egzamin kończący konstrukcje budowlane.

Droga do pracy magisterskiej stanęła otworem. Na jej przygotowanie mieliśmy czas do końca stycznia. Z uwagi na to, że odpadły już wykłady i nauka do egzaminów mogłem sobie pozwolić na komfort podjęcia pracy. Zatrudniłem się na pół etatu w Biurze Projektów Budownictwa Przemysłowego. Miałem cichą nadzieję, że pracując tam, będę miał szansę otrzymania nakazu pracy do Gdańska.

W tym czasie uznałem, że trzeba Lonię przedstawić mojej rodzinie. W pierwszą sobotę października wybraliśmy się pociągiem do Skrzyszewa. Lonia przez cały czas podziwiała piękny krajobraz kaszubski, niezliczone jeziora, świerkowe lasy, a szczególnie wielką ilość leżących tam różnej wielkości kamieni. Ojciec jej przed wyjazdem z Grudziądza powiedział, że Kaszuby to jedyna znana mu kraina, gdzie na polach „rosną kamienie”. Nigdy dotąd nie zwróciłem na to uwagi. Patrzyłem teraz jakby oczami Loni i razem zachwycaliśmy się pięknem krainy, przez którą przejeżdżaliśmy.

Na dworcu w Sierakowicach czekał Jaś z bryczką. Pierwsze sześć kilometrów jechaliśmy szosą następnie przy jeziorze Okunte zjechaliśmy w lewo na prowadzącą przez sosnowy las polną drogę. Mimo wczesnych dni początku października las usłany był grzybami. Rosły wszędzie, nawet na drodze. Dla Loni był to dotąd niespotykany widok. Co chwilę wydawała okrzyki zachwytu, chciała zatrzymywać konie, by wysiąść i zbierać te grzyby.

Droga przez las minęła nam prędko i wnet wjechaliśmy na podwórze, gdzie na nasz przyjazd niecierpliwie czekała mama z siostrami: Tereską Anną. Za chwilę z domu wyszedł ojciec, a z obory żona brata, Helena. Spojrzałem na moją dziewczynę. Ona, zawsze taka pewna siebie, stała teraz onieśmielona, błagalnie patrząc na mnie. Wziąłem ją za rękę i prowadząc w kierunku obecnych, mówiłem:

- Chodź kochanie, to są dobrzy ludzie, nic złego ci się tu nie stanie.

Po chwili wszyscy witali się z nami serdecznie, zapraszając do budynku.

Następnego dnia pojechaliśmy bryczką do Sierakowic na mszę, a po obiedzie przy stole spotkała się cała bliższa i dalsza rodzina, chcąc poznać tę „miastową z którą to Marian zamierza się ożenić”. Nie wszyscy byli z mojego wyboru zadowoleni.

Dla wielu naszych ktoś, kto nie pochodził z ich wioski czy parafii, był obcy. Nawet zatroskana mama początkowo próbowała mnie zniechęcić, twierdząc, że kto wie, co to za dziewczyna, bo miastowa, że pewnie rozpieszczona jedynaczka, że byłoby lepiej, gdybym poszukał sobie kogoś z okolicy. Kiedy jednak nie ustępowałem, pogodzili się z moim wyborem.

Pod koniec października zostaliśmy przeniesieni do nowego ogromnego akademika przy ulicy Wyspiańskiego. Tym razem mieliśmy pecha. Z dużego przestronnego pokoju wciśnięto nas do znajdującej się na poddaszu maleńkiej klitki. Wszelkie próby ustawienia dwóch łóżek, dużych desek kreślarskich, szafy, krzeseł i stołu, kończyły się niepowodzeniem.

- Musimy zrobić pomiar i rzut tego pokoiku - wymyśliłem.

- Po co? - zapytał Mietek.

- Żeby udowodnić, że ustawienie potrzebnych mebli jest tu niemożliwe. Z tym szkicem i naszym wnioskiem pójdziemy do rektoratu, by walczyć o większy pokój.

Po takiej interwencji przydzielono nam dodatkowo sąsiedni pokoik, do którego przeniósł się kolega. Teraz tylko my dwaj, w zamieszkałym przez kilkaset osób gmachu, mieliśmy pokoje jednoosobowe.

Na tym jednak nie skończyły się problemy. Nowy budynek był wilgotny, a na dodatek przez pierwszy miesiąc nie działało centralne ogrzewanie. W pokoju pojawiła się pleśń. Była wszędzie, w kątach ścian, na ubraniach, obuwiu, w walizce służącej za spiżarnię, na żywności. Wilgotna była pościel, pleśniały książki, zeszyty, a najgorsze z wszystkiego, nasze szkice i rysunki przygotowywane na dyplom. Postarałem się o płytkę elektryczną używaną do przygotowywania posiłków i nią przy zamkniętych drzwiach starałem się nieco podgrzewać pokój. Wielu robiło podobnie, co powodowało awarie i częsty brak prądu. Kierownictwo domu wydało surowy zakaz używania

wszelkiego rodzaju urządzeń elektrycznych, grożąc usunięciem z akademika. Częste i niespodziewane kontrole miały nas zmusić do przestrzegania tego polecenia. Pewnego razu, gdy siedziałem, grzejąc sobie ręce nad płytką ktoś energicznie zapukał, szarpiając równocześnie klamką. Rozległ się też ostry, rozkazujący głos:

- Proszę natychmiast otworzyć! Tu komisja!

Strasznie przerażony szybko wyciągnąłem wtyczkę z kontaktu, chwyciłem kuchenkę i pośpiesznie wystawiłem ją na dach. Poczujęm przy tym niesamowicie piekący ból. Myślałem, że zemdleję, ale nie było czasu. Zebrałem się w sobie, otworzyłem drzwi komisji. Widocznie musiałem być bardzo blady, bo jeden z członków komisji zapytał, czy nie jestem chory. Odpowiedziałem, że jest mi słabo i ciężko usiadłem na krześle. Podali mi nawet szklankę wody i nie szukając źródła „przestępstwa”, wyszli z pokoju. Kierownik komisji powiedział do mnie:

- Proszę się położyć, zaraz przyślę sanitariusza.

Spojrzałem na rękę. Na końcu kciuka widniał zwęglony płat skóry. Dowlokłem się do łazienki i długo trzymałem palec pod zimną bieżącą wodą. Mietek posmarował mi ten palec jakąś maścią i zabandażował. Sanitariusz zastał mnie spokojnie leżącego w łóżku.

Dopiero w grudniu uruchomiono centralne ogrzewanie. Pokoik zaczął szybko wysychać, a z nim ubrania pościel, ściany i co najważniejsze, rysunki. Ciepłe, samodzielne lokum okazało się prawdziwym skarbem. Nareszcie, po wielu latach miałem własny kąt, w którym nikt mi nie przeszkadzał.

Czas studiów, a tym samym czas przedłużonej młodości dobiegał końca. Czekala mnie jeszcze obrona pracy dyplomowej i pożegnanie z uczelnią. Najchętniej pozostałbym w Gdańsku, ale nie ode mnie to zależało. Na pewno większe szanse mieli koledzy mieszkający na miejscu. Dyrektor biura projektów, w którym byłem zatrudniony na pół etatu, był z mojej pracy

zadowolony i wyraził chęć zatrzymania mnie. Wystąpił do Politechniki o skierowanie mnie do nich do pracy. Obiecał też postarać się o mieszkanie. Była to kusząca, choć w okresie nakazów pracy, mało realna propozycja. Mogłem również w Katedrze Urbanistyki pozostać na stanowisku asystenta, jednak szanse na zdobycie samodzielnego mieszkania w tym wypadku były prawie żadne, a wynagrodzenie bardzo niskie. Droga, która dawała możliwość najszybszego awansu było zaangażowanie się w działalność polityczną. Jako działacz Związku Młodzieży Polskiej, magister nauk technicznych, miałem szansę na szybkie zdobycie odpowiedzialnego stanowiska. Był jednak podstawowy warunek, a mianowicie wstąpienie do PZPR-u i zaangażowanie się w budowę nowego ustroju. Mimo śmierci Stalina i pewnej odwilży w Rosji, u nas trwały, a nawet się nasilały ataki na hierarchię kościelną. W lutym 1953 roku Rada Państwa wydała dekret o kontroli nominacji kościelnych. Interwencja kardynała Wyszyńskiego nie dała pozytywnego rezultatu. W marcu tego roku zakazano wydawanie Tygodnika Powszechnego, a w Trybunie Ludu ukazał się artykuł pt.: „Zatrute źródło”, atakujący Episkopat. We wrześniu odbył się w Warszawie proces biskupa Lecha Kaczmarska. Otrzymał wówczas wyrok 12 lat więzienia. Sługusi partii działali również w prasie katolickiej. We wrześniu Tadeusz Mazowiecki, redaktor naczelny wrocławskiego Tygodnika Katolickiego pisał, że biskup Kaczmarek sprzeniewierzył się Polsce Ludowej. Jednakże nowa władza zrobiła też wiele dobrego. Zrealizowany w latach 1950-55 plan sześcioletni przekształcał Polskę z kraju rolniczego na przemysłowo-rolny. Z przeludnionych, bezrobotnych wsi, przeprowadziło się do miast ponad dwa miliony ludzi. W 1953 roku zniesione zostały bony na produkty żywnościowe. Zostały też podwyższone płace, emerytury, renty i stypendia. To ostatnie pozytywnie odczuliśmy my, studenci z biednych chłopskich rodzin.

Uległa też poprawie materialna sytuacja rolników. Po oddaniu zmniejszonego już kontyngentu, nadwyżkę swojej produkcji mogli sprzedać na wolnym rynku.

Niedziele z zasady spędzałem poza Gdańskiem. Najczęściej bywałem w Grudziądzu lub Skrzyszewie. Odwiedzałem też siostrę w Luzinie oraz kuzynkę mieszkającą bliżej Gdańska, w Niestępowie. Mieszkała tam na gospodarstwie rolnym z mężem i piątką dzieci niewiele młodszych ode mnie. Jej mąż często słuchał radia, zwłaszcza Wolnej Europy. Nie znosił władzy ludowej. Był prześladowany. Przed każdym świętem narodowym, czy wyborami był na parę dni zamykany w więzieniu. Po uroczystościach zwalniano go. Chociaż w wielu sprawach miałem inny pogląd, lubiłem go słuchać. Od niego dowiadywałem się, co mówią o nas za granicą i jaki jest los polskiego rolnika.

Po długim namyśle podjąłem decyzję, że nie zapisuję się do partii.

Szybko, choć niepostrzeżenie nadchodziły święta Bożego Narodzenia, które wspólnie z Lonią postanowiliśmy spędzić w Skrzyszewie. Do domu pojechaliśmy dzień przed wigilią. Tym razem Jaś przyjechał po nas do Sierakowic saniami. Dla Loni było to również niezapomniane przeżycie, kiedy okryci baraniami derkami, przy dźwiękach dzwoneczków mknęliśmy prawie dziewięć kilometrów po puszystym, bielutkim śniegu.

Był już wieczór, kiedy siadając do kolacji, mama powiedziała:

- Marión, rzecz le twóji Loni, niech sa dzysó na wieczerza bëłno najé, bo wıtro jaż do pierszi gwıózdë to nie do nick jestku.

- Co powiedziała twoja mama? - zapytała dziewczyna. - Nic z tego nie zrozumiałam.

- Terô, czej të môsz chac wżeniec sa w kaszëbską familia musisz doch chutkô uczëc sa naszi mowë.

- Co teraz powiedziałaś? - rzekła już lekko zniecierpliwiona.

- Powiedziałem, że powinnaś zacząć uczyć się naszej mowy.

Następnego dnia wszyscy bez śniadania rozeszli się do zajęć. Lonia ochoczo przyłączyła się do kobiet, które w kuchni zaczęły przygotowywać świąteczne smakołyki. Zaproponowała też, że sama przygotowuje ciasto na babę piaskową. Zostawiłem ją w kuchni, a sam poszedłem na podwórze, by pomóc w przedświątecznych pracach. Przed drugą zaproponowałem Loni pójście do lasu, by wyszukać odpowiedniej choinki, którą trzeba było jeszcze przystroić. Ubrała się ciepło i wyszliśmy na zewnątrz.

Podwórze, otaczające je budynki i wysokie świerkowe drzewa stały okryte grubą warstwą śnieżnego puchu. W świetle zachodzącego słońca, błyszczała oślepiająca bielą. Na ten widok Lonia zawołała z zachwytem:

- Jak tu pięknie, jak cudownie!

Stojący na podwórzu z siekierą w ręce ojciec zawołał do nas:

- Pójtä le ze mnąw las. Badzemë pospołtu dankä na Gödë szukelë.

- Idziemy, idziemy - zawołała radośnie, ciągnąc mnie za rękę.

Szliśmy w głębokim, sięgającym prawie do kolan śniegu. Weszliśmy w gąszcz młodych świerków. Lonia szła przodem. Szedłem, patrząc na moją ukochaną dziewczynę. Z zapałem szukała coraz to nowych choinek. Nie włączałem się do tej akcji. Znałem ojca i wiedziałem, że mając ich tysiące żal mu jakakolwiek wyciąć. W końcu się dogadali i po obopólnej zgodzie świerk został wycięty. Choinkę osadziłem w krzyżaku i wspólnie z mamą ustroiłem. Gdy pojawiła się pierwsza gwiazda zasiedliśmy do stołu.

Ojciec, jako głowa domu, wziął opłatek i łamiąc się z obecnymi, składał życzenia. Po nim robili to pozostali. Po

przełamaniu się z mamą i tatą podszedłem do Loni.

- Kochanie - rzekłem. - Życzę tobie i sobie byśmy w miłości, pokoju i szczęściu spędzili razem z bliskimi nam ludźmi wiele takich wigilii.

Odpowiedzią na życzenia był długi, wyrażający więcej niż słowa, pocałunek.

Teraz Lonia z opłatkami w ręku, zwracając się do wszystkich, rzekła:

- Tę wspaniałą wigilię przyćmiewa mi myśl, że moi rodzice pozostali w domu zupełnie sami, dlatego teraz symbolicznie łączę się z nimi opłatkami i życzę im długich jeszcze lat życia w zdrowiu i pomyślności.

Podszedłem wtedy do niej i przytuliwszy do siebie, powiedziałem:

- Obiecuję ci kochanie, że następne wigilie będziemy spędzali już razem z twoimi rodzicami.

Po wieczerzy otwarto drzwi do dużego pokoju, zwanego „piakno jizba”. Oczom ukazało się wysokie, przystrojone w słomiane i papierowe ozdoby świerkowe drzewko z zapalonymi świeczkami, które jeszcze przed paroma godzinami spokojnie rosło w lesie. Zgromadzeni wokół choinki śpiewaliśmy znane wszystkim kolędy. Lonia była bardzo wzruszona, wyglądała na szczęśliwą. Była jedynaczką i, jak mi się później zwierzyła, pierwszy raz przeżywała wigilię w większym gronie rodzinnym. Ja również byłem szczęśliwy, bo odniosłem wrażenie, że zaczyna czuć się członkiem mojej kaszubskiej rodziny.

Po kolędach mama brała spod choinki paczki i wręczała prezenty. Ledwie zdążyliśmy je obejrzeć i zebrać naczynia ze stołu, rozległ się dźwięk dzwonka i do kuchni wkroczył gwiazdor ubrany w barani kozuch z maską na twarzy i futrzaną czapką na głowie.

- Chceta wa panią gwioźdzka widzec? - zapytał.

Ojciec wyszedł przed nas i zapytał:

- Skądka Bóg waju prowadzi?
- Z daleka, jaż z samego Gduńska.
- Czej to tak je, tej witójtaz. Pójta le drawó wjizba.

Był tam tańczący dziad i baba, był wywlekający popiół z pieca kominiarz, sięgający długim dziobem pod spódnice bocian, beczący i bodący kozioł, rżący i skaczący koń, uzbrojony w drewniane widły diabeł, śmierć z wielką kosą i wystraszony perspektywą dostania się do piekła Herod. Wszyscy oni w takt grającego na harmonii muzykanta tańczyli, skakali i wykonywali swoje zadania. Spoglądałem na Lonię. Najej twarzy malowało się zdziwienie i coś w rodzaju lęku, gdy gwiazdor poprosił ją do tańca. Pod koniec tańczyli wszyscy. Znowu zadzwonił dzwonek. Zapanowała cisza, którą przerwał głos gwiazdora:

- Na gôdë i ten nowi przindny rok më, gwiózdka, žëczimë warna wszëtczima zdrowia. Žebë bëlno rošto žëto i bulwë, žebë świnnie sa warna trzë razy w roku prosëťë, krowë bëlno dojaťë, a brutczy so fejnëch chłopów nalazlë. Ôstónta z Bögem.

Ojciec wręczając babie i dziadowi datek i napitek rzekł:

- Bóg zapłać, że wa ó nas pamiata w ny daleczy drodze. Nie zabóczta ó nas na przindné gödë.

- 'Przińdzeme, prziińdzeme' - odpowiedział gwiazdor, po czym wszyscy ze śmiechem opuścili dom.

- Coś takiego widziałam pierwszy raz w życiu. Wszystko byłoby w porządku gdyby nie kominiarz, który wyrzucił popiół na świeżo wyszorowaną podłogę. Wszyscy to rozdeptywali, a wy się jeszcze z tego cieszyliście. Nie bardzo mogę to zrozumieć - zastanawiała się Lonia.

- Widzisz, tak jest tutaj od wieków. Byłaby to wielka obraza, gdyby gwiazdka pominęła nasz dom - wyjaśniłem.

Następnego dnia pojechaliśmy do kościoła saniami. Po mszy spotkaliśmy prawie całą rodzinę. Często w niedzielę i prawie zawsze w święta w domu rodzinnym gromadziły się wszystkie dzieci i wnuki. Przy wielkim stole zasiedli rodzice, brat z żoną, ja

z moją przyszłą Moniką z Władkiem, Agnieszka z Alosiem. Dwie niezamężne siostry bliźniaczki, Tereska i Anna, co chwilę wstawały ze swoich miejsc, by postawić coś na stół i dopilnować jedzące przy mniejszym stoliku dzieci. Jadzia i Jan z Luzina nie przyjechali. Przyszli tylko życzenia zawiadamiając równocześnie, że z uwagi na małe dzieci i ostry mróz nie przyjadą.

Nadszedł rok 1955, a z nim ostatni rok mojego pobytu na uczelni, w akademiku i Gdańsku. Termin oddania prac został wyznaczony na koniec stycznia. Moje działania podporządkowane były wyłącznie wykończeniu w terminie, w możliwie najlepszej formie, opracowanego projektu.



Absolwenci Politechniki Gdańskiej. Autor siedzi w środku.

Pod koniec stycznia odniosłem do dziekanatu pracę magisterską. Koledzy również zakończyli swoje opracowania. Mietek, po oddaniu pracy, wpadł z butelką wina do mojego pokoju, wołając:

- Marian, wstań z tego wyrka. Wypijemy i wyjdziemy gdzieś na ubaw, musimy przecież uczcić oddanie prac.

Postawiłem szkło i zakąski, czyli chleb, smalec i cebulę. Styczniowa ciężka praca nie pozbawiła wężu Jureczka Ścibaka. Jak za dawnych czasów wpadł z nożem, widelcem i ze szklanką. Głośne rozmowy i długo niesłyszany w naszych pokojach śmiech, ściągnęły Henia i Arnolda, każdego ze swoją butelczyną. Po pewnym czasie Mietek zaproponował uczczenie oddania prac magisterskich w jakimś lokalu.

- Dokąd idziemy? Macie jakieś propozycje? - zapytał nasz czołowy matematyk Heniu.

Mietek popatrzył na obecnych i orzekł:

- Ja proponuję Akwarium.

- Do Akwarium? - zawołał z przerażeniem Heniu. - Ludzie, to jest przecież bardzo drogi lokal! To nie jest miejsce dla nas!

- On ma rację - powiedziałem, dodając - Mietek, to nie jest lokal na nasze kieszenie. Wolnych babek też tam nie będzie. Nie możemy pójść do jakiegoś akademika z medyczkami?

Ten jednak odparł:

- Znam ten lokal. Nieraz tam bywałem. Uświadomcie sobie w końcu, że jesteśmy inżynierami, architektami, przyszłymi magistrami. Akwarium jest jak najbardziej odpowiednim miejscem, byśmy się mogli godnie zabawić.

Długą chwilę milczenia przerwał Heniek słowami:

- Proponuję zatem rzutkę naszych funduszy. Po ich zbilansowaniu nasz znawca cen tego lokalu wyda orzeczenie, czy starczy nam chociaż na wstęp i wodę sodową.

- On ma rację - rzekł Arnold. - Pieniędźmi przeznaczonymi do upłynnienia musi dysponować jeden z nas. Uważam, że powinien to być Marian. Jeżeli on podejmie się zamawiać napoje i ewentualne zakąski, idę na ubaw. W przeciwnym wypadku rezygnuję.

- Najpierw zobaczymy, ile tego uzbieramy. Czy w ogóle warto na ten temat dyskutować - powiedziałem.

Po chwili wszyscy chwycili się za kieszenie i portfele. Ile kto miał i mógł kładł na stół. Nastąpiło komisyjne przeliczenie

zgromadzonego funduszu. Nasz lokalowy ekspert orzekł, że na skromny ubaw w Akwarium środków wystarczy.

Kilkanaście minut po dwudziestej nasza piątka wkroczyła do lokalu. Mietek, któremu ukłonił się kelner, pewnym krokiem zaprowadził nas do sześciuosobowego stolika. Stoły ustawione były w koło, o parę stopni wyżej od owalnej, przeznaczonej do tańca, płyty. Większość z nich była jeszcze pusta. Po chwili nadszedł kelner i wręczył Mietkowi kartę dań i napoi, ten z kolei przekazał ją mnie, mówiąc:

- Ty masz nasze pieniądze, więc poszukaj coś, na co nas stać.

Wybór był trudny. Na wszelki wypadek uprzedziłem kelnera, że dysponuję wszystkimi pieniędzmi i że zapłacone będzie tylko to, co zostanie zamówione wyłącznie przeze mnie. Kelner ze zrozumieniem kiwnął głową i powiedział;

- Aby nam obu ułatwić zadanie i nie dopuścić do nieporozumień każdą przyniesioną potrawę będę zapisywał, wyceniał i sumował.

- Dziękuję panu - odparłem. - Tak będzie najlepiej, w ten sposób nie dopuszczę do przekroczenia limitu, jaki przeznaczylimy na dzisiejszy wieczór.

Przyniesiona za chwilę karafka wódki i zakąski zostały zapisane i wycenione. Teraz mogłem spokojnie obserwować, co się działo wokół nas.

Na salę wchodzili kolejni goście. W większości były to pary: starsi dystyngowani panowie i młode, czasem bardzo młode, panienki. Wyglądało to tak, jakby tatusiowie przyszli na dancing z córkami lub szefowie ze swoimi sekretarkami. Nasz ubiór i to, co stało na stole, nie pasowało do tego towarzystwa. Rozglądałem się po sali, szukając jakiejś niewieściej istoty, z którą można by zatańczyć. Wreszcie w dalekim końcu sali dostrzegłem stolik, przy którym siedziała grupa samotnych panien. Zwróciłem na to uwagę kolegów:

Mietek okiem znawcy spojrział we wskazanym kierunku i odparł:

- Z tymi panienkami możemy nie tylko potańczyć, tylko każdy z nas musiałby mieć tyle pieniędzy, ile zdołaliśmy zgromadzić w piątkę.

Arnold, który już wstawał, by poprosić którąś do tańca usiadł z powrotem i rzekł:

- Trudno, to nalejcie po kielichu, posiedzimy i popatrzymy, jak bawią się ci, co mają forszę.

Słuchając muzyki, siedziałem i przyglądałem się tańczącym na dole parom. „Tatuśkowie”, prężąc pierś i wciągając brzuchy, starali się dotrzymywać kroku swoim zwinnym młodym partnerkom. Czerwone spocone twarze, świszczące oddechy i ocierany ukradkiem pot z czoła i twarzy świadczyły, że nawet najgrubszy portfel nie zwraca młodości. Ta świadomość dawała nam choć niewielką satysfakcję.

Dodatkowym urozmaiceniem było obserwowanie samej lustrzanej płyty tanecznej. W niej odbijały się ukryte pod szerokimi, niezbyt długimi spódnicami, nogi, a czasem i kolor haleczki czy majteczek. Siedzieliśmy, sącząc powoli kończące się zapasy napoi i komentowaliśmy nasze obserwacje.

Krótko po dwudziestej drugiej oświadczyłem:

- Koledzy, nasz dzisiejszy limit się wyczerpał. Niczego więcej nie mogę zamówić, tańczyć nie ma z kim, proponuję dopić resztę i wyruszyć w drogę powrotną. Nie czekając na ich reakcję, wstałem i poszedłem do toalety. Na widok tego, co leżało na ściance pisuaru zamarła mi na moment ręka manipulująca przy guzikach. Myślałem, że to, co widzę jest urojeniem. Przetarłem oczy, spojrzałem ponownie i na odgłos zbliżającej się osoby szybko wziętem do ręki lekko zmoczony świstek papieru. Spojrzałem jeszcze raz z bliska. Na mojej dłoni leżał czerwony stużłotowy banknot. Pospiesznie schowałem go do kieszeni i po spełnieniu celu mojej wizyty spokojnie

wróciłem do kolegów. Siedzieli, patrząc zrezygnowanym wzrokiem na zbierającego naczynia kelnera. Zdecydowanym głosem poprosiłem go do siebie i powiedziałem:

- Panie starszy, proszę o rachunek, chciałbym się rozliczyć z tego, co skonsumowaliśmy.

Po załatwieniu tej sprawy wręczyłem kelnerowi znalezione sto złotych, mówiąc:

- Teraz proszę za całą kwotę przynieść wódki i zagrychę. Ja stawiam.

Spojrzałem na kolegów. Byli skonsternowani. Pierwszy ochłonał Heniek.

- Marian, skąd wytrzasnąłeś tę stówę?

Dumnie spojrzałem na niego, potem na resztę kolegów i odparłem:

- Wybraliście mnie na ministra finansów, a taki człowiek musi umieć gospodarzyć forszą. Mówiliście, że my inżynierowie i przyszli magistrowie, mamy prawo trochę poszaleć - dodałem, patrząc z uśmiechem na zbliżającego się kelnera.

Na stole pojawiły się dwie półlitrówki, talerze z zakąskami i rachunek opiewający na 95 zł.

- Reszty nie trzeba - powiedziałem wspaniałomyślnie.

Koło północy solidnie zamroczeni wróciliśmy grzecznie do akademika. Przez parę następnych dni koledzy z szacunkiem patrzyli na mnie. Nie mogli pojąć, że ja, oszczędny wiejski chłopak zdobyłem się na taki gest. Nie przyznałem się do tego, gdzie ten banknot znalazłem. Czułem się dobrze w aureoli uznania i podziwu.

Kilka kolejnych dni poświęciłem na przygotowanie się do obrony pracy magisterskiej. Po piętnastym lutego i ten ostatni etap studiów miałem za sobą. Czekałem na wręczenie dyplomu magisterskiego i przydział pracy. Biuro Projektów, w którym pracowałem, wystąpiło do uczelni z wnioskiem o danie mi nakazu pracy w Gdańsku. Bardzo by mi to odpowiadało.

Niestety ani ja, ani dyrekcja biura nie mieliśmy na to wpływu.

26 lutego 1955 roku dziekan wręczył dyplomy świeżo upieczonym magistróm architektury, życząc im sukcesów i pomyślności w dalszej drodze życia zawodowego i osobistego. Następnego dnia wręczono nam nakazy pracy. Obecny przy ich wręczaniu szefstudium wojskowego, powiedział:

- Panowie, waszagrupę spotkało specjalne wyróżnienie.

Ze zdziwieniem patrzyliśmy na niego, a on mówił dalej:

- Minister Obrony Narodowej obdarzył was swoim pełnym zaufaniem. Otrzymacie przydziały pracy do Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy. Pod wskazanym adresem macie się zgłosić w dniu 5 marca.



Bal magisterski. Z lewej Autor, obok ukochana Lonia. Z prawej Mieczysław Brejski (Mietek).

W ostatnim dniu lutego w Grand Hotelu w Sopocie odbył się pożegnalny bal magistrów Wydziału Architektury, na którym wystąpiliśmy w stosownych strojach. Każdy z nas mógł przyprowadzić swoją partnerkę lub partnera. W tej jednej z największych uroczystości mego życia, towarzyszyła mi moja ukochana grudziądzanka.

Po wspaniałej, pełnej wrażeń nocy nastąpił smutny, szary dzień. Skończył się prawie sześćoletni okres pobytu w Gdańsku. Spakowałem swój skromny dobytek, pożegnałem się z kilkoma spotkanymi na korytarzu kolegami. W administracji domu zdałem klucz od pokoju i pojechałem na dworzec, by kilka ostatnich dni przed rozpoczęciem pracy spędzić w domu rodzinnym.

Z zaślem patrzyłem na pozostający w tyle dworzec kolejowy, Biskupią Górkę - mój pierwszy dom w Gdańsku i inne coraz bardziej oddalające się budowle. Było mi bardzo smutno. W miarę oddalania się coraz mocniej czułem, jak bardzo bliskie stało się dla mnie to miasto, które opuszczałem może na zawsze. Przekłete zaufanie ministra, przekłety nakaz pracy pozbawił mnie możliwości wyboru miejsca, gdzie chciałbym pozostać, pracować, założyć rodzinę i służyć ojczyźnie. Patrzyłem w okno na mijane krajobrazy. Obraz stawał się zamazany, więc by lepiej widzieć przecierałem szybę. Nie pomogło. Po dłuższej chwili uświadomiłem sobie, że to nie brudne szyby tylko łzy, które zakręciły mi się w oczach zamglily nasz piękny kaszubski krajobraz.

Korzystając z uprzejmości kolegi z Sierakowic, który podwiózł mnie do Skrzyszewa, w domu wylądowałem pod wieczór. Po kolacji rozpoczęła się rozmowa, którą jak zwykle zaczął ojciec.

- Mõsz të to, Mariõnku, kureszce szafniatë. Je to ju kuñc sztuderowaniõ?

- Jo tata, z tim je kunc, le terõ mẽ badzemë sa baro rzõdkõ widiwelë.

- Czemii to? - zapytała zatroskana mama.

Obecni podnieśli głowy i patrzyli na mnie. Po chwili milczenia odpowiedziałem:

- Jo nie óstõna we Gduñsku. Móm dostõné nõkõz prõcë jaż w Bëdgoszczë. Ju piãtego strëmiannika musza bëc tam w Põmõrszim Wõjskõwim Õkõlim.

Spis treści

Wstęp.....	5
Otwarte wrota.....	7
W Lęborku.....	17
Nastoletnie przypadki.....	40
Matura.....	67
Egzaminy na studia.....	77
Srebrzy sko.....	103
Na Hubnera.....	128
Magisterka.....	132

Wydawnictwo ROST

oferuje:

Marian Majkowski
Na kaszubskich pustkach

Mësła dzecka
Antologio wiérztów dlô dzôtków i młodzëznë
Przërëchtowelë: Elżbieta i Eugeniusz Prëczkôwscë

Më trzimómë z Böga
Kaszëbsczë môdlëtwë i spiëwë

Kaszëbskô nôtëra
Antologio dzysdniowi prozë kaszëbsczi

Eugeniusz Pryczkowski
Bëlny szport wiele wôrt

Jan Drzeżdżon
Kôl Biëlawë

Cassubia cantat
na powitanie Ojca Świętego Jana Pawła II

Jan Machut
Kościersko - wdzydzkie impresje

Stanisław Bartelik
Chöc mie szëmią jiné drzewa

Eugeniusz Pryczkowski
Na jimia Bôsczé

*Te i wiele jinszych kaszëbszczich ksążków môżna kupie
w kaszëbsczim kromie w sedzbie wëdôwnictwa
w Baninie na ôsedlëszczu Dąbrowa
Serdeczno rôczimë!*

Marian Majkowski urodził się 5 października 1926 r. w Skrzyszewie w gminie Sierakowice. Przed wojną ukończył szkołę powszechną, a po wojnie Liceum Ogólnokształcące w Lęborku oraz architekturę na Politechnice Gdańskiej (1955). W 1961 r. ukończył Podyplomowe Studium Planowania i Architektury Wsi. W 1975 obronił pracę doktorską na Politechnice Warszawskiej. Pracował kolejno w Bydgoszczy, Grudziądzu i Poznaniu, gdzie także prowadził wykłady na Politechnice Poznańskiej. W 1981 zamieszkał w Ustce. Obecnie na emeryturze.

Pisze opowiadania. Debiutancki tekst *W lagrze* ukazał się w *Pomeranii*, nr 12 z 1979 i 1 z 1980. Ten sam tekst, bardziej obrobiony literacko i o zmienionym tytule *Na robotach* oraz opowiadanie *Jesénnô droga* zostały ogłoszone w antologii współczesnej prozy kaszubskiej *Dërchôj królewionkô* (1996). Ich druk zainspirował Majkowskiego do pisania wspomnień. Pierwszy tom „Na kaszubskich pustkach” ukazał się w 2000 roku. Fabuła niniejszego tomu głównie osadzona jest w powiecie lęborskim i w Gdańsku.